



Danuta
Noszczyńska

ZARÓWNO DOBRO, JAK I ZŁO
WRACAJĄ DO CZŁOWIEKA
ZE ZDWOJONĄ SIŁĄ

Futra
perły i łzy jak piołun gorzkie

Prószyński i S-ka

Danuta
Noszczyńska

Futra

perły i łzy jak piołun gorzkie

Prószyński i S-ka

ROZDZIAŁ I

Aleks Rozważny

– Nie jestem pewien, czy powinnaś pozwolić im u nas zostać – powiedział mój mąż Aleks, gdy leżeliśmy już w łóżku. Mówił szeptem, chociaż ciotka i wujek nie mogliby nas usłyszeć, nawet gdyby mówił całkiem głośno.

A jeśli mój subtelny mąż zdobył się na powiedzenie mi, że czegoś nie powinnam, nawet jeśli na początku zdania zamieścił „nie jestem pewien”, oznaczało to, że był absolutnie przekonany o niesłuszności mojej decyzji. Mało znałam w życiu ludzi tak rozważnych, delikatnych, a przy tym obdarzonych tak niezwykłą dobrocią jak Aleks. Aleks, czyli Olek, od imienia Aleksander. Gdy przedstawiła nas sobie wspólna koleżanka ze studiów i wypaliła na skrót: Aleksandra – nie mogliśmy nie zwrócić na siebie uwagi.

– Miło mi – powiedział Aleks – ale może zaprezentuj i mnie.

– Zaprezentowałam – oznajmiła koleżanka.

– Jesteś pewna? Ja nie jestem Aleksandra i myślałam, że to widać na pierwszy rzut oka – zaśmiał się z jej roztargnienia.

– No przecież mówię, że Aleks. A to jest Sandra!

– Wygląda na to, że mamy wspólne imię – zauważył chłopak po jej odejściu.

– To ani chybi jakiś znak!

– Że co? – spytałam, chętnie przedłużając rozmowę, bo od razu spodobały mi się jego niebieskie oczy i urok-liwy uśmiech.

– Że... może kiedyś będziemy mieli wspólne nazwisko?

Zaniemówiłam na chwilę, nie wiedząc, jak mam te słowa potraktować. Chłopak uśmiechał się nadal w sposób budzący we mnie przyjemny niepokój. Nie wyglądało na to, że traktuje swoją wypowiedź jak dowcip sytuacyjny. Czułam, że mu się po-dobam.

– Trzymam cię więc za słowo – odparłam wreszcie, próbując uśmiechnąć się w podobny sposób.

Aleks poczuł się moją odpowiedzią na tyle zobowiązany, że na drugi dzień odszukał mnie na uczelni i zaprosił na... randkę. Tak właśnie: nie na kawę, nie do kina, ale po prostu na randkę.

– Myślę, że wczoraj doszliśmy do jakiegoś porozumienia i nie muszę chyba stosować wobec ciebie jakichś wymyślnych podchodów – wypalił.

– Wymyślnych może nie... – zawahałam się niby na serio. – Ale jakieś, choćby skromne, by się przydały. My, kobiety, lubimy podchody.

– Wobec tego uważaj, p o d c h o d z ę! – Aleks rzeczywiście podszedł tak blisko, że o mało nie straciłam równowagi. – Czy to coś może załatwia?

Jasne, że załatwiało. Przede wszystkim ugięły się pode mną nogi. Jeśli rzeczywiście istnieje coś takiego jak „chemia” między ludźmi, w tym momencie zadziałała na mnie również fizyka, biologia i wszystkie pozostałe przedmioty ścisłe oraz humanistyczne.

Po trzech latach od naszej pierwszej randki wzięliśmy ślub i mimo iż od tej pory upłynęło ich już jedenaście, do dziś jedno spojrzenie tych błękitnych oczu i roztopiający moje serce uśmiech byłyby w stanie zrobić ze mną prawie wszystko. Nie tym razem jednak, bo gdy chodziło o moje poczucie etyki, głęboko zakorzenione we mnie i niepodlegające żadnej dyskusji, nic nie było w stanie mnie przekonać.

– Dlaczego? – spytałam z chłodną powagą. – To tylko kilka, może kilkanaście dni, a miejsca mamy wystarczająco dużo.

Nasze czteropokojowe nowoczesne mieszkanie, od biedy można by rzec apartament – śmiało mogło pomieścić dwie osoby więcej bez zbyt wielkiego poczucia dyskomfortu. Miejsca w istocie było sporo, bo niestety nie mieliśmy dzieci, mimo iż oboje bardzo ich pragnęliśmy. Dziś już byliśmy z tym pogodzeni i nie wracaliśmy do tematu. Nie sprawdzaliśmy też, celowo, po której stronie leży „wina”, by nie stwarzać pokusy czynienia sobie wyrzutów. Oczywiście dalecy byliśmy od tego, ale mój rozważny Aleks tak zdecydował, a ja się zgodziłam.

– To nie jest kwestia miejsca – odparł zatroskany. – W każdym razie nie miejsca w sensie przestrzeni...

– Tylko? – Nie bardzo rozumiałam, o czym mówi.

– A właściwie przestrzeni, tak. Przestrzeni psychicznej, emocjonalnej, intymnej – tłumaczył z wyrazem skupienia na twarzy. – Rozumiesz, kochanie?

– Oczywiście, że rozumiem – obruszyłam się. – Myślisz, że ja nie zdaję sobie z tego sprawy? Jasne, że przez jakiś czas będzie trochę inaczej, że zakłóci nam to może niezmacony, sielski spokój, ale, jak mawiała moja babcia, człowiek wart jest tyle, ile jest w stanie dać drugiemu człowiekowi... A co oni zrobią, jeśli się nie zgodzimy? Mają tylko nas...

– Nieprawda – zaprzeczył Aleks. – Z tego, co wiem, mają córkę, twoja ciotka ma brata, a wujek jeszcze inne siostrzenice i bratanice. Czemu więc wybrali właśnie ciebie? Wiesz, jakoś mi się oni... nie podobają, szczerze mówiąc.

– Bo tak im się życie ułożyło? Aneta od lat mieszka w Gdyni, z bratem ciotki są skłócenii, a poza tym to mój chrzestny, czyli jakby ojciec!

Aleks w milczeniu pokiwał głową.

– No? Powiesz mi coś jeszcze? – spytałam zaczepnie.

– Mógłbym – westchnął mój mąż. – Jestem jakoś dziwnie przekonany, że złym relacjom z córką i bratem ciotki sami są winni, jeśli zaś chodzi o jego

chrzestne „ojcostwo”, nie przypominam sobie, bym go wcześniej miał okazję poznać. Nie przyszedł nawet na nasz ślub, choć był zaproszony. Ale nie, nie powiem tego, żeby nie robić ci przykrości. Zrobisz, jak zechcesz, ja uszanuję twoje zdanie.

– Wobec tego już zrobiłam. Poza tym pamiętaj, że ja ze swoim bratem też nie jestem od paru lat w najlepszych stosunkach, a przecież nie zrobiłam mu nic złego.

– Jemu nie, ale ma żal do ciebie o to, co zrobiłaś z waszym rodzinnym domem.

– Roman ma niestety nieco inne poczucie sprawiedliwości niż ja – burknęłam. – Ale sprawiedliwość to nie matematyka, czasem nie wychodzi po równo. Bo życie czasem wymusza na człowieku rozwiązania, które nie każdemu muszą się podobać. Jeśli oczywiście chce się być w porządku wobec siebie i innych.

– Tylko że to „w porządku” nie zawsze działa w obie strony...

– Nie musi. To ja, wyłącznie JA chcę odczuwać komfort, że postępuję uczciwie. Reszta jest problemem innych i ich sumień.

– Dobranoc, Sandro – odpowiedział krótko Aleks.

Znał mnie dobrze i wiedział, że jego dalsze wywody na nic się nie zdadzą. Wiem też, że nawet jeśli nie zawsze się ze mną zgadzał, cenił moją bezkompromisowość i być może, całkiem dziś nie na topie, honor i dumę. Nie chcąc więc nieopatrznie wracać do spraw, które mogły być dla mnie przykre, westchnął tylko i odwrócił się na drugi bok.

* * *

Tego właśnie dnia kilka godzin wcześniej zeszłam do drzwi, żeby otworzyć komuś, kto zaanonsował się przeciągłym dzwonieniem. Niestety, domofon był częściowo popsuty i musiałam gnać dwa piętra w dół. Na zewnątrz stała starsza pani z torebką i parasolką, a pół kroku za nią równie dojrzały wiekiem pan z dwiema walizkami. Dopiero po dobrej chwili w stojącej naprzeciw mnie siwej kobiecie rozpoznałam ciotkę Edytę, a w towarzyszącym jej opasłym, zupełnie łysym facecie – wujka Rogera. Od czasu, gdy zmarła babcia, nie utrzymywaliśmy z nimi zbyt częstych kontaktów, a po śmierci rodziców w ogóle przestaliśmy się widywać. Na mój widok wuj Roger porzucił walizki i wystąpił przed ciotkę.

– Nooo, kopę lat! – ucieszył się głośno i ostentacyjnie zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół. – Kto by pomyślał, że taki mały tłusciuch wyrośnie na zupełnie niebrzydką kobietę!

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo rzucił się na mnie z uściskami. Nigdy wcześniej nie zaznałam z jego strony takich czułości.

– Witaj, Sandro. – Ciotka zachowała się znacznie powściągliwiej i podała mi

zimną, pomarszczoną dłoń.

– Wpadliśmy do ciebie na trochę – oznajmił wujek i wrócił po walizki.

– To... znaczy? – spytałam zdumiona.

– Bez obawy, najwyżej na kilka dni – pośpieszył z wyjaśnieniem, widząc, jak taksuję niespokojnym wzrokiem jego bagaż. – Niedługo wylatujemy do Australii, na stałe. Wiesz, nie na nasze stare kości ten klimat, nie na nasze nerwy taka polityka. Sprzedaliśmy cały majątek, spakowaliśmy manatki, a tu masz, nagle coś tam się przedłużyło, coś tam się skomplikowało i sprawa się nieco opóźni. Moglibyśmy oczywiście przeczekać w hotelu, ale pomyślałem sobie, że byłoby ci przykro, gdybyśmy się tułali po hotelach, zamiast zagościć jak ludzie u najbliższej rodziny.

W istocie, gdyby pojęcie „najbliższa rodzina” mierzone było w kilometrach, byłaby to święta prawda. Dom wujostwa mieścił się ciągle niedaleko mojego, z tym że dzięki rozmaitym zmianom w infrastrukturze miasta ja teraz zamieszkiwałam w centrum, a oni na przedmieściu.

W sumie nie zdziwiłam się pierwszej reakcji Aleksa na wieść o ich dłuższej wizycie, bo moja była podobna, ale zanim wrócił z pracy, zdążyłam już sobie pewne rzeczy przemyśleć i poukładać. Byłam przekonana, że mój mąż robi tak samo i już jutro rano będzie z sytuacją pogodzony w takim samym stopniu jak ja.

– Wejdźcie, proszę. – Otworzyłam szerzej drzwi.

– Tylko mi nie mów, że nie ma windy – sapnął wujek, przepychając bagaże przez próg.

– Jest – uspokoiłam go. – Może ja pomogę...

Wujek natychmiast wziął od ciotki parasolkę, mnie oddał walizki. Na szczęście były na kółkach.

– Jesteście po obiedzie? – spytałam już w mieszkaniu.

Wujostwo odpowiedziało jednocześnie, przy czym ciotka powiedziała „tak”, a wujek „nie”.

Miałam akurat cały garnek spaghetti, uszykowany w przyływie kulinarnego szaleństwa dla nas z Alekssem na dziś i jutro, a teraz bardzo byłam ze swej zapobieg-liwości rada.

– Niestety, zupy nie ma, bo my raczej mało jadamy zup – tłumaczyłam się, stawiając przed nimi talerze.

– No przecież nie mogłaś wiedzieć, że przyjedziemy – pocieszył mnie wujek.

– Zjemy w takim razie czym chata bogata, choć, jak widzę, raczej nawet nie chata, tylko hacjenda... Wszak naszą narodową, ojczystą potrawą jest schaboszczak z kapuchą.

– A włoską narodową potrawą jest spaghetti – powiedział Aleks, który właśnie w tym momencie wrócił do domu. – Dzień dobry – przywitał się i spojrzał na mnie, oczekując na przedstawienie gości.

– Tak, tak, znam z opowiadań – rzucił mój mąż, gdy tylko zaczęłam mówić.
– Ja jestem Aleksander, mąż Sandry – dodał, jakby to mogło budzić jakiegokolwiek wątpliwości.

Na czas konsumpcji nastąpiła cisza. Wujek zamilkł, ciotka już wcześniej zbyt wiele nie mówiła, Aleks zaś, jak go znałam, zastanawiał się intensywnie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Mam nadzieję, że smakuje państwu kuchnia mojej żony? – spytał, gdy uznał, że milczenie przedłuża się bardziej, niż powinno.

– Szczerze powiedziawszy, ja tu kuchni jako takiej nie widzę: makaron kupny, mielone z paczki, przecier z hipermarketu. Mam rację? – Roger zawiesił głos. – Ale ujdzie od biedy.

– Moim zdaniem całkiem smaczne – dodała po chwili Edyta.

Przy kawie Aleks próbował podpytać wujostwo o cel ich wizyty, robił to jednak w swojej delikatności tak nieumiejętnie, że musiałam przyjąć mu z pomocą i powtórzyć to, czego sama się dowiedziałam, czyli o chwilowym opóźnieniu ich wyjazdu do Australii. Wujek wyjął z walizki butelkę brandy i poprosił o kieliszki.

– To nasze wkupne – oznajmił. – Mam nadzieję, młody człowieku, że gustujesz w dobrym trunku?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo gustuję w trunkach w ogóle, ale jeśli okazja jest zająca, nie pogardzę.

To był cały Aleks: miły, uprzejmy, dobrze wychowany. Nie lubił alkoholu i jeśli naprawdę nie musiał, nie pił. Już prędzej ja czasem skusiłam się na kieliszek dobrego wina przed snem, nawet bez okazji. Roger jednak polewał i poganiał. Gdy po trzecim kieliszku mój mąż zaczął robić się lekko zielony na twarzy, postanowiłam stanąć na wysokości zadania i zaczęłam dyskretnie wlewać jego alkohol do półmiska z resztkami spaghetti. Potrawę zaś, po zakończeniu biesiady, z bólem serca spuściłam w klozecie.

– Mówiłem ci już, Sandra, że wyrosłaś na całkiem przyjemną dla oka kobietę? – spytał Roger, gapiąc się na mnie od jakiegoś czasu.

– Mówiłeś, wujku – potwierdziłam.

– Boszsze... Bosze, jakie ty masz, Oluś, szczęście, żeś jej nie widział, jak była mała – zachichotał Roger, skupiając mętny już wzrok na moim dekolcie. – Wcale byś się z nią nie ożenił. Wcale a wcale! Kobieta powinna na pierwszy rzut oka urodą powalić faceta na kolana. Jak moja Edyta kiedyś mnie. Żony niestety starzeją się znacznie szybciej niż wszystko inne na świecie i dziś już nie wygląda jak piękna kobieta, ba, może nawet w ogóle jak kobieta nie wygląda, ale kiedyś... Nie schodziłbyś z niej, chłopie, w dzień i w nocy!

Edyta spuściła wzrok i oblała się rumieńcem.

– Na pewno bym się ożenił – zaoponował Aleks, nagle odzyskując kolory na twarzy. – Bo mnie Sandra w pierwszej chwili oczarowała wrażliwością i rzadko

dziś spotykaną odwagą, by bronić rzeczy dla niej ważnych. Dopiero potem zwróciłem uwagę na jej niewątp-liwą urodę oraz intelekt.

Roger spojrział na mnie spode łba, najwyraźniej powątpiewając w mój intelekt.

– Czyli... że niby na co?

– Wiedzę, inteligencję, błyskotliwe poczucie humoru – wyliczał Aleks, śmiało patrząc mu w oczy.

– No tak, o ile moje wiadomości są aktualne, Sandra zrobiła przecież maturę.

– Roger przypomniał sobie pewnie moje nieszczęsne korepetycje u jego córki, mające mnie przygotować do nauki w liceum.

– I maturę, i magisterkę, i doktorat – rozzuchwiał się Aleks, tak pokorny i skromny na co dzień.

– Do... do... kto... rat? – upewnił się Roger.

– Owszem, z filologii angielskiej. W sumie nie wiem po co, bo zaraz po studiach dostała świetną pracę, ba, niejedną nawet, a to był czas, że ludzie biegle władający angielskim byli poszukiwani. Doktorat tu niczego nie zmienił, ale cóż ja będę tak ambitnej kobiecie zaniżał poprzeczkę, wspierałem ją z całych sił.

Mina Rogera była w zasadzie do tej pory jedyną konkretną korzyścią, jaką dał mi ten tytuł. Rzeczywiście, dyplom doktora nie był mi do niczego potrzebny, a decyzję o studiach doktoranckich podjęłam, gdy się okazało, że nie możemy mieć dzieci. Możliwe, że chciałam sobie w ten sposób zastępczo zrekompensować poczucie własnej wartości.

– A ty, chłopcze? Czym się zajmujesz? – spytał wujek takim tonem, jakby niekoniecznie chciał poznać odpowiedź.

– Jestem programistą, piszę programy komputerowe. Ale niestety nie doktorem. W tym domu najwyższe wykształcenie mają kobiety.

– Czyli, można powiedzieć, nieźle wam się powodzi?

– Bardzo nieźle – przyznał Aleks beztrąsko.

Roger przez chwilę przyglądał mu się z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– To czemu nie macie dzieci? – spytał po chwili, poruszając najbardziej niezręczny temat, jaki mógł poruszyć.

– Bo... – zastanowił się Aleks i udzielił mu odpowiedzi, jakiej nigdy bym się po nim nie spodziewała – jak się ma pszczoły, ma się miód, a jak się ma dzieci, ma się smród.

Absolutnie nie miałam mu tego za złe, ponieważ rozmowa zmierzała do momentu, kiedy można było już być tylko szczerym, co w pewnych kwestiach nie wchodziło w grę, bądź zwyczajnie odbijać piłeczkę za pomocą głupich odzywek, oszczędzając sobie przykrości. Niespotykana ilość alkoholu, jaką wypił mój mąż (trzy pięćdziesiątki brandy), ewidentnie dodała mu luzu.

– W sumie racja – przyznał Roger. – Ja tam osobiście nie pamiętam, jak to

było, gdy Anetka była dzieckiem, ale inaczej być nie mogło. Dziecko to dziecko, je, śpi, wrzeszczy... No, Edyta, dopij, to ci naleję.

„Powitalna” kolacja wujostwa zakończyła się po północy. Nieprzyzwyczajona do posiadówek tego rodzaju, z przerażeniem spoglądałam na ilość sprzątanania, jakie czekało mnie jeszcze przed snem. Bardzo już zmęczona zebrałam naczynia ze stołu i załączyłam zmywarkę. Aleks pościerał blaty i rozłożył narożnik w „dużym pokoju” dla ciotki i wujka.

ROZDZIAŁ II

Ja, Sandra

Na imię mam Sandra i „zawdzięczam” je wujkowi Rogerowi właśnie. Rodzice zamierzali nazwać mnie Kazimiera, po tacie, ale wujek, wybrany przez rodziców na mojego chrzestnego, zaparł się, że żadnej Kazimiery do chrztu niósł nie będzie. Zbyt by to było dla niego uwłaczające jako dla Rogera. A ponieważ rodzicom bardzo zależało, żebym miała oboje chrzestnych na jak najwyższym poziomie, przystali na jego wybór. Moją chrzestną została siostra taty, która co prawda inżynierem nie była, ale za to po wielu latach pracy w Ameryce właśnie na stałe wróciła do kraju. Ona z kolei, jako najzwyczajniejsza Genowefa, krzywiła się na moje wymyślne imię, sugerując nazbyt może śmiało, że facet, który tak naprawdę jest pospolitym Mundkiem (od Rajmunda), raczej nie powinien mieć takich aspiracji. Zwłaszcza względem cudzego dziecka, bo siebie mógł przechrzcić, jak chciał.

Bolesną w ten sposób poruszyła ciocia Genia nutę, ponieważ mało kto już pamiętał prawdziwe imię Rogera. On sam zaś nie chciał go pamiętać najbardziej. Podobno już jako dziecko życzył sobie, by nazywano go Rogerem, a gdy osiągnął pełnoletniość, dokonał tej zmiany formalnie. Wujek – wiem z opowiadań mamy – od zawsze dążył do doskonałości, w każdym calu, nic więc nie miało prawa zgrzytać w jego wizerunku. A Mundek zgrzytał ewidentnie...

Moja mama, Benedykta, tata Kazik i brat Romek raczej nie mieli podobnych kompleksów, ja zaś – i owszem, bo bardzo chciałam mieć imię jak wszyscy: Ewa, Jola albo Beata. W czasach mojego dzieciństwa nikt normalny nie miał na imię Sandra. W końcu jakoś się przyzwyczałam, zwłaszcza że wraz z rozwojem samoświadomości dopadły mnie znacznie gorsze problemy, na przykład z akceptacją swojego odbicia w lustrze. Nie lubiłam tej różowej pyzy o spłowiałych włosach i z wiecznie zbyt krótko oraz krzywo przyciętą grzywką. Mama, jako osoba praktyczna i oszczędna, sama strzygła nas wszystkich, najlepiej na zapas, czyli tak krótko, jak się jej tylko udało, zanim któreś z nas wyrwało się jej spod nożyc. Tatę mama strzygła tylko z tyłu, bo z przodu był łysy, sama zaś korzystała z usług niejakiej Celiny, która mniej więcej co pół roku robiła jej u nas w domu trwałą ondulację. Pamiętam, że straszliwie śmierdziało przy tym w całym domu, dosłownie szczypało w oczy. Wytrzymałam to jednak, zawzięcie im asystując, bo Celina opowiadała strasznie ciekawe rzeczy. Była jedną z dwóch miejscowych elegantek, ale ponieważ była od „konkurentki” sporo młodsza, elegancją swoją budziła o wiele większe zgorszenie. Zwłaszcza że była... r o z w ó d k ą! U nas

w domu tolerowano ją w sposób umiarkowany, ponieważ tak się złożyło, że była chrześnicą mojej babci, która przecież pojęcia nie miała, co z niej w przyszłości wyrośnie, a jako osoba pobożna w teorii i praktyce nie mogła zdradzić własnej chrześnicy jako ten Judasz obmierzły...

Celina co roku jeździła na wczasy do Sarbinowa, a potem jeszcze przez jakiś czas dostawała różne listy i kartki, które przy okazji ondulowania mamy czytała jej na głos, czasem zniżając go do szeptu. Mówiła też z wielkim zapałem o modzie, co i gdzie sobie kupiła albo co dała do uszycia. Słuchałam tych relacji z żalem, marząc, by moja mama nosiła się równie modnie jak ona, by jak ona malowała usta i paznokcie. A gdy kiedyś powiedziałam jej o tym, spojrzała na mnie zimno i skwitowała krótko:

– No chyba ci rozum odjęło!

– Mamo, a jak Celina ma na imię? – spytałam, bo i jej imię wydało mi się dość dziwaczne jak na czasy i miejsce, a poza tym wolałam zmienić szybko temat. Przyzwyczajona, że spośród osób mi znanych mało kto nazywa się tak, jak się do niego mówi, miałam pewne podejrzenia.

– No Celina przecież. – Mama spojrzała na mnie zdziwiona, a potem, jakby zdziwiona jeszcze bardziej, dodała:

– Cześka. Czesława dali jej na chrzcie. Bo co?

– Bo nie znam żadnej innej Celiny – wyjaśniłam, moim zdaniem, wyczerpująco.

– A Sandrę jakąś inną znasz? – spytała mama.

– No nie... Niestety, we dwie byłoby jakoś różnie – westchnęłam i tym razem mama zmieniła temat, pytając, co chcę zjeść na kolację.

* * *

Czas dorastania, a może nawet i dłużej, spędziłam na uboczu. Czego? Wszystkiego. Jako osoba mocno zakompleksiona nie lgnęłam specjalnie do grona rówieśników, zaś najbliżsi, czyli dorośli członkowie rodziny, nie traktowali mnie jak partnera do czegokolwiek. Żyłam więc sobie we własnym kokonie, niewiele mówiąc, ale za to sporo myśląc. Nie byłam przecież ani głucha, ani ślepa, chętnie obserwowałam otaczających mnie ludzi, słuchałam, a raczej podsłuchiwałam rozmowy dorosłych i wyrabiałam sobie na wszystko swój własny pogląd. Na tyle dojrzały, na ile pozwalała mi moja własna dojrzałość. Oczywiście nie miałam tego z kim skonfrontować, moje przemyślenia nie były bowiem dla nikogo szczególnie interesujące. Czasem próbowałam o tym czy owym podyskutować ze starszym bratem, ale ten, zanim jeszcze doszłam do sedna, zawsze kwitował moje próby wypowiedzi w jeden sposób:

– Głupia jesteś. Głupia i gruba – dodawał, jakby oczywiste dla niego było, że im ktoś grubszy, tym głupszy.

I ja powoli zaczynałam w to wierzyć, zwłaszcza że Romek nie był osamotniony w ocenie mojej urody i niestety nie chodziło tylko o głupie docinki dzieciaków... Pamiętam, jak kiedyś siedziałam sobie w kuchni przy stole, rodziców ani brata nie było. Słuchałam radia i jadłam kanapkę z wędzoną makrelą, bo obiadu też nie było. Przyjechał mój chrzestny, wuj Roger. Był na lekkim rauszu.

– Rybka? – spytał. – Lubimy jeść, prawda?

– Ze szkoły przyszedłam, głodna jestem – odparłam, wyczuwając w jego głosie wyrzut.

– No tak... głodna jestem. A jak jestem głodna, to co robię? Jem. Żrę! Opycham się jak... jak ten wieprzek hodowlany!

Podniosłam głowę i spojrzałam na wujka, bo nigdy dotąd tak do mnie nie mówił. Zazwyczaj tylko szczypał mnie w policzki i klepał po plecach. Ale też nigdy dotąd się nie zdarzyło, byśmy mieli okazję być całkiem sami... Przelękałam się. Ale przede wszystkim zrobiło mi się przykro.

– W sumie... co z ciebie za Sandra? – ciągnął wujek. – Nie trzeba było mi się wtrącać. Bo ja jestem esteta. Rozumiesz?! Es-te-ta! A ty z estetyką nie masz za wiele wspólnego. O! Spójrz, jak żresz! Leci ci wszystko, na stół i pod stół...

Spojrzałam na stół i pod nogi. W istocie, od czasu, gdy wujek stanął za moimi plecami, kanapka zaczęła żyć własnym życiem. Jakby uświadomiona przez niego co do swego losu, nagle zaczęła się rozpaczliwie bronić przede mną... Odłożyłam ją na talerz i poczułam, że oczy zachodzą mi łzami. Nie chciałam tego, bardzo nie chciałam. Z drugiej zaś strony pomyślałam, że taki obrazek wujka zmiękczy i da sobie w końcu spokój. Ten milczał przez chwilę, jakby ważąc kolejne słowa.

– Baba... – odezwał się wreszcie. – Takie byle co, a już baba. I skąd toto wie, od najmłodszych lat, że w faceta łzami trzeba? Jak już nie ma innego wyjścia, jak już tylko ściana i mur: łzy załatwią wszystko! A czemu ty właściwie sama jesteś? – nagle zmienił temat. – Gdzież to rodzina moja się podziała? Matka, siostra, szwagier?

– Na pogrzeb poszli. Ciocia Marynia zmarła, nie wiedziałeś? – odparłam, szybko zbierając się w sobie.

– Aaaa... no tak. Wiedziałem. Ale to dziś? Dziś ten pogrzeb?

– Dziś.

Ciocia Marynia, szczerze mówiąc, nie była naszą żadną krewną. Była teściową Lucjana, starszego brata mamy i Rogera.

– Aha. Kiedy wrócą?

– Po pogrzebie – odparłam.

– Aha...

Przechadzał się po kuchni z rękami w kieszeni i, ku mojej wielkiej uldze, w końcu zamilkł. Po powrocie moich bliskich z pogrzebu poprosił babcię na

rozmowę, która trwała, w moim ówczesnym pojęciu, bardzo długo. Zapamiętałam też irytację moich rodziców. Teraz oni chodzili w podnieceniu w tę i nazad, choć kompletnie nie wiedzieli, czego owa rozmowa dotyczy. Nie mogli wiedzieć, bo wujek nie powiedział, z czym przychodzi, a babcia nie zdążyła. Wyteżyłam słuch i wzrok. Wyglądało na to, że po prostu martwią się na zapas.

Dla moich rodziców sam wujek Roger był już wystarczającym zwiastunem kłopotów. Oboje za nim nie przepadali, to dało się wyczuć. Wówczas myślałam, że owa niechęć do niego, a może raczej kompletny brak wzajemnego zrozumienia wynika po prostu ze zbyt dużych różnic: w wykształceniu, poziomie życia, a co za tym idzie – z najzwyczajniejszej zazdrości. Jeśli chodzi o mnie, już przestałam mieć mu za złe jego zachowanie, uznałam je w końcu za troskę o moją osobę, nieco szorstką, bo męską. Babcia zaś, którą kochałam nad życie, zawsze wyrażała się o Rogerze bardzo ciepło, a zatem uznając jego dywagacje za złośliwe, to ja się musiałam mylić. W końcu byłam tylko dzieckiem...

Późnym wieczorem, na długo po wyjściu wujka, zjawiała się u nas babcia. Była mocno podenerwowana.

– No ja nie wiem, co za ludzie i jak tak można – oznajmiła na wstępie i niemal padła na wersalkę.

Rodzice wpatrzyli się w nią bez słowa.

– Ta jego... żona. Ja zawsze widziałam, że to niedobra dziewczucha jest... – Babcia umilkła na dłuższą chwilę.

– O co chodzi? – spytał w końcu po męsku tata.

– Edyta chce spłaty z domu. Bo skoro Rodzusi wyszedł stąd z niczym, uważa, że należy mu się jego część. W gotówce... – Babcia złapała za kubek z herbatą, z którego przed momentem pił tata, i nerwowo pociągnęła spory łyk.

– No ale... rany boskie, co ty mówisz?! – Mama pobladła, a na jej twarzy odmalował się wyraz najwyższej grozy. – Przecież on nie ma z tym domem nic wspólnego! Kazik i ja żeśmy go zbudowali, po ślubie, za własne pieniądze! Nikt nam złotówki nie dołożył!

– Powiedziałam mu dokładnie to samo.

– No chyba raczej nie wyszedł z niczym – dodał z przekąsem tata. – Kupiła mu mama auto, jakiego nikt w okolicy nie miał.

– Po sprawiedliwości, żeby z gołą dupą w świat nie szedł! Wam dałam plac pod dom i hektar pola. – Babcia znów pociągnęła z tatowego kubka.

– I co, zapomniał o tym, a teraz ma czelność się o coś upominać? – Tata poczerwieniał na twarzy.

– No wiesz... Ja o żadne pokwitowanie nie wołałam, syn to syn, skąd miałam wiedzieć, że mu się taka modliszka trafi... Ale wierzę, że Roger przegada tej... swojej... żonie do rozumu...

Im bardziej tata robił się na obliczu purpurowy, tym bardziej bladła mama.

W pewnym momencie zafascynowało mnie to zjawisko bardziej niż sama treść rozmowy. Bo przecież oboje rodzice uczestniczyli w tym samym wydarzeniu, oboje byli bardzo przejęci, a tak różnie reagowali! Tata wrzeszczał i kłął, mamę zaś jakby w pewnym momencie zamurowało. Wyjaśnił mi to później mój brat. Wrócił do domu już po wszystkim, ubrudzony i rozczochrany bardziej niż zwykle, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Rodzice zamknęli się w sypialni, by dalej toczyć swoje dysputy, więc mogłam mu swobodnie streścić, co tu się rozegrało.

– Spokojnie, nic się nie dzieje – podsumował beztrzesko. – Takie tam gadanie... Żeby tylko ojcu z tego wszystkiego żyłka nie pękła!

– Jaka żyłka, gdzie? – przeraziłam się. – A jak mu pęknie... to co?

Romek odpowiedział mi gestem, wymownie przejeżdżając sobie palcem w poprzek szyi.

– Bzdury! – zaoponowałam z przekonaniem.

– Stary ma wysokie ciśnienie, nerwy mu szkodzą. Mamie robią dobrze, bo ma za niskie. Czerwony był?

– Czerwony...

– No widzisz. Bo jak się wkurza, to mu się żyłka zatyka i pęcznieje. Aż kiedyś tak mu napęcznieje, że pęknie, zobaczysz.

– Ciekawe, czy ciotka Edyta zdaje sobie sprawę, do jakiego nieszczęścia może ta jej pazerność doprowadzić! – wybuchnęłam, ale Romek mnie uciszył.

– Zamknij się, bo rodzice przylecą. Jaka znowu Edyta, tłuczku?

– Jak to jaka? – Tłuczka zignorowałam z przyzwyczajenia. – Od Rogera.

– Już ty lepiej o tym nie myśl, bo ci zaszkodzi bardziej.

– Ale... o co ci chodzi?

– O to co zawsze. Głupiaś, boś gruba. A grubaś, boś głupia – skwitował jak zwykle i poszedł do swojego pokoiku na poddaszu.

* * *

Nazajutrz była niedziela. Po przyjściu z kościoła babcia nie przebrała się w „zwykłe” niedzielne ubranie, zmieniła tylko torebkę z lakierowanej na matową.

– Żeby mi się w autobusie nie złachała – oznajmiła, widząc, że się jej przyglądam. – A może chcesz jechać ze mną? Raźniej będzie we dwie.

– Dokąd? – spytałam ciekawie.

– Do Edyty.

– No pewnie, że chcę – ucieszyłam się, bo córka wujostwa, Aneta, miała zabawki, o jakich ja nie śmiałam nawet marzyć. A konkretnie wózek i lalkę-dzidziusia, a także wielką lalę, która prowadzona za rękę potrafiła chodzić i mówić „mama”. Aneta była już duża i nie bawiła się lalkami, więc przy każdej wizycie u nich liczyłam na to, że je po niej odziedziczę.

– Aneta będzie? – spytałam z nadzieją, że nie, bo, podobnie jak jej ojciec,

onieśmiała mnie okropnie.

– Nie, jest na jakiejś wycieczce. Mam nadzieję, że Rogera też nie będzie, bo dziś mam interes tylko do synowej...

Trochę się zlekłam, że dojdzie do kolejnej awantury o spłatę za dom, tym razem z ciotką. Myśl o zabawkach Anety zdominowała jednak szybko moje obawy.

Ciocia Edyta, tak jak chciała babcia, była sama. Kończyła sprzątać kuchnię po niedzielnym obiedzie. U cioci zawsze było wysprzątane na błysk. Wujostwo mieszkali w niedużym parterowym domu, niemal w centrum miasta. Nie mieli gospodarstwa, nie chowali nawet kur, ciocia pracowała jako ekspedientka w eleganckiej perfumerii, miała więc wiele czasu na sprzątanie, a do tego obowiązek dbania o swój wygląd. Tak mówiła mama, dlatego można było do niej wpadać o każdej porze i zawsze zastać idealny porządek, ją samą zaś – porządnie ubraną i uczesaną. Moja rodzicielka ze względu na notoryczny brak czasu kwestie swojego wyglądu załatwiała, jak już wspomniałam, regularną trwałą, większe sprzątanie natomiast odbywało się przed niedzielą i świętami.

– Mama? O, i ty, Sandrusiu – zdziwiła się ciotka na nasz widok, bo było to w czasach, gdy telefon posiadał mało kto, więc ludzie nie uprzedzali się o swoich wizytach, a drzwi wejściowych w ciągu dnia nie zamykało się na klucz.

– Roger jest? – spytała babcia i szybko przycupnęła, żeby zdjąć buty, gdy tylko Edyta pochyliła się w jej stronę celem cmoknięcia babci w policzek. – Sandra, buty!

Po chwili obie stałyśmy na bosaka na wilgotnej jeszcze podłodze, choć Edyta protestowała przeciw takiemu gestowi z naszej strony. Myślę, że babcia chciała dać ciotce w ten sposób coś do zrozumienia. Pokazać może, jak bardzo się od nas różni.

– Nie ma Rogera. Poszedł z kolegami na brydża, wróci raczej późno...

– To dobrze, bo ja do ciebie – skwitowała babcia i usiadła przy stole.

– Napije się mama herbaty? Niestety, nie upiekłam ciasta, bo Anetka poza domem, a Roger nie lubi domowych wypieków. Ja muszę, Niestety, dbać o linię, bo z wiekiem utrzymanie sylwetki jest coraz trudniejsze...

Babcia zmierzyła niechętnym wzrokiem szczupłą i zgrabną synową.

– No pewnie, że musisz – mruknęła pod nosem. – Aby z gości na ości!

Ciocia nastawiła wodę na herbatę i wówczas znów jakby mnie dostrzegła.

– A ty, Sandruniu? Chcesz się napić?

– Nie. Aaaa... Czy mogłabym się pobawić lalkami?

– Proszę. – Edyta uchyliła drzwi do pokoju Anety, gdzie, nie wiadomo po co, wciąż ułożone na meblach były jej dziecięce zabawki.

Mnie niczego więcej do szczęścia nie było trzeba. Zająłabym się zabawą, ostrożnie, żeby niczego nie popsuć, ale dzięki podzielności uwagi rozmowa kobiet docierała do mnie z kuchni. Nie było to zamierzone, dzieci chyba po prostu tak

mają, pozornie skupione na swoich czynnościach doskonale słyszą i widzą, co się wokół dzieje.

– Tylko mi nie mów, że nie wiesz? – to chyba była odpowiedź babci na pytanie ciotki, czy coś się stało.

Wyteżyłam mimo woli słuch.

– Naprawdę, Edyta, wstydziłabyś się! Jeszcze ci czegoś więcej trzeba?

Babcia zawiesiła głos. Ciotka milczała.

– Masz dom, urządony jak u jakiego doktorostwa, ogród jak z bajki, na wczasy co roku do Bułgarii jeździsz, córka jedynaczka, ptasiego mleka jej tylko brakuje. Ziemi wam hektar zapisałam dobrej, nie uprawiasz jej, twoja sprawa, ale ziemia swoją wartość ma!

Ciotka milczała w dalszym ciągu.

– Że już o aucie nie wspomnę, bo wypominać nie lubię! – babcia podniosła głos.

Odruchowo spojrzałam za siebie. Przez uchylone drzwi widziałam tylko babcine plecy i twarz ciotki oraz jej rękę z kubkiem herbaty. Edyta miała paskudną minę, zacięte usta i zmarszczone brwi. Przez chwilę bałam się, czy nie walnie babci tym kubkiem w głowę.

– I co? Dalej uważasz, że wołanie pieniędzy od Beni i Kazika jest w porządku? Z ich krwawicy? Od ust sobie odejmowali, żeby dojść do tego, co mają, a i tak ani im się równać do ciebie! Może powiesz mi w końcu coś łaskawie?

– W tej sprawie mogę ustalić coś jedynie wspólnie z Rogerem – odparła w końcu Edyta. – To jego dziedzic-two, nie moje.

– Jakie dziedzictwo, dziewucho? – oburzyła się babcia. – Ja już cały majątek podzieliłam między swoje dzieci, każdy po równo dostał, sama nie mam już nic... I jakoś nikt nie woła, że mu mało, tylko ty jedna!

Ciotka znów na jakiś czas umilkła, a zaciśnięte wokół kubka palce aż jej zbieleły. Porzuciłam zabawę i podbiegłam do niej, chcąc, jakby co, zapobiec jej atakowi na babcię.

– Albo może daj, ciociu, jednak tej herbaty, zaschło mi w buzi... – wymyśliłam na poczekaniu.

Ciotka wstała i zapaliła gaz pod czajnikiem. Usiadłam z nimi przy stole, z ogromnym żalem rezygnując z zabawy, ale uznałam, że sytuacja tego ode mnie wymaga. I chyba słusznie, bo ton rozmowy nagle się zmienił: babcia zaczęła wypytywać o Anetę, jej postępy w nauce i najbliższe plany na przyszłość. Kuzynka bowiem przygotowywała się do matury i zastanawiała się nad wyborem studiów.

– Pójdzie na farmację albo na architekturę, teraz tylko między tymi dwoma kierunkami się waha. – W tym temacie ciotka czuła się wyraźnie swobodniej. – Jeden i drugi zawód dobry, z przyszłością...

– Daj jej Boże, żeby tylko egzaminy szczęśliwie pozdawała – westchnęła

babcia. – Ale Aneta jest zdolna, to chyba problemu nie będzie.

Ciotka wyglądała na mile połączoną tym zdaniem, ale nie skomentowała.

– Ale to trochę tak, jakbyśmy ją stracili. Wyjedzie i zamieszka w akademiku. Już od października. Oczywiście będzie przyjeżdżała na święta, na wakacje, ale to już nie to samo... A kiedy skończy studia, może zechce się przeprowadzić do większego miasta? Kto wie?

– Tak to bywa właśnie, jak się wychowa jedynaka – podsumowała babcia w swoim stylu.

W tym momencie dostrzegłam cień szansy na realizację moich wieloletnich marzeń.

– Ciociu... – zaczęłam nieśmiało. – Skoro... Aneta wyjedzie, to już nie będzie się bawiła zabawkami?

– No pewnie, że nie. Już od dawna się nie bawi. To poważna, dorosła panna.

– Czy mogłabym więc je sobie wziąć? – to pytanie kosztowało mnie naprawdę wiele śmiałości.

– Wziąć? – Ciotka spojrzała na mnie zdziwiona.

– Sandra! – skarciła mnie babcia. – Nie wypada!

Wiedziałam, że nie wypada, ale to było zdecydowanie silniejsze ode mnie.

– No nie wiem, musiałabym zapytać Anetę – odparła ciotka z wahaniem.

W tym momencie, niczym dobra wróżka pomagająca spełniać dzieciom ich marzenia, do kuchni wpadła Aneta.

– Cześć, mamuś, dzień dobry, babciu! – przywitała się ze wszystkimi, zrzucając z ramienia plecak.

Osobną chwilę uwagi poświęciła mnie.

– Co tam u ciebie, pączusiu, hę? – spytała, szczypiąc mnie w policzek dokładnie jak jej ojciec.

Tym razem nie miałam jej tego za złe, za schedę w postaci zabawek byłam skłonna nawet nadstawić drugi policzek. Aneta, nie czekając na moją odpowiedź, rzuciła się w stronę lodówki.

– Co tak wcześniej? – spytała ciotka. – Coś się stało? Miałaś wrócić późnym wieczorem...

– Nic się nie stało, po prostu zdążyliśmy na wcześniejszy pociąg. Rany, jaka jestem głodna! Nie miałam nic w ustach od śniadania!

– Na kuchence są klopsy z obiadu, powinny być jeszcze ciepłe. Kaszy już nie ma, więc możesz zjeść z chlebem.

Babcia spoglądała z dezaprobatą to na ciotkę, to na wcinającą na wpół zimne klopsy wnuczkę.

– To może ja ci herbaty gorącej zrobię, dziecko? – Babcia nie wytrzymała w końcu.

– Niechże mama siedzi – zaprotestowała ciotka. – Aneta to duża dziewczyna,

potrafi się sama obsłużyć.

W kontekście słów „duża dziewczyna” moje myśli znów zajęły jej marnujące się zabawki. Zebrałam się więc ponownie na odwagę i tym razem zapytałam o nie bezpośrednio kuzynkę.

– Ależ jasne, bierz, co chcesz, możesz również zabrać wszystkie książeczki z bajkami – odparła, nie podnosząc głowy znad talerza.

– Naprawdę? Mogę?

– Pewnie.

Zerwałam się od stołu i pobiegłam wybrać te, które chciałabym wziąć z sobą już dziś, bo wszystkiego naraz zabrać by się nie dało. Wpakowałam do wózka dla lalek „dzidziusia” z wyprawką, na to udało mi się jeszcze upchnąć „chodzącą” lalę i kilka bajek. Gdy już kończyłam, do pokoju weszła ciocia i zamknęła za sobą drzwi.

– Nie możesz tego zabrać – oznajmiła ściszym głosem.

Stałam jak wryta na wprost będących już niemal moją własnością skarbów, a gdy już całkiem dotarły do mnie jej słowa, wyszłam z pokoju, pochlipując, i usiadłam przy babci. Przez chwilę miałam nadzieję, że Aneta wyjaśni nieporozumienie, ale jej już nie było. Poszła sobie dokądś, zostawiając mnie z poczuciem wielkiego oszustwa i niespotykanej krzywdy.

– Chodź, Sandra, na nas już chyba pora. – Babcia wytarła mi swoją chustką kapiący nochal i pociągnęła mnie za rękę ku wyjściu.

Do przyjazdu autobusu miałyśmy jeszcze całkiem sporo czasu, było już trochę chłodno i kropił deszcz, ale nie miałam babci za złe, że wyszłyśmy tak wcześniej. Usiadłyśmy na przystanku pod wiatą. Babcia przytuliła mnie mocno, żeby utulić mój żal i ogrzewać mnie swoim ciałem. Teraz już mogłam na całego dać upust swoim emocjom, więc rozbeczałam się w głos.

– Pamiętaj, wnusiu, nigdy nikogo o nic nie proś – szeptała mi do ucha. – A już na pewno nie kogoś takiego jak Edyta. Widzisz? Tylko ci głupio teraz i smutno. Trzeba mieć swój honor, dziecko...

– Ale... ale ja tak strasznie chciałam... – tłumaczyłam się zdruzgotana.

– Wiem, że chciałaś. I kupię ci taką lalkę, wózek też. Jak tylko dostanę rentę.

– To są... bardzo drogie rzeczy... wiesz?

– Wiem. Dlatego może nie będą takie same, ale będą twoje własne.

Gdy dojechałyśmy do domu, po moich łzach nie było już śladu. Bo kochana babcia zawsze dotrzymywała słowa, wiedziałam więc, że lada dzień spełni swoją obietnicę. A ciotka Edyta z dnia na dzień przestała mi się wydawać taka piękna. Teraz, kiedykolwiek o niej pomyślałam, stawała mi przed oczami twarz macochy Królowny Śnieżki z bajki Disneya: czarnowłosej bladej pani o wyrazistych, kruczonych brwiach i wykrzywionych złością pełnych, karminowych ustach.

ROZDZIAŁ III

Bez ofiar w ludziach

– Słuchajcie, kochani, śniadanie musicie sobie zrobić sami – poinstruowałam wujostwo przed wyjściem do pracy.

Przez to wczorajsze „powitalne” posiedzenie trochę zasnęłam, każda minuta była więc dla mnie na wagę złota. Aleks wychodził wcześniej, niestety nie przewidział, że zaśpię, bo byłby mnie pewnie obudził przed wyjściem. Poza tym nie jadaliśmy w domu śniadań, ot, taki zwyczaj. I u mnie w pracy, i u niego był dobrze zaopatrzony bufet, w porze lunchu przyjeżdżał obwoźny catering z ciepłymi daniami, a po drugiej stronie ulicy był bar sałatkowy, gdyby ktoś nie gustował ani w jednym, ani w drugim. Oboje z Alekssem nie przywiązywaliśmy zbyt dużej wagi do jedzenia, przeważnie stołowaliśmy się poza domem, czasem jednak ja lub on, w porywach dobrej woli i wolnego czasu, osobiście robiliśmy obiad lub kolację. Jak ja poprzedniego dnia spaghetti, które okazało się być szczytem mojej zapobiegliwości.

– W porządku, Edyta coś tam robi – przystał na taki stan rzeczy wujek i zajrzał do lodówki.

Pełna nagłych obaw zajrzałam mu przez ramię i odetchnęłam z ulgą. Były jajka, biały i żółty ser, trochę szynki oraz pomidory. Powinno wystarczyć, musiałam jednak koniecznie zrobić dziś jakieś zakupy.

Do pracy się nie spóźniłam, byłam jednak nieco rozkojarzona i tłumaczenia tekstów, które miałam przygotowane na dziś, szły mi nieco opornie. W chwilach gdy myśli uciekały od powierzonego przez szefa zadania, opędzałam się przed pokusą zamartwiania się, czy aby wujek i ciotka mają wszystko, czego im trzeba. Zaraz potem ganiłam się za to w duchu (w końcu naprzeciwko naszego domu był sklep) i wracałam do pracy, by po kwadransie znów złapać się na tym, że moje myśli błądzą gdzieś w okolicach domu.

Chyba powinnam wziąć kilka dni wolnego – pomyślałam z westchnieniem – i zmierzyć się z zadaniem, jakie wzięłam na swoje barki jako prawdziwa pani domu...

Po powrocie z pracy owo „chyba” zmieniło się na „z pewnością”. Ciotka pomyliła pralkę ze zmywarką (stoją obok siebie w kuchni) i wytlukła w ten sposób pół kompletu talerzy, pralka natomiast wymagała naprawy bądź wymiany na nową. Otwarty zamrażalnik w lodówce się rozmroził i zalał podłogę w kuchni, co z kolei zaszkodziło panelom. Na mój widok wujek odłożył gazetę i wstał z krzesła.

– Jesteś wreszcie – powiedział z ulgą.

Ogarnęłam wzrokiem wybrzuszoną podłogę, stojący na środku kuchni kubek pełen szkła, drzwiczki od pralki ze zwisającą z nich smętnie uszczelką i powoli dotarło do mnie, co mogło się stać.

– Twoja ciotka ma galopującą demencję – poinformował mnie.

Edyta siedziała ze spuszczoną głową, a gdy podniosła ją na moment, by spojrzeć na mnie, zobaczyłam jej pełne łez oczy. Fakt, miała powody, by czuć się co najmniej niezręcznie, ale, u jasnej choinki, nie była przecież w mieszkaniu sama! Nie chciałam być niemila, ale powiedziałam głośno to, co cisnęło mi się na usta.

– A ty? Nie mogłeś dopilnować tego, co robi? Bo chyba miałeś ciotkę w zasięgu wzroku!

– Skąd mogłem wiedzieć, że aż tak narozrabia? – obruszył się Roger. – W domu zachowywała się inaczej, tam wiedziała, co gdzie stoi i do czego służy.

– Okej, to potrafię zrozumieć, ale czy nie mogłeś chociaż zamknąć drzwi od lodówki? Twoje stopy tkwią w kałuży wody...

– Ja jej nie otworzyłem. – Spojrzał z wyrzutem na ciotkę, zabrał gazetę i wyszedł do pokoju.

Edyta nadal miała spuszczoną głowę, a jej ramionami wstrząsały drgawki. Usłyszałam ciche szlochanie. Złość mi przeszła, zrobiło mi się jej żal. Przycupnęłam u jej kolan i położyłam rękę na jej dłoni.

– Ciociu... co tobie jest? – spytałam cicho. – Jesteś... chora?

– Nie – odparła po chwili. – Może stara, może nie tak sprawna jak dawniej, ale to nie żadna demencja. Ja... po prostu...

– W porządku. – Pogładziłam ją po ramieniu. – Idź, odpocznij, jakoś to wszystko z Alekssem ogarniemy, ja wezmę trochę wolnego i nie zostawię was już tu samych.

Zadzwoiłam do Aleksa, żeby z grubsza przygotować go na to, co zastanie w domu, i zabrałam się za sprzątanie. Mój mąż wbrew wszelkim przewidywaniom wrócił do domu w doskonałym nastroju. Jakby ucieszył się, że wyszło na jego...

– Nie martw się, kochanie, mogło być gorzej. Mogli na przykład wysadzić w powietrze cały blok – roześmiał się i mocno mnie przytulił.

– Faktycznie, mogli. Co tak późno? – spytałam i objęłam go za szyję. – Źle mi bez ciebie...

– Postanowiłem nie odkładać tego na później i kupiłem nową pralkę. Nad tą nie ma co rozpaczać, nie była już pierwszej młodości. Jutro przywiozą, zamontują i zabiorą starą. Cieszysz się?

– Jasne! A co z podłogą? Też kupiłeś nową? – Wtuliłam się w niego jeszcze mocniej.

– Niestety. Te kilka paneli trzeba po prostu ułożyć na nowo, gdy wyschną. A jeśli nie będą się nadawały, dokupić. Żaden problem. To akurat sam potrafię

zrobić.

– Boże mój, jak ja cię Kocham! – wyszeptałam. – I wiesz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdyby nie to pobożowisko, mogłabym sobie tego faktu nie uświadomić.

– Tu rzeczywiście mi się przysłużyli jak mało kto. Raptem jedna pralka i kawałek podłogi, a korzyść? Bezcenna! Chyba pójdę im podziękować.

Aleks roześmiał się, a ja mu zawtórowałam.

– Trzeba będzie zabrać ich dokądś na obiad, może do pierogarni? – zastanowiłam się na głos.

– Pierogi to polska narodowa potrawa? – spytał Aleks, wciąż jeszcze chichocząc.

– O ile nie są ruskie – odparłam i teraz już musieliśmy zaszyć się w sypialni, by wujostwo nie usłyszało naszych wybuchów śmiechu.

* * *

Wizyta w pierogarni również nie była najlepszym pomysłem, podobnie jak śniadaniowa samoobsługa w wykonaniu wujostwa. I nie chodziło o to, że Roger przy wybieraniu pierogów grymasił, chociaż grymasił. Nie chodziło również o to, że ciotka co chwila biegała do toalety, chociaż biegała. W końcu oboje wybrali sobie danie, które bardzo im smakowało. Nie chodziło także i o to, że gdy przyszło do płacenia, oboje zastygli w żywy kamień. Pierogi nie należały do drogiej potrawy, było nas stać na żywienie wujostwa w znacznie droższych lokalach. Rzecz w tym, że gdy wracaliśmy do domu, ciotka potknęła się w windzie, zahaczyła torebką o barierkę przy lustrze, a wówczas wysypały się z niej sztucce, metalowy serwetnik i organizer z przyprawami. Zrobiło mi się słabo. Mój mąż, zanim winda zdążyła się zatrzymać, zgrabnie wszystko zebrał i upchnął na powrót w torebce ciotki. Ona sama, gdy już weszliśmy do mieszkania, wywaliła wszystko ponownie na stół, po czym zaczęła uważnie oglądać przedmiot po przedmiocie.

– Edyta! – krzyknął na nią Roger, co w pierwszej chwili wyglądało jak wyrzut pod jej adresem.

Ciotka zastygła z kolejnym widelcem w dłoni.

– No cóż... Może to wam choć trochę zrekompensuje potłuczone naczynia – powiedział wujek.

– Sztućców ci akurat u nas dostatek – wycedził przez zęby mój nadzwyczaj spokojny małżonek. – Poza tym nie oczekiwaliśmy od was żadnej rekompensaty.

– No ja rozumiem, że widelec to nie talerz, ale może powinienes choć trochę docenić Edyty poczucie odpowiedzialności za straty.

Na takie słowa Aleks wyraźnie skapitulował, bo po prostu trudno było na nie cokolwiek odpowiedzieć. Wieczorem, gdy byliśmy już w łóżku, zajął się analizowaniem tego niemiłego zdarzenia.

– Sandra, ile oni mają lat? – spytał.

Nie wiedziałam tego zbyt dokładnie, więc zajęłam się obliczeniami.

– Oboje są po siedemdziesiątce – odparłam z namysłem. – Z tym że ciotka jest pewnie trochę młodsza...

– Myślisz... że to po prostu... starość? I że my też kiedyś tacy będziemy?

– Jeśli chodzi o mnie, pewnie byłabym bardziej skłonna pomylić pralkę ze zmywarką, niż kraść w knajpie sztuce... tak uważam dziś, a co będzie kiedyś? Kto wie?

– Jestem o tym przekonany – odparł Aleks.

– O czym?

– Że prędzej byś pomyliła żelazko z odkurzaczem, niż dopuściła się kradzieży.

Jego konkluzja znów rozbawiła nas tak bardzo, że od chichotów przez łaskotki przeszliśmy do całkiem poważnych, małżeńskich „zajęć”.

ROZDZIAŁ IV

Wsiowe życie w małym mieście

Ciocie Edytę, jak tylko pamięcią sięgam, postrzegałam jako kobietę wyjątkową. Elegancka, kulturalna, zawsze zadbana, taka... z lepszego świata. Była inna niż wszystkie kobiety, które znałam, nie wyłączając mojej mamy i rzecz jasna babci.

Dom mojego dzieciństwa wspominam jako wieczne pole walki z naturą. Jak wszyscy dokoła, posiadaliśmy ziemię, którą należało uprawiać, i w związku z tym od najwcześniejszej wiosny to pogoda ustalała rytm naszego życia. Zasiewy, bielenie drzew owocowych w ogrodzie, sadzenie ziemniaków, sianokosy, żniwa, młocka, zbiór kapusty i buraków, wykopki – wszystkie te czynności determinowały nasze życie. No i oczywiście zaprawy: kiszenie kapusty i ogórków, dżemy, kompoty, sałatki. Poza użeraniem się z florą były jeszcze obowiązki wobec domowej fauny: krów i owiec, które od wiosny po jesień trzeba było wyprowadzać na łąkę, ponadto owce raz do roku należało strzyc, a krowy dwa razy w ciągu dnia doić. Była świnia i króliki, które w zasadzie tylko żarły, spały i produkowały obornik. Były również kury, które trzeba było bladym świtem wypuszczać z kurnika, karmić krojonym w drobną kostkę czerstwym chlebem, a wieczorem zadbać, by każda z nich wróciła na grzędę. A jeśli zachodziło podejrzenie, że któraś z nich popełniła dywersję i zniosła jajko gdzieś w krzakach – trzeba było aż do skutku poszukiwać go z pomocą latarki.

Praca na roli nie była jedynym źródłem naszego -utrzymania, a wręcz przeciwnie – dochody z niej miały się nijak do ponoszonych nakładów, ale z przyczyn sentymentalno-patriotycznych, skoro już ziemia w rodzinie była, należało ją uprawiać. I to było dla mnie niepojęte. Tata nieźle zarabiał jako kierowca PKS-u, mama pracowała w sklepie spożywczym, co pod koniec „głodnych” lat osiemdziesiątych było nie lada fuchą, bo jeść musiał przecież każdy, ale nie każdy zadowalał się dżemem i pasztetową. Taki na przykład lekarz, prawnik, nauczyciel czy inny badylarz mieli zdecydowanie delikatniejsze podniebienia, więc ktoś, od kogo zależał obrót deficytowymi artykułami spożywczymi, nie tylko godnie wyżywił własną rodzinę, ale i był w stanie zaopatrzyć ją w artykuły deficytowe innego rodzaju – na zasadzie handlu wymiennego. Ale w polu pracować należało, bo dziad – pradziad, bo ojciec, bo świętość.

Należy także dodać, że wszystkie otaczające mój dom gospodarstwa były własnością ludzi bliżej lub dalej z nami spokrewnionych. Nasz wspólny przodek,

który dwa wieki temu tu się osiedlił i rozmnożył, stał się niemal obiektem kultu dla wszystkich kolejnych pokoleń. Nie można było zaprzepaścić takiego dziedzictwa. Pamiętam, że gdy jako pierwsza zdradziła ten model życia ciocia Jadzia, druga po Celinie z aspiracjami do elegancji, sąsiedzi kipieli z oburzenia. Bo jak można spać do siódmej, gdy trzeba kury wypuścić z kurnika, gdy krowa już od co najmniej godziny powinna mieć pełny żłób, a wieprzek koryto?

– Ona po nocach powieści czyta, na telewizor się patrzy – tłumaczono sobie ze zgorzaniem taki stan rzeczy.

Ciocia Jadzia, chcąc zaradzić problemowi, po prostu... pozbyła się całej gospodarki. Po zjedzeniu ostatniej kury sprzedała krowę, a pole puściła odłogiem. Po co niby miałyby sobie zaprzętać tym głowę, gdy jej mąż, urzędnik na wysokim stołku, co miesiąc przynosił solidną wypłatę, a ponadto dostawał talony na artykuły spożywcze oraz kupony materiałów na sukienki dla ciotki? Jak tylko dłonie Jadzi przestały nosić ślady grzebania w ziemi, zapuściła paznokcie, polakierowała je na czerwono i w swoich wytwornych sukniach z deputatu zaczęła bywać w teatrze. Z wujkiem urzędnikiem. A to było jeszcze gorsze niż czytanie powieści...

Moja mama nie była taka rozwiązła. W zakresie dopuszczalnej lektury prenumerowała „Przyjaciółkę”, studiowała kalendarz rolniczy i książki o treści religijnej. Myślę, że gdyby musiała sobie pomalować paznokcie, chyba prędzej by je sobie odrąbała. Takie praktyki (że już o malowaniu ust czy różowieniu policzków nie wspomnę) były synonimem bezbożnictwa i rozwiązłości.

Dlatego często widywałam ojca, który po przyjściu z pracy i zjedzeniu obiadu kradł dla siebie kwadransik, drzemiąc przy stole z głową ułożoną obok talerza, by po chwili złapać za kosę i pędzić żąć jęczmień aż do zachodu słońca. Potem czekało go pięć, sześć godzin legalnego snu i ośmiogodzinna dniówka w trasie. I tak w koło, aż do młocki. Mama, zanim wyszła do swojej pracy, musiała nakarmić zwierzaki, obudzić ojca, podać mu śniadanie i zrobić kanapki, a zimą zaczynała od palenia pod kuchnią. Gdy zaczynałam drugi rok studiów, tata nagle zmarł na udar, czyli jak od dawna krakał Romek, „pękła mu żyłka”. Po jego śmierci mama pozbyła się wszelkich zwierząt hodowlanych (poza drobiem), bo w pojedynkę już nie dawała ze wszystkim rady, a na pomoc moją i Romka mogła liczyć tylko w czasie wakacji. Jeśli zaś chodzi o ziemię, mniej więcej rok później razem z bratem puściliśmy wszystko ugorem.

A wszystko dlatego, iż pewnego dnia mama biegła do sklepu, nie rozejrzała się porządnie na boki i przebiegając przez jezdnię, wpadła pod auto, po czym musiała spędzić cztery miesiące w szpitalu. Jak tylko odzyskała zdolność mówienia, zaniepokoiła się o zboże, buraki ćwikłowe, kapustę i ziemniaki, więc chodziliśmy z bratem w pole sumiennie każdego dnia. Zazwyczaj zaczynaliśmy od planu, co dziś zrobimy i dokąd, potem jednak wdawaliśmy się w bardzo ważne życiowe dysputy i... słońce jakoś tak niespodziewanie zachodziło. Tuż przed

wyjściem mamy ze szpitala na polu niewiele już dało się zrobić. Perz tak się rozprzestrzenił, że stłamsił właściwą roślinność, która dosłownie zmarniała w oczach, a stonka zżarła ziemniaki.

– Diabelska to rzecz – skomentował brat, patrząc smutno na efekt naszych działań na dzień przed wypisem mamy ze szpitala. – No bo żeby tak się zło rozplenilo i zżarło to, co dobre?

– A może to po prostu przeznaczenie? – odparłam w zadumie. – Jakiś znak, że jeśli człowiek nie ma rolnic-twa we krwi, nie powinien się za to zabierać?

Brat już w domu złapał za kalkulator, rzetelnie wyliczył wszystkie „winien” i „ma”, po czym wyszło mu czarno na białym, że do rodzimego rolniczego hobby zdecydowanie więcej się dokłada, niż zyskuje. Mama nie pogodziła się z naszymi argumentami, po pewnym czasie jednak musiała dojść do obiektywnego wniosku, że poprzez zaniechanie prac polowych nie tylko nie ubyło jej pieniędzy, a wręcz przeciwnie. I zrobiło się przy tym o wiele więcej wolnego czasu.

* * *

Mimo iż moja rodzinna miejscowość od bardzo dawna szczyciła się prawami miejskimi, wcale nie wyglądała jak miasto: poza kilkoma kamienicami, stojącymi dookoła niewielkiego brukowanego rynku, przeważało budownictwo jedno- lub dwurodzinnych domów z warzywnym ogródkiem z przodu i wybiegiem dla kur z tyłu. Ludzie też nie mieli jakichś specjalnych aspiracji do mieszczańskiego życia, poza nielicznymi wyjątkami, jak ciocia Jadzia i Celina rozwódka, o których już wspomniałam. Poza modną odzieżą używały one również perfum i kremów, a ja jako dziecko opakowania po tych specyfikach skrzętnie wyszukiwałam w miejscu, gdzie wówczas wyrzucano śmieci – w rzadkim brzozowym lasku.

Oprócz najbardziej pożądaných odpadków z toaletek wyżej wymienionych dam można było tam znaleźć różne gipsowe figurki, które dorastające córki sąsiadów wyrzucały z domu jako obciachowe: pieski, anioły, makatki. Dla mnie i mojej ówczesnej przyjaciółki każdy tego typu łup był ogromnym trofeum. Nie, nie była to z pewnością namiastka żadnego wielkiego świata, ale raczej możliwość... zaczerpnięcia czegoś z cudzego, być może wykwintniejszego życia. Rodzice nie pozwalali nam znosić tych rzeczy do domu, urządziłyśmy więc sobie tajny kącik w stodole Ryczków, do której dało się wleźć bez problemu przez dziurę w tylnej ścianie.

Z ciocią Edytą było całkiem inaczej. Ona nie była kobietą, która wyemancypowała z naszego skostniałego świata, ona była prawdziwą damą. Przede wszystkim dlatego, że była spoza naszego środowiska, nieograniczona żadnymi głupimi zwyczajami, niezależna. Jej nie można było niczego narzucić: sposobu bycia, ubierania się, zainteresowań. Dlatego gdy Edyta, jeszcze jako narzeczona Rogera, przyjeżdżała z wizytą, wszystko było inaczej. Nawet babcia,

chcąc nie chcąc, w środku tygodnia kładła na stół biały obrus, a kawę podawała w filiżankach. Mama, zanim zasiadła do poczęstunku, zdejmowała podomkę, a tata zakładał świeżą koszulę. Wyczuwało się napięcie i irytację, bo kto to widział, żeby jakaś tam Edyta, która nawet nie potrafi porządnie związać snopka pszenicy czy ułożyć siana w kopkę, narzucała im swój sposób bycia? Ona jednak nikomu niczego nie narzucała, po prostu to, jaka była, samo z siebie wymuszało na towarzystwie pewne zachowania.

– Widziałaś? – spytała babcia mamę po którymś ze wspólnych obiadów. – Ona miała za duży pierścionek, od spodu uszczelniany papierkiem, żeby nie zleciał...

– I czółenka miała za duże... – dodała mama. – Wszyst-ko pożyczzone pewnie, żeby zrobić na nas jak najlepsze wrażenie...

Ciotka Edyta, owszem, miała powód, żeby jak najlepiej wypaść w oczach mojej babci i mamy, miała być bowiem przyszłym członkiem naszej rodziny, żoną najbardziej reprezentacyjnego syna. Nie pamiętam zbyt wiele z ówczesnych rozmów i nastrojów w domu, ale dziś mi się wydaje, że Edyta, aczkolwiek nie bardzo mile widziana, została zaakceptowana przez teściów. Musiała zostać zaakceptowana. Wujek Roger, inżynier, wykształcony za pieniądze (nawet, rzekłabym, krwawicę) dziadków – bo na poczet jego nauki sprzedano kawał pola, co było w rodzinie rzeczą niezwykłą – został kimś bardzo ważnym. W naszym miasteczku lepszy status miał jedynie doktor Szaroń, nawet dyrektor szkoły nie mógł się z nim równać. Dlatego kandydatura jego przyszłej żony w ogóle nie mogła podlegać dyskusji. Wuj dobrze wiedział, z kim się powinien związać, a babcia ufała mu bezgranicznie w tym i w każdym innym względzie.

Moje uczucia do przyszłej cioci Edyty były jednak wówczas całkiem inne. Pamiętam dzień, kiedy podczas letniego, niedzielnego obiadu nagle zrobiło się na zewnątrz całkiem ciemno i zerwał się porywisty wiatr. Niedziela niedzielą, ale gdy trzeba było siano złożyć w kopki, przestawało obowiązywać przykazanie, by dzień święty święcić. Wszyscy, oprócz Rogera, zerwali się od stołu.

– Ja pomogę – zaoferowała Edyta. – Dajcie mi tylko coś do przebrania...

Babcia rzuciła jej jakieś ciuchy, Edyta wyszła do sypialni rodziców, żeby się przebrać, i poprosiła mnie, abym popilnowała, żeby nikt nie wchodził. Weszłam razem z nią i... do dziś pamiętam jej bieliznę. Miała na sobie przepiękną jedwabną haleczkę z koronkami, a pod nią koronkowe majteczki, biustonosz i podwiązki podtrzymujące lekkie jak mgiełka pończoszki. Byłam w szoku, bo przecież Edyta nie mogła przypuszczać, że przyjdzie się jej rozbierać... Skąd więc wiedziała, że należy założyć tak wykwintną bieliznę? Moja mama miała tylko dwa biustonosze, białe i różowe, a wkładała je tylko wówczas, gdy szła do lekarza. W pas do pończoch wkładała dziesięciogroszówki, bo zazwyczaj większość guziczków była oberwana. To, że Edyta nosiła zawsze najpiękniejsze i najmodniejsze suknie,

wiedziałam od dawna, ale żeby bieliznę? Po co?

* * *

Jako dziecko byłam istotą bardzo niespójną. Z jednej strony bezkrytycznie przesiąkniętą patriotyczną ideą moich przodków, z drugiej zaś bardzo otwartą na wszystko, co nowe, inne, ekscytujące. Oczywiście, nie bez poczucia winy. No bo jak się mogła mieć moja fascynacja ciotką Edytą, jej erotyzującym (z czego wówczas nie zdawałam sobie sprawy) wizerunkiem, do modelu wychowawczego, zgodnie z którym konsekwentnie formowano moją osobowość? To był naprawdę ogromny dysonans, z którym musiałam się zmagać, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tak czy inaczej, w tak zwany kręgosłup moralny wyposażono mnie solidny. Nigdy nie potrafiłam wybierać między tym, co obiektywnie słuszne a subiektywnie korzystne – wolałam raczej wiele stracić, niż nagiąć swoje zasady do niejednoznacznych moralnie sytuacji. Już w podstawówce ważyłam się na zwracanie uwagi dorosłym, nawet nauczycielom, którzy moim zdaniem w jakichś sytuacjach postępowali nieetycznie albo co innego mówili, a co innego robili. Krytykowałam starsze kobiety obgadujące swoje koleżanki, wtrącałam się do chowu zwierząt, jeśli uznałam, że nie są przez właścicieli odpowiednio traktowane. Jednym słowem, (mimo iż byłam raczej nieśmiała) od najmłodszych lat byłam niezłym upierdliwcem.

Nikt niestety nie wie, jak wielkim utrapieniem ktoś taki jest dla samego siebie. Ogólnie rzecz biorąc, moja życiowa niespójność i moralna naiwność często owocowały niemiłą porażką – uważałam bowiem, że ludzie są z gruntu dobrzy, a życie całkiem proste, wystarczy tylko przestrzegać pewnych reguł. I że ja, jeśli będę wytrwała i konsekwentna, osobiście ich tego nauczę. A ponieważ głupota, że się tak otwarcie wyrażę, jest chorobą przewlekłą i nawracającą, długo nie zdawałam sobie sprawy, że to nie pech, nie ironia losu i nie świat, który się na mnie zawziął, jest autorem moich nieszczęść, tylko ja, osobiście.

* * *

W każdym razie Edyta zaimponowała mi wtedy ogromnie i, jak można by to określić dzisiaj, stałam się jej oddaną fanką. Było to, jeszcze zanim skąpstwo ciotki i jej talent do manipulowania Rogerem stały się w rodzinie tematem numer jeden, i sporo wcześniej, zanim sama zaczęłam u niej te cechy dostrzegać. Za wujkiem nie przepadałam specjalnie, podobnie jak reszta rodziny (z wyłączeniem babci, rzecz jasna), miał on jednak u nas pewne przywileje jako swego rodzaju ofiara oraz narzędzie krwiożerczej małżonki.

A w tamtą niedzielę Roger stał na skraju łąki z jedną ręką w kieszeni spodni swojego jasnego garnituru, papierosem w drugiej i nieodgadnionym wzrokiem, skrytym za ciemnymi okularami. Przystojniak! Wyglądał wówczas jak Mickey

Rourke w swoich najlepszych latach. Nie wiedziałam, co sobie myślał, ale babcia po powrocie do domu pomogła mi rzecz zrozumieć:

– Rodzeń taki zmęczony po całym tygodniu w pracy, a Edytka zamiast podać mu drugie danie, na łakę się rwie...

– Chciała pomóc – podsumował tata. – To może nawet dobrze o niej świadczy?

– O żonie dobrze świadczy, jak dba o męża – odparła babcia.

– Każdy powinien znać swoje miejsce – podsumowała mama.

ROZDZIAŁ V

Naszyjnik z pereł

Ogólnie rzecz biorąc, skrót myślowy, za jaki teraz już można było uznać wypowiedziane przez wujka Rogera słowa „wpadliśmy do ciebie na kilka dni”, powoli zaczął odkrywać przed nami swoje rzeczywiste znaczenie. Aleks, najdelikatniej, jak umiał, dopytywał o planowany przez nich wyjazd do Australii, a w odpowiedzi otrzymywał od wujka jakieś mgliste deklaracje i zapewnienia, ciotka Edyta zaś przez większość czasu milczała. Na szczęście oboje mieliśmy trochę niewykorzystanego w zeszłym roku urlopu oraz nietknięty bieżący. Braliśmy więc wolne na zmianę, żeby żadne z nas nie zaważyło interesów zatrudniających nas firm i aby mieć oko na wujostwo. Ponieważ nasi goście byli od czasu nieszczęsnej kuchennej demolki pod naszą stałą kontrolą, mogłabym w sumie powiedzieć, że sytuacja z grubsza została opanowana. To znaczy byłaby lub zostałyby przeze mnie za taką uznana, gdyby nie pewne niejasne sytuacje, które musiałam sama sobie jakoś wytłumaczyć, żeby nie popaść w krąg absurdalnych podejrzeń prowadzących do powstania całej teorii spiskowej.

Któregoś ranka mój mąż Aleks wyczytał w kalendarzu, że oto w dniu dzisiejszym wypadają imieniny Edyty. Wychodząc pośpiesznie do pracy, zalecił mi sprawdzenie, czy „naszej” Edyty również, a jeśli tak, wymyślenie dla niej jakiejś niespodzianki. Jego przypuszczenia się potwierdziły, a ja mocno się nagłowiłam, jak by te jej imieniny uczcić w sposób jak najbardziej optymalny, ale i niezobowiązujący. Wreszcie doszłam do wniosku, że wpadłam na idealny pomysł: zarezerwowałam na wieczór dla naszej czwórki bilety do operetki. Nie w naszym miasteczku, rzecz jasna (mimo iż teraz już o wiele bardziej „miejskim” niż w czasach mojego dzieciństwa), bo u nas podobnych atrakcji nie było.

Włożyłam na siebie sukienkę, która stanowiła mój niemal służbowy uniform na zakładowych imprezach, Aleks wyjął z szafy swój równie „zasłużony” garnitur, Roger założył jasne spodnie i jasny pulower z wyłożonym na wierzch białym kołnierzykiem koszuli, natomiast ciotka... przeszła samą siebie. Gdy wyszła z pokoju w pełni „zrobiona”, pomyślałam, że oto widzę tę samą Edytę, którą podziwiałam w dzieciństwie. Miała na sobie dopasowaną gipiurową sukienkę w granatowym kolorze, naszyjnik z pereł i odpowiednie do nich kolczyki. Jej siwe już, co prawda, włosy były ułożone niezwykle starannie i bardzo twarzowo. Na pierwszy rzut oka do złudzenia przypominała Sophię Loren w podobnym do niej wieku. Nawet Roger na chwilę wstrzymał oddech. Osobiście pomógł jej założyć płaszcz, po czym z dumą podał jej ramię. Wybrany przeze mnie *Baron*

cygański okazał się strzałem w dziesiątkę i nieoczekiwanie zaspokoił gusta i ciotki, i wujka, a nawet mojego Aleksa, który uważał tego typu rozrywkę za... nieco archaiczną. Dobry humor i pewien rodzaj melancholii, wciąż utrzymujące się w nas po wyjściu z teatru, pozwoliły nam zapomnieć o różnych niezręcznych sytuacjach i Aleks zaproponował kolację wieńczącą wspólny wieczór w jednej z bardziej znanych w okolicy restauracji. Wujostwo przystało na jego propozycję z entuzjazmem, w przypadku Rogera jednak zdecydowanie bardziej ekspresyjnym – ciotka, pragnąca sprawiać wrażenie cichej i ugodowej, rzadko okazywała emocje.

Musiałam przyznać, że nic, absolutnie nic nieprzewidzianego nie wydarzyło się podczas tej kolacji, choć z góry próbowałam zapobiec ewentualnemu niesmakowi, wbijając sobie do głowy, że w mieście, w którym nikt nas nie zna, cokolwiek by się wydarzyło, wydarzy się anonimowo... Wujek Roger prezentował swoim zachowaniem najbardziej klasyczne, a co za tym idzie, najbardziej skomplikowane zasady *savoir-vivre'u*, Edyta zaś, ze swoim chłodnym dystansem do otoczenia, nie mogła wypaść lepiej... Było jednak w tym spotkaniu coś, co budziło we mnie jakiś bliżej nieokreślony niepokój, którego nie byłam w stanie konkretnie określić. Wówczas, siedząc naprzeciwko ciotki, poczułam, że coś w jej dzisiejszej elegancji potrąciło nieuświadomione nuty wspomnień. W końcu, nie mając innego wyjścia, postanowiłam przestać myśleć na ten temat. Dopiero w domu, gdy ciotka zaraz po powrocie sięgnęła do zapięcia naszyjnika, doznałam olśnienia...

– Moja mama miała identyczny, i takie same kolczyki – wyrwało mi się niemal bezwiednie. – Z prawdziwych pereł, dlatego jeśli już je zakładała, zdejmowała natychmiast po powrocie do domu. O, nawet zapięcie było takie samo...

Ciotka, stojąca do mnie tyłem, odwróciła się gwałtownie i spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

– Owszem, i ja ten komplet pamiętam – odparł Roger. – Edycie podobał się tak bardzo, że kupiła sobie podobny. Ale to tylko plastik i masa perłowa.

Zrobiło mi się gorąco. Po śmierci mamy, gdy porządkowałam pozostałe po niej rzeczy, zajrzałam do szkatułki z biżuterią – była pusta. Nie było nie tylko naszyjnika, ale i obrączek po rodzicach, dwóch złotych pierścionków mamy i łańcuszka z krzyżykiem. Któregoś razu spytałam o nie brata, bardzo delikatnie, żeby nie myślał, że posądzam go o zabranie tych rzeczy, i bardzo dobrze zrobiłam, bo i on miał podobny dylemat, tyle że w drugą stronę. Wtedy oboje uznaliśmy, że mama musiała zanieść je do kościoła w jakiejś ważnej dla siebie intencji. Wcześniej zdarzały jej się już podobne rzeczy, nie na taką skalę, ale kiedyś zostawiła w częstochowskim sanktuarium złote kolczyki, innym razem niemal całą rentę. Wspierała też dość hojnie różne kościelne instytucje, wysyłała pieniądze na przeróżne, jej zdaniem zbożne, cele.

No cóż... Zwyczajny zbieg okoliczności – pomyślałam w końcu, bo bardzo, ale to bardzo chciałam wierzyć, że Edyta maminych kosztowności nie ukradła. Tłumaczyłam sobie, że nie miałyby nawet takiej możliwości, bo o ile pamiętam, gdy umarła mama, ciotka leżała w szpitalu i nie była nawet na pogrzebie. Poza tym – po co? Miała mnóstwo własnych błyskotek, ze złota, srebra, bursztynu i czego tam jeszcze, ale skoro tak bardzo podobał jej się komplet mamy, kupienie bardzo podobnego nie było wcale trudne...

Mimo to długo nie mogłam tej nocy zasnąć. Przewracałam się z boku na bok, próbując skierować myśli na inne tory.

– Nie śpisz? – spytał w którymś momencie Aleks i wtedy się wydało, że on również ma kłopot z zaśnięciem.

– Gorąco mi, chyba przykręcę kaloryfer – odparłam i wyskoczyłam z łóżka, by wprawić swój zamiar w czyn.

– Perły ciotki nie dają ci spokoju, co? – Czasem miałam wrażenie, że czyta mi w myślach.

– Owszem, ale nie w takim sensie, jak ci się wydaje. Przypomniały mi mamę, a właściwie oboje rodziców, bo gdy je zakładała, zazwyczaj wychodzili dokądś razem. Nie zdarzało im się to często, bo wiesz... praca stanowiła cały sens ich życia, czasem jednak ktoś w rodzinie brał ślub, ktoś chrzczył dziecko, a takie wyjścia należały raczej do obowiązków niż rozrywek...

Mojego męża niestety nie dało się oszukać, ale mimo wszystko uparcie próbowałam.

– I co? – spytał Aleks, pochylając się nad moją twarzą i próbując w świetle ulicznych latarni dostrzec jej wyraz.

– I nic. Sentymenty mnie dopadły...

– W takim razie nie dawaj się sentymentom, nie o tej porze, bo rano trzeba wstać. – Mocno pocałował mnie w usta, gładząc czule po włosach.

– Żeby to było takie proste – westchnęłam.

– A może... mała gimnastyka przed snem? – zapytał, a ja mimo półmroku dostrzegłam w jego oczach charakterystyczny błysk.

– Skłony i przysiady? A może zwisy i pompki? – zaśmiałam się, udając, że nie wiem, o co mu chodzi.

– Nie, mostki i szpagaty – odparł ze śmiechem i zakleszczył mnie w uścisku.

Bez protestu przystałam na jego propozycję, zwłaszcza że gdy był tak blisko, gdy czułam jego oddech na twarzy i bicie serca, wszystko inne przestawało istnieć. Bo Aleks był po prostu mężczyzną mojego życia pod każdym względem, fizycznym również. Niestety, od czasu, jak zamieszkała u nas ciotka i wujek, małżeńskie czułości zdarzały nam się rzadziej. Jakoś tak niezręcznie było, gdy nieopodal znajdował się oprócz nas ktoś jeszcze.

* * *

Nazajutrz „dyżur” przy wujostwie miał pełnić Aleks, wziął więc do wybrania jakieś nadgodziny. Ja, muszę przyznać, z chęcią poszłam do pracy. Chyba już byłam trochę zmęczona sytuacją w domu, ale prędzej dałabym się pokroić, niż powiedziałabym o tym mężowi. Zresztą on na ten temat swoje na pewno wiedział, lecz jak zwykle w trudnych sprawach milcząco mnie wspierał, nie krytykując i niczego nie wypominając.

– No, no, coś koleżanka Sandy nam dziś blada. – Olaf, mój szef, zjawił się cicho za moim krzesłem.

– Jakkolwiek to sobie tłumaczysz, mylisz się. – Obróciłam się razem z fotelem w jego stronę. – I proszę nie mówić do mnie Sandy!

Zawsze wkurzało mnie nadawanie imionom obcego (w moim przypadku jeszcze bardziej obcego) brzmienia. A w każdym razie nie bawiło zupełnie.

– Szef się nigdy nie myli – odparował. – O tym powinien wiedzieć każdy podwładny.

– Zapomniałam... Zatem odwołuję: cokolwiek o tym myślisz, jasne, że masz rację.

– Ufff... przynajmniej humor cię nie opuścił – westchnął Olaf z przesadzoną ulgą. – A co za tym idzie, pewnie również i pracowitość.

– Te dwie rzeczy nie opuszczają mnie nigdy. No? Co tam masz dla mnie?

– To na dziś. – Szef położył mi na biurku kilka papierów. – A to na wczoraj. – Dołożył jeszcze trochę.

– Dużo tego – wyrwało mi się. – Nie wyrobię się z tym w czasie pracy...

– Weźmiesz do domu? – podrzucił Olaf uczynnie.

– Nie... wolę zostać po godzinach – zdecydowałam.

– A tak na serio. – Pochylił się nade mną. – Coś się dzieje? Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, dzięki za dobre chęci, po prostu... Aleks też ostatnio bierze robotę do domu i włączymy sobie w paradę – skłamałam.

Niestety, mój mąż musiał pozostać dziś dłużej sam na placu boju, bo w domu tak naprawdę żadne z nas już nie dawało rady pracować. Nasze obowiązki zawodowe wymagały skupienia i uwagi, tak jego, jak i moje. Byłam zatrudniona w firmie prawniczej jako tłumacz przysięgły i w razie potrzeby tak zwany ustny, przyjmowałam również zlecenia z agencji tłumaczeń. Na brak zajęć nie narzekałam, na nadmiar też, choć pracy bywało naprawdę sporo – jednak w obecnej sytuacji skłaniałam się raczej ku temu drugiemu...

Jako małżeństwo raczej nierozwojowe (z uwagi na brak potomstwa) można by powiedzieć, że ustawieni byliśmy nieźle już na starcie. Kapitał, który oboje wnieśliśmy do małżeństwa, pozwolił nam na zakup i urządzenie mieszkania, a nasze zarobki na więcej niż dostatnie życie. Był taki moment, że zastanawialiśmy

się nawet nad budową domu, ale gdy szanse na posiadanie dzieci zmalały do zera, uznaliśmy, że to nie ma sensu. Odkładane systematycznie na naszych kontach pieniądze postanowiliśmy przeznaczyć na zakup działki w jakimś ładnym miejscu w górach i postawienie na niej domku letniskowego. Najchętniej w Koniakowie, miejscu tak dla nas kiedyś znaczącym. Były to jednak plany dość odległe, bliżej pójsia na emeryturę. Tymczasem nie mając innych zajęć, realizowaliśmy się zawodowo, co nie przeszkadzało nam wieść bardzo udanego życia prywatnego.

Zadzwoiłam do Aleksa, by zapytać, co słyhać, i uprzedzić, że mogę wrócić dość późno. W naszej obecnej sytuacji nie mogłam sobie pozwolić na zrobienie zaległości w pracy, w każdej chwili mogłam być potrzebna w domu. Wyglądało na to, że nie dzieje się nic nieprzewidzianego, więc sumiennie zabrałam się za tłumaczenia. Gdy skończyłam, było już dobrze po dwudziestej pierwszej. Miałam nadzieję, że Aleks kupił jakieś jedzenie, bo nawet nie miałabym siły wstąpić po drodze do sklepu. Zanim jednak wyszłam, dałam się ponieść impulsowi i wybrałam w telefonie numer Romka, bo jak tylko zwolniło mi się miejsce w myślach, natychmiast zajęła je na powrót sprawa naszyjnika. Impuls był błyskawiczny i nie zdążyłam sobie przypomnieć własnej obietnicy, że koniec z rozważaniami na ten temat. A gdy sobie przypominałam i chciałam się rozłączyć, Romek akurat odebrał.

– No co tam, siostra? – spytał lekko sennym głosem.

– Właściwie... – zaczęłam pokrętnie – tak sobie dzwonię...

– No nie mów! – stwierdził Romek z ironią. – Tak rzadko z sobą rozmawiamy, jakbyśmy już całkiem nie mieli o czym, a ty nagle, prawie w nocy... tak sobie dzwonicz? Bez powodu?

– Bez... – odparłam głupio, bo nic poza tym, o czym naprawdę chciałam pogadać, nie przyszło mi do głowy.

– Aha, okej. No to mów.

– Co u ciebie? – spytałam dalej, robiąc z siebie idiotkę.

– Normalnie. A teraz ty normalnie gadaj, co się stało – zażądał. – Słucham!

Nie miałam wyjścia, musiałam przejść do sedna sprawy, choć narażałam się w ten sposób na jego gędzenie, ironizowanie i wypominki.

– Mam gości od prawie dwóch tygodni...

– I co? Chcesz mi ich podrzucić? – zaśmiał się Romek. – Powiedz chociaż, czy znam.

– To Roger i Edyta.

Romka jakby na pewien czas zatkało.

– Żartujesz – powiedział w końcu i, sądząc z głosu, już nie było mu do śmiechu.

– Nie żartuję. Zatrzymali się u mnie na chwilę, wyprowadzają się za granicę.

– W takim razie daj ci Boże zdrowie. Chciałaś się pochwalić czy pożalić?

– Ani jedno, ani drugie... tylko że...

– No?

– Ciotka ma ze sobą taki sam naszyjnik, jaki miała mama, ten z pereł, pamiętasz? Nie wiem, co o tym myśleć. Właściwie wcale nie chcę o tym myśleć, tak mi się jakoś uczepliło...

– Wobec tego sprawa jest jasna. Już wiesz, co się stało z biżuterią mamy – oznajmił Romek jak to on, cynicznie i prosto z mostu.

– Nie, właśnie że niejasna! – zaproponowałam.

– Co więc chcesz, żebym ci powiedział? – Ton jego głosu ochładzał się z każdym słowem.

– Nic. Sama nie wiem...

– To ci powiem: głupiaś, boś gruba. A ze swoim chrzestnym radź sobie sama – podsumował i się rozłączył.

ROZDZIAŁ VI

Śpieszmy się kochać...

Bardzo dobrze pamiętam dzień, gdy umarła mama, i najtrudniejszy, pierwszy miesiąc mojej żałoby. Był początek października, ale pogoda wyjątkowo ładna. Niestety, mama nie doczekała mojego ślubu. Zaawansowany już nowotwór, gdy został wykryty przez lekarzy, rozprzestrzenił się tak szybko, że od diagnozy do jej śmierci minęło raptem pół roku. Był to dla nas z bratem ogromny wstrząs, zostaliśmy całkiem sami. A właściwie to ja zostałam całkiem sama, Romek był już wtedy żonaty, miał małego synka i wyprowadził się z domu do mieszkania w bloku. Miałam przed sobą ostatni rok studiów i nie wyobrażałam sobie, że będę mogła skupić się na pisaniu pracy magisterskiej. Gdybym od ponad dwóch lat nie miała obok siebie Aleksa, może bym i całkiem zrezygnowała ze studiów.

Każdorazowy powrót z uczelni do pustego, ale ciągle jeszcze pełnego śladów mamy domu sprawiał, że chciało mi się wycić. Ale wychodzić z domu też mi się nie chciało, nawet na randki z moim chłopakiem. Zaczęłam powoli zamykać się w sobie, wycofywać się z życia. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, jak bardzo byłam z mamą związana uczuciowo. Dawniej, gdy zdarzało nam się mieć różne zdania na jakiś temat, sprzeczać się czy nawet nie odzywać do siebie, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ją kocham. Teraz było już za późno, by jej to po prostu powiedzieć. Niestety, gdy chodzi o tych najukochańszych, najbliższych, zawsze wtedy znajdują się jakieś niewypowiedziane słowa, niezadane pytania, niewykonane gesty...

Którejś kolejnej, samotnie spędzanej w domu soboty przyjechał do mnie bez zapowiedzi Aleks, a tuż po nim mój własny brat z kolegą, pożyczoną półciężarówką.

– Sprzątanie na żądanie – zawołał od progu Romek. – Odsuń się, dziewucho, i nie utrudniaj!

W najwyższym zdumieniu patrzyłam, jak szli taranem przez wszystkie pomieszczenia, zabierając mamy rzeczy, pakując je do worów i wynosząc do auta.

– Jak możesz! – wrzasnęłam w końcu, usiłując zawrócić go z drogi. – To jest... podłe!

– Mamy już tu nie ma. Jest tam. – Wskazał palcem w górę. – Nic z tych rzeczy już się jej nie przyda, a tobie tym bardziej.

– A jeśli na to patrzy???

– Tym gorzej dla ciebie. Bo widzi swoje własne dziec-ko, które zamiast żyć i nadal spełniać jej nadzieje, wkrótce całkiem zejdzie na psy. Widziałaś się może

ostatnio w lustrze? – spytał i złapał pod pachę kolejny worek.

Jak automat podeszłam do lustra w przedpokoju. Dres, który miałam na sobie od kilku dni, wyglądał jak stary łach, włosy w nieładzie, podkrążone oczy i blada twarz sprawiały, że... cała wyglądałam jak łach. Gdy chłopcy wracali po kolejną partię rzeczy, Aleks przystanął obok mnie, objął i pocałował. Ot tak, bez słów.

– Ja się tobie dziwię, że obściskujesz takiego chochoła – skomentował Romek. – Całkiem bez strachu i obrzydzenia...

– Nawet jeśli – mrugnął do mnie Aleks – to m o j e g o chochoła.

– Wiesz co, stary? – Romek nagle odłożył swój wór na podłogę. – Weź ty ją dokądś na weekend, nie pytaj o zdanie, tylko pod pachę i do auta, tak jak stoi. Ja rozumiem, że się wzdragasz, bo toto ani urodą nie powala, ani rozumem, ale już tylko ją mam, a siostry się nie wybiera. Jedźcie w cholerę, my tu sami damy radę.

– Nigdzie nie jadę! – zaprotestowałam.

Romek bez słowa oderwał kolejny plastikowy worek od całej zgrzewki, wrzucił do niego parę moich ciuchów, które walały się na krzesłach, i wręczył Aleksowi.

– Wuala, pani już spakowana! – I właśnie że jedziesz!!! – wrzasnął mi wprost do ucha.

– Nie – powtórzyłam, ale już z mniejszym uporem.

– Głupia jesteś i gruba! – ryknął Romek swoim zwyczajem, mimo iż jego powiedzonko dawno się zdezaktualizowało. – A grubaś, boś głupia – dodał i wypchnął nas z Alekssem za drzwi.

Pojechaliśmy do Koniakowa i to była dla mnie najlepsza rzecz, jaka mogła się wówczas zdarzyć. Zatrzymaliśmy się w małym pensjonacie, skrytym między drzewami i ledwo widocznym z głównej drogi. Pamiętam, że gdy dojechaliśmy na miejsce, przestało mżyć, a przez ciężkie szare chmury zaczęło przebijać się światło. To było niesamowite, świat nagle zaczął odzyskiwać kolory, ziemia parowała, spowijając się delikatną mgłą, a wilgotne jesienne liście płonęły w czerwonej poświacie zachodzącego słońca. Uświadomiłam sobie, że świat wcale się nie zatrzymał, że wszystko toczy się nadal własnym torem i... że cokolwiek się stało, nie mam prawa się z tego naturalnego porządku wyłamać. Nagle poczułam wielką ulgę, ogarnął mnie dziwny spokój, chwyciłam Aleksa za rękę i ścisnęłam mocno.

– Podoba ci się tutaj? – spytał z czułym uśmiechem.

– Bardzo. Bardzo mi się podoba – odparłam. – I... może wyda ci się to dziwne, ale właśnie doznałam irracjonalnej pewności, że śmierci nie ma. Dla tych, co kochają prawdziwie, śmierć nie istnieje i... wiesz co? Moja mama... jest tu teraz z nami. Wiem to i czuję.

Jakkolwiek Aleks to zrozumiał, skwapliwie przyznał mi rację.

Przez cały kolejny dzień włóczyliśmy się po okolicy, delektując się czystym

górkim powietrzem i niewiele rozmawiając. Potrzeba mi było widocznie innego rodzaju ciszy, bo tej dusznej, przytłaczającej, zamkniętej w czterech ścianach miałam już dość. Takiej ciszy natury, w nieograniczonej przestrzeni. Byłam wdzięczna Romkowi, że wpadł na pomysł „wyrzucenia” mnie z domu, i Aleksowi, że go posłuchał. Powoli odradzała się we mnie chęć do czynnego życia, planowania kolejnych dni, wybiegania myślą poza tu i teraz.

Wieczorem sięgnęłam głębiej do spakowanego dla mnie przez Romka „bagażu” w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do wyjścia na kolację. Najlepsze ze wszystkiego były džinsy i czarny luźny sweter, który jakimś cudem nawet nie wymiał się za bardzo. Kolacja w restauracji była pomysłem Aleksa, bardzo mu na tym zależało, a ja nie miałam sumienia odmówić. Knajpka była nieduża, przytulna i grała w niej góralska kapela. Do dziś nie wiem, jak Aleks to zrobił, bo zdawało mi się, że przez cały czas był w zasięgu mojego wzroku, ale w pewnym momencie muzycy podeszli do naszego stolika i zaczęli grać jakąś rzewną, wcale nie góralską melodię. Mój chłopak wyjął z wazonika gałązkę jarzębiny, ukląkł i... mi się oświadczył. Mimo iż kompletnie się czegoś podobnego nie spodziewałam, znów poczułam przyływ tego dziwnie błęgiego spokoju. Wiedziałam, byłam pewna, że oto klęczy przede mną i prosi mnie o rękę mężczyzna, przy którym będę czuła się szczęśliwa i bezpieczna do końca moich dni. To było... jak błogosławieństwo mamy! Goście siedzący przy innych stolikach zaczęli bić brawo. Zanim powiedziałam „tak”, kelnerka otworzyła „szampanskoje” na koszt zakładu. Była to jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu, coś jak przejście z cienia do światła... I mimo że Aleks po pół roku jeszcze raz mi się oświadczył, z prawdziwym bukietem i pierścionkiem, tamtą chwilę noszę w pamięci jako nasze prawdziwe zaręczyny.

Po powrocie do domu okazało się, że mój okropny brat przeszedł samego siebie. Ściany w każdym pomieszczeniu pomalowane były na żywe, jasne kolory. Meble, które mama trzymała wyłącznie ze względu na sentyment, nadgryzione przez korniki i ząb czasu – zniknęły, zostały te najnowsze, w stylu „od Sasa do lasa”, kupowane pojedynczo według potrzeb. W domu było teraz mnóstwo przestrzeni, gustownie zagospodarowanej, jak się domyśliłam, przez bratową. W oknach wisiały nowe firanki i zasłony, na kanapach i fotelach leżały pstrokate, patchworkowe narzuty. Było miło, jasno i przytulnie. Na półce w salonie zamiast bibelotów stały książki, ściany zdobiły kolorowe reprodukcje.

– Aleks – poprosiłam, gdy już odzyskałam głos. – Podrzucić mnie do Romka, co?

Brat, gdy próbowałam go uścisnąć, opędał się ode mnie jak od natrętej muchy, był jednak wyraźnie zadowolony z efektu swoich działań oraz z mojej widocznej gołym okiem przemiany.

– A idźże w cholerę, tłuczku jeden, i nie hałasuj, bo Bartuś śpi – warknął

groźnie, gdy wreszcie mi się udało zawisnąć mu u szyi.

– Tylko nie tłuczku – zaprotestowałam. – Z szacunkiem proszę do zaręczonej kobiety!

– No, brachu! Gratulacje. – Romek poklepał Aleksa po plecach. – Choć w sumie chyba nie ma czego – dodał prędko. – Na loterii raczej nie wygrałeś, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

* * *

Ze ślubem czekaliśmy rok; mimo iż nie planowaliśmy hucznego wesela, postanowiliśmy uszanować czas żałoby. Uroczystość była skromna, ceremonia odbyła się w moim parafialnym kościele, potem był obiad w restauracji. Mniej więcej miesiąc przed tym wydarzeniem odkryłam, że szkatułka mamy jest pusta. Pomyślałam wtedy, że skoro są w niej między innymi obrączki rodziców, Romek nie będzie miał nic przeciwko, jeśli teraz będą naszymi ślubnymi obrączkami. Pierścionki zamierzałam oddać bratowej, resztę zatrzymać. Najpierw naszukałam się porządnie samej szkatułki, bo przecież „kalwaryjskiej” witryny, w której przedtem stała, już nie było. Znalazła się w małej szafce w kuchni razem z rodzinnymi pamiątkami. Moje zdumienie, gdy okazało się, że wszystkie precjoza po mamie zniknęły, było ogromne. I niemiłe. Bo pierwsza moja myśl skierowała się ku Romkowi, który miał te rzeczy w ręce jako ostatni. Zaraz jednak puknęłam się w głowę. Doskonale znałam swojego brata i wiem, że poza niewyparzoną gębą niewiele można mu zarzucić. Romek był, jak wszyscy w naszej rodzinie, uczciwy do bólu, miał dobre serce, a przede wszystkim zawsze mogłam na niego liczyć. Nasze dziecięce utarczki dawno odeszły w niepamięć, choć Romek, gdy w jakiś szczególny sposób chciał mi dokuczyć, nadal wymyślał mi od tłuczków i grubasów. Stare przezwiska miały już jedynie charakter swoistego żartu.

Przez jakiś czas usiłowałam sobie jakoś zniknięcie biżuterii wytłumaczyć, przypomnieć, co mama jeszcze za swojego życia mogła z nią zrobić. W końcu postanowiłam zapytać Romka. Okazja nadarzała się najbliższej niedzieli, ponieważ teraz już sami kontynuowaliśmy tradycje wspólnych rodzinnych obiadów i tym razem wypadała moja kolej, by ich ugościć. Obiad składał się nieodmiennie z rosółu z makaronem według receptury mamy, ziemniaków, surówki i pieczonego udka kurczaka albo schabowego i zasmażanej kapusty. Goście natomiast przynosili deser: sernik z pomarańczą na kruchym spodzie – taka była nasza tradycja.

Niezręcznie było mi poruszyć temat szkatułki, odkładałam to więc najpierw do drugiego dania, potem do deseru i dopiero gdy brat z żoną i synkiem mieli już wychodzić, wyrzuciłam z siebie jednym tchem:

– Słuchaj, Romek, może ty wiesz, co mama zrobiła ze swoją biżuterią?

Wyjaśniłam pokrótce, jakie miałam względem niej plany, po czym dość długo czekałam na odpowiedź.

– Ja myślałem, że ty to wiesz, w końcu mieszkałaś z mamą do końca... – odparł z namysłem.

– Niestety pojęcia nie mam. No bo przecież... chyba nikt jej nie ukradł? Nikt obcy do mnie nie przychodził, nikt też się nie włamał – zastanawiałam się na głos.

Doszliśmy wówczas do wniosku, że mama oddała swoje złoto na „zbożny cel” – to bardzo do niej pasowało, poza tym innego wytłumaczenia nie było. Aż do teraz. Sugestia Romka, początkowo potraktowana przeze mnie sceptycznie, wyraźnie wskazywała na Edytę...

ROZDZIAŁ VII

Goście, goście...

Aleks nie powiedział mi przez telefon całej prawdy o sytuacji w domu i byłam mu za to wdzięczna, bo dzięki temu mogłam spokojnie pracować niemal do wieczora. Kiedy jednak podeszłam do drzwi naszego mieszkania, te otwały się same i Aleks delikatnie wypchnął mnie z powrotem na korytarz. Pewnie nieborak od dłuższego czasu nasłuchiwał. To niecodzienne powitanie sprawiło, że omal serce nie stanęło mi w piersi.

– Boże, co jest?! Mów! – zażądałam, gdyż przed moimi oczami zaczęły pojawiać się różne makabryczne wizje.

– Ciiii... – Aleks położył mi palec na ustach. – Wszystko dobrze, tylko... mamy jeszcze jednych gości.

Pomyślałam, że to może Romek po moim telefonie postanowił wpaść na rekonesans.

– Moi rodzice przyjechali – wyjaśnił, by nie dręczyć mnie dłużej.

Odetchnęłam z ulgą. Nic tragicznego się nie wydarzyło, ot, po prostu całkiem niespodziewanie złożyli nam wizytę jego rodzice. Rzecz była szczególna o tyle, że moi teściowie mieszkali niemal na drugim końcu Polski i ich odwiedziny zawsze łączyły się z kilkudniowym pobytem. Mój mąż musiał dwoić się i troić, by do mojego powrotu rozwiązać problem logistycznie.

– Nie martw się, sytuacja jest opanowana: pościeliłem dla nas w średnim pokoju, im oddałem sypialnię.

„Średnim pokojem” nazywaliśmy gabinet Aleksa, który służył również za bibliotekę, mój, z uwagi na mniejsze zapotrzebowanie metrażowe, mieścił się w tak zwanym „małym pokoju”. Nie nazywaliśmy tych miejsc gabinetami, by nie przenosić z pracy do domu więcej, niż było konieczne.

Aleks, korzystając z maleńkiego korytarzowego sam na sam, pocałował mnie namiętnie, jakby chcąc mi zrekompensować fakt, że nie wyrzucił rodziców za drzwi, co zresztą oczywiście nie wchodziło w grę. Moi teściowie byli bardzo miłymi ludźmi, pogodnymi i taktownymi, całkiem jak ich jedyny syn. Lubiłam ich naprawdę szczerze.

– Dobry wieczór, witam wszystkich – wchodząc, rzuciłam najradośniej, jak umiałam, w stronę siedzących w salonie osób.

Wyczuwałam teściów i obiecując, że zaraz wrócę, wyszłam do łazienki, by odrobinę się ogarnąć. Wcześniej zauważyłam kątem oka, że problem jedzenia rozwiązał się sam, bo moja nieoceniona teściowa jak zwykle nawiozła wszelakiego

dobra własnej roboty.

– A my sobie tu gwarzymy miluchno – poinformował mnie Roger, gdy zajęłam miejsce przy stole. – Nigdy nie wspominałaś, że masz taką piękną teściową, Sandra.

Roger miał na twarzy charakterystyczne rumieńce. Spojrzałam uważniej na suto zastawiony stół i dostrzegłam butelkę brandy oraz kieliszki.

– Mógł to wujek przewidzieć na podstawie mojej niezwyklej urody – odparł mu Aleks, czym rozbawił mnie tak, że z trudem powstrzymałam wybuch śmiechu.

– Co ty mi tu... – zamierzał zgorszyć się Roger, po czym zorientował się, że to tylko żart, i zamilkł, nadal gapiąc się na jego matkę.

– Dziękuję – odparła nieśmiało teściowa. – Chociaż uważam, że pan przesadza...

Roger miał najwyraźniej chęć zaprzeczyć, ale tu znów włączył się zapobiegawczo mój mąż:

– A zatem zdrowie trzech pięknych pań, gdyż wszystkie trzy na nasze zachwyty zasługują. – Wzniósł w górę swój kieliszek.

Było oczywiste, że na takie dictum Roger natychmiast zmieni obiekt swoich zainteresowań. Zosia i Jurek – rodzice Aleksa, podobnie jak on, nie żywili pociągu do alkoholu, spełnili jednak toast bez protestu. Poczułam lekkie zaniepokojenie. Wiedziałam, jak mój mąż reaguje na promile, i bardzo nie chciałam, by moi teściowie odczuli podobne skutki.

– Słuchajcie, moi mili – odezwałam się, patrząc wymownie na zegarek. – Pora jest późna i choć miło nam się biesiaduje, ogłaszam porę na sen. My z Alekssem rano wstajemy do pracy, a goście pewnie zmęczeni podróżą...

– Aleś się nabiesiadowała – skomentował Roger. – A poza tym mów za siebie.

Spojrzałam wymownie na Aleksa i z nadzieją na teściów. Nikt się nie odezwał.

– To co? Jeszcze po jednym? – spytałam, podtykając mężowi butelkę z alkoholem pod nos.

Zadziało.

– Nie, nie, chyba jednak dość na dzisiaj – stwierdził dość stanowczo.

– Może... faktycznie będzie dość... – dodał cicho teść.

– Co za ludzie! – prychnął Roger. – Niestety, trudno dziś o prawdziwych Polaków. Słabowite to jakieś wszystko, mięciutkie...

– No dobra, to rozchodniaczka, ale tylko ze mną. – Napełniłam kieliszek Rogera i swój, po czym wychyliłam brandy jednym haustem. W ramach poświęcenia.

– No, Sandra! Szacuneczek! Widzę, że czasem umiesz się honorowo zachować – pochwalił mnie chrzestny i wypił swój alkohol także na jeden raz.

Ulżyło mu na tyle, że bez większych sprzeciwów poszedł „do siebie”, ciotka podreptała za nim. Moi niezawodni teściowie włączyli się w sprzątanie i w ten sposób we czwórkę uporaliśmy się z zadaniem błyskawicznie.

– Co oni tak nagle? Bez uprzedzenia? – spytałam Aleksa, gdy już oboje umościliśmy się na podwójnym dmuchanym materacu.

Na szczęście mieliśmy coś takiego. Do tej pory traktowany był jako chybiony prezent ślubny od kolegi Aleksa. Nie spodziewaliśmy się, że kiedykolwiek sięgniemy po niego do pawlacza, a dziś przydał się jak mało co...

– Bo sami się nie spodziewali – odparł mój mąż. – Byli kilka dni w górach i postanowili nas odwiedzić po drodze.

– Na dłużej?

– No... w tej sytuacji raczej nie. Rano wyjeżdżają.

– Wiesz co? – Nagle przysła mi do głowy pewna myśl. – A może by ich zatrzymać na trochę?

Aleks spojrział na mnie jak na chorą.

– To żart, prawda?

– Nie, wcale nie! – przekonywałam go z zapałem. – Może gdyby tak wszyscy zajęli się sobą nawzajem, moglibyśmy przez kilka dni oboje normalnie pochodzić do pracy? Trochę będę miała pilnych zajęć w najbliższym czasie...

Aleks spojrział na mnie z powagą i zadumał się głęboko. Właściwie każdy inny facet na jego miejscu zacząłby mi teraz wyrzucać mój zapal do ugoszczenia wujostwa oraz próbę rozwiązania problemu przez wyręczenie się kolejnymi gośćmi. Każdy inny – ale nie mój kochany, dobry mąż.

– I chyba tak zrobimy – podsumował krótko mój zamysł. – A teraz śpij, moja ty genialna pani domu, bo ostatnio zbyt często zarywamy noce.

* * *

Gdy się obudziłam, a właściwie gdy zrobiła to moja komórka, Aleksa już nie było. Wszedł cichutko, nie zakłócając mojego snu, ale najpierw nastawił budzenie. I chwala mu za to. W kuchni przy stole siedzieli ubrani już teściowie, na talerzu leżały świeże bułeczki i rogaliki.

– Rany, niech mama nie mówi, że biegała po pieczywo? – spytałam zawstydzona.

– Ależ skąd, to Jurek skoczył do piekarni – uśmiechnęła się teściowa. – Robi to od lat, taki ma zwyczaj.

– To ja powinnam była o tym pomyśleć...

– Cóż to dla mnie dwa pięterka w dół i dwadzieścia pięć metrów za róg? Siadaj i jedz, wy, młodzi, jesteście dziś bardziej zmęczeni życiem niż my. – Teść pogładził mnie po dłoni.

– Dziękuję – szepnęłam i, by nie okazać niewdzięczności, złamałam swój

zwyczaj niejedzenia śniadań.

– Na pewno nie będziemy wam przeszkadzać? – spytała teściowa. – Tyle osób nagle zważyło się wam na głowę...

– W czym? Miejsca mamy dosyć, życia towarzyskiego nie prowadzimy prawie wcale, a spotkania rodzinne odbywają się naprawdę rzadko. Jest okazja pobyć z sobą, zapoznać z sobą innych krewnych, zintegrować się, że tak powiem – przekonywałam pośpiesznie, by się czasem nie rozmyślili.

– Ale musicie spać na materacu – zatroskał się teść.

– Co to dla nas, starych harcerzy? – roześmiałam się znacznie wyraziściej niż naturalnie i wstałam od stołu, dając do zrozumienia, że czas mnie goni.

Gdy byłam już gotowa do wyjścia, wyłonił się ze „swojego” pokoju wujek Roger. Wyglądał dość niechlujnie; opadające spodnie od piżamy odsłoniły część jego sporego brzucha, twarz miał nabrzmiąłą i zaschniętą ślinę w kącikach ust. Rozczochrany nie był tylko dlatego, że był całkiem łysy. Pomyślałam, że pewnie sam, biedaczek, musiał się uporać z niedopitym alkoholem. Walczyły we mnie dwa uczucia: niechęć i współczucie.

– Świeże pieczywko? – ucieszył się. – Jak to miło! Bo muszę państwu powiedzieć, że Sandra nie bardzo dba o gości. Gdyby nie była waszą synową, powiedziałbym, że gospodyni z niej jak z koziej trąbka.

– Wobec tego wdzięczny jestem, że pan tego nie powiedział – odparował teść. – Dziś kobieta to coś więcej niż gosposia, a ja to szanuję i doceniam. Podobnie jak szanuję moją synową.

– No tak, tak – przyznał Roger pośpiesznie. – Jednak kobietki starszej daty to dopiero kobietki! Człowiek rano wstanie i proszę, chrupiące bułeczki na stole.

To mówiąc, złapał rogalika, przekroił i zaczął smarować masłem.

– To prawda – przyznał teść. – Ale tylko dlatego, że i my jesteśmy starsi, a one są dla nas bardziej zrozumiałe niż współczesne młode kobiety. Każde kolejne pokolenie rządzi się innymi prawami, choć pewne wartości nadal powinny być uniwersalne.

– Na przykład?

– No nie wiem... chociażby galanteria, z jaką mężczyźni powinni traktować swoje damy. Nie tylko swoje, wszystkie – poprawił się. – A propos bułek, to ja byłem po nie w piekarni.

Roger już miał wkładać do ust kawałek rogalia, ale odruchowo odłożył go na talerzyk. Poczułam, że dziś na pewno spóźnię się do pracy, nie mogłam sobie jednak odpuścić takiej sceny. Ojciec Aleksa przechodził samego siebie. Roger też, choć w dokładnie odwrotnym kierunku.

– Ależ proszę się częstować. – Teść przesunął talerzyk z nadgryzionym rogalikiem w stronę rozmówcy. – Dziś ja przyniosłem pieczywo, jutro przyniesie pan, żaden problem!

Niestety, nie doczekałam się reakcji Rogera, bo zwyczajnie zaniemówił. Nie miałam już ani minuty, rzuciłam krótkie „do zobaczenia” i wybiegłam z mieszkania.

* * *

Dzięki wyjątkowo spokojnej głowie uporałam się z czekającym na mnie zadaniem wcześniej, niż mogłabym się tego spodziewać. W drodze z pracy do domu zadzwoniłam do Aleksa.

– Ja już jestem wolna, a ty? O której wracasz? – spytałam, mając nadzieję, że też skończy dziś wcześniej.

– O... około szesnastej – odparł z pewnym wahaniem. – Czemu pytasz?

– Rany, to chyba normalne w przypadku kochającego się małżeństwa – roześmiałam się.

Aleks, słysząc mój śmiech, wyraźnie odetchnął. Ostatnio oboje reagowaliśmy na swoje nietypowe pytania dość nerwowo. Zazwyczaj bowiem informowaliśmy się o późniejszych powrotach do domu, nie wcześniejszych.

– Miło mi cię słyszeć tak radosną... A tak na serio, skąd to pytanie?

– Skąd? Spójrz za okno, wiosna przyszła. Słońce świeci, trawa zielenieje!

– Fak...

– Co??? – zdumiałam się, odruchowo tłumacząc sobie jego odzywkę z angielska.

– Fak-tycz-nie – dodał po chwili, jakby rzeczywiście podszedł do okna, by sprawdzić, jaką mamy porę roku. – I?

– Może wyciągnęlibyśmy staruszków na spacer?

– Świetna myśl – ucieszył się Aleks. – Wobec tego na pewno będę o szesnastej, ani minutki później – obiecał.

Miałam wobec tego jeszcze całą godzinę, wstąpiłam więc do biura tłumaczeń, by zobaczyć, czy jest coś dla mnie. Zostałam obdarowana dwiema teczkami, przy czym jedną z napisem „pilne”. Czyli norma... W tym przypadku „pilne” oznaczało po prostu większe pieniądze.

– A skoro tak, będziecie moje – szepnęłam do siebie i zatrzymałam się pod sklepem, w którym kilka dni temu dostrzegłam na wystawie piękne czerwone szpilki.

Normalnie nie miałam pociągu do takich ekstrawagancji i ubierałam się w sposób raczej stonowany, ale zarówno piękna pogoda, jak i nadzwyczaj, jak na ostatnie dni, dobry humor sprzyjały podobnym szaleństwom. Czółenka leżały jak ulał i choć były bezwstydnie drogie, uznałam, że należy mi się mały prezent od siebie. Choćby dla Miecia... Tak mawiała moja znajoma z pracy, której zdarzało się kupować rzeczy, o których z góry wiedziała, że ich nigdy nie użyje.

– Dla jakiego Miecia? – spytałam zdziwiona, bo wiedziałam, że jej mąż ma

na imię Tomek.

– No... żeby mieć – odparła, a ja szybko przyswoiłam sobie jej powiedzonko, bo nic tak dobrze nie określało pewnych zachowań kobiet, najbardziej chyba niezrozumiałych przez naszych panów.

Szczęśliwa i dumna wkroczyłam do domu, kompletnie się nie spodziewając, jaki zamęt tym zakupem wywołam. Jako pierwsza dostrzegła trzymane przeze mnie pudełko Edyta.

– O? Co sobie kupiłaś? – spytała.

– Pantofle, najwyższa pora zmienić botki na czółenka – odpowiedziałam i odłożyłam pudełko, żeby zdjąć kurtkę.

– Nie, nie na stół! To przynosi pecha! – krzyknęła teściowa i postawiła je na podłodze.

– No, ktoś, kto kupuje obuwie u Stefańczyka, raczej nie należy do pechowców – stwierdził Roger, który jak zwykle wyrósł jakby spod ziemi.

Robiąc ten zakup, nie zwróciłam uwagi na markę czółenek, a ściślej, zupełnie nie skojarzyłam jej z firmą brata ciotki, od lat skłóconego z wujostwem. Nie wiem czemu, ale poczułam się trochę niezręcznie. Może... wyglądało to na jakiś celowy gest?

– Mój brat nadal robi najlepsze buty w tym kraju. Nic dziwnego, że znajdują nabywców – powiedziała Edyta dość kwaśno.

– Pokaż – poprosiła teściowa.

Chcąc nie chcąc, wyjęłam zakup z pudełka i zaprezentowałam całemu gremium. Założyłam je nawet na chwilę.

– Śliczne – pochwaliła, ale tylko ona. – Naprawdę, ten słynny Stefańczyk to pani brat?

– Skoro ona tak twierdzi? Ja osobiście nie jestem przekonany – odpowiedział za ciotkę jej mąż. – I nie jestem przekonany, że są śliczne.

– Bardzo śliczne – dodał Aleks, który nie wiadomo kiedy wmieszał się w rodzinną wymianę opinii. – Takie... czerwone!

– O, to nie ulega wątpliwości – zaśmiał się teść. – Kolor to jedyna rzecz w dziedzinie mody, na którym my, faceci, się znamy...

– No dobra, a skoro już na kończynach stanęło, proponuję, by każdy swoje wprowadził w ruch, ponieważ idziemy na rodzinny spacer. I obiad lub deser, to zależy, na jakim etapie jesteście – obwieścił Aleks nasz wspólny plan.

Goście wyrazili jednomyślną aprobatę i dość szybko zebrali się do wyjścia. Chyba wpływ teścia na Rogera odniósł jako taki skutek, ponieważ wujek zaofiarował się, że po drodze wyrzuci śmieci. Daleko nie miał, bo zsymp był obok windy, ale i tak zrobiło mi się przyjemnie.

Nieśpiesznie obeszliliśmy prawie całe centrum miasteczka nowo powstałymi plantami, pokazując teściom, co od ich ostatniej wizyty się zmieniło, co nowego

powstało. Mimo iż rodzice Aleksa byli u nas raptem rok temu, zmieniło się sporo: odnowione kamieniczki, na nowo wybrukowane chodniki i alejki, nowoczesne, przeszklone biurowce i sklepy, których przedtem nie było, sprawiały wrażenie, jakby wokół zrobiło się więcej przestrzeni, było zdecydowanie czystiej i piękniej.

– Może i piękniej – skomentował Roger tę ostatnią uwagę – ale na pewno nie lepiej.

– Dlaczego? – spytała ciekawie teściowa. – Wygląda, jakby ludziom u was całkiem dobrze się działo.

– Dobrze to ludziom się działo w socjalizmie. Człowiek był człowiekiem, tak dla państwa, jak i dla siebie nawzajem.

– Co masz na myśli? – włączył się w rozmowę teść, z którym widać Roger był już na „ty”.

– Mnie na przykład wykształciła, jak to się teraz mówi, komuna. Bo ja, proszę państwa, inżynierem jestem, a dziś na pewno bym nie był. Zresztą co to za inżynierowie teraz, gdzie byś człowieku kamieniem nie rzucił, w inżyniera trafisz lub magistra... I jak tu mieć status jakiś społeczny, jak każdy ma przed nazwiskiem jak nie „mgr”, to „inż.”. Dawniej, proszę państwa, to ja byłem w tym mieście „ktoś”, kłaniano mi się z szacunkiem, znać mnie natomiast osobiście to był zaszczyt dla wielu!

Teściowie spojrzeli na siebie z lekka zażenowani, Roger natomiast w trakcie swojej przemowy rozrastał się i puchł.

– Prawda, Edyta? – zażądał na koniec potwierdzenia małżonki.

– Prawda... – wyartykułowała ciotka słabiutko.

– No zaraz – zaoponowała. – Ale przecież jak tylko socjalizm upadł, ty sam rzuciłeś się w wir interesów, otworzyłeś kilka różnych firm... Co to było?

– Wytwórstwo i handel szeroko pojęty – przyznał niechętnie Roger. – Ale co z tego, człowiek z uczciwie wpojonymi socjalistycznymi zasadami nie ma prawa odnaleźć się w tej dżungli. Oszust oszustem pogania, wyzysk i przekręt nad wszystkim panuje. Zdławili, stłamsili... Ech, szkoda gadać...

– A teraz idziemy na kawę i ciacho – próbował zmienić temat Aleks, gdy zbliżyliśmy się do małej, przytulnej kawiarenki na obrzeżach rynku. – Ja stawiam.

Wujostwo, jak było do przewidzenia, jako pierwsi obrali wskazany przez mojego męża kierunek. Gdy kelnerka przyniosła zamówione słodkości, po krótkiej chwili degustacji do rozmowy nieopatrznie wróciła teściowa.

– A ja bym się z tobą nie zgodziła – podjęła przerwana rozmowę. – Owszem, dziś wielu młodych się kształci; jedni, żeby się rzeczywiście czegoś nauczyć, a inni, bo nie wypada nie pójść na studia. Ci pierwsi naprawdę mogą wiele osiągnąć, jeśli naprawdę przykładają się do nauki. Mówisz, że kiedyś wystarczyło mieć „mgr” przed nazwiskiem, by się cieszyć powszechnym szacunkiem. Dziś wykształconych ludzi jest sporo, ale dzięki temu na szacunek i status społeczny

trzeba sobie solidnie zapracować. Spójrz choćby na Sandrę i Aleksa. I to nie komuna ich wykształciła, nic im nie spadło ani z nieba, ani po znajomości. A z tego wniosek, że da się...

– Oni już w nowych czasach dorastali – odparł Roger. – W ich czasach, w których czują się jak ryby w wodzie. O tym mówię. Teraz niestety dla uczciwych ludzi starszej daty miejsca nie ma: ot, przeżuć, wypluć i wyrzucić!

– My z Zosią też należymy do tego pokolenia – wtrącił teść. – I też kończyliśmy studia w czasach socjalizmu. Od kilku lat jesteśmy na emeryturach, owszem, nie przelewa się nam, ale nie dramatyzujemy. Żyjemy na takim poziomie, na jaki nas stać, i cieszymy się tym, co mamy: wolnym czasem, sobą, synem i synową...

Postanowiłam wtrącić swoje trzy grosze.

– Na szczęście „w moich czasach”, jak je nazywasz, mogłam się uprzeć i zdecydować o sobie, bo dziś uczyć może się każdy. Ciebie wykształciła komuna, okej, czemu wobec tego nie wykształciła mojej mamy, waszego brata Lucka, taty? Bo tamte czasy wcale nie były dla nauki takie łaskawe. Społeczeństwu wpajano, że najwyższą wartością jest tak zwana klasa robotnicza, duża część młodzieży kończyła jedynie zawodówki, po których zakasywała rękawy i szła do roboty. Nie wiem, czy wiesz, wujku, ale moim rodzicom marzyło się, żebym została krawcową. I pewnie gdybym urodziła się trochę wcześniej, tak by się właśnie stało.

Ani Aleks, ani jego rodzice nie podjęli już tematu. Pewnie dlatego, że oni, żyjący od zawsze w dużym mieście i sami jako ludzie wykształceni, wpajali od dziecka swojemu synowi pewne ambicje. Popatrzyli za to wszyscy troje na mnie tak jakoś... ciepło. Roger w skupieniu zeskrobywał z talerzyka resztki ciastka, Edyta siedziała sztywno z dłońmi ułożonymi równo na stole.

Zastanawiałam się, czy nie powinnam żałować, że nakłoniliśmy rodziców Aleksa do zostania u nas przez kilka dni. Przy takich różnicach światopoglądowych z Rogerem i milczącą aprobatą Edyty mogli czuć się niezręcznie. Wyobraziłam sobie, jakie dyskusje musieli prowadzić pod naszą nieobecność... Roger był bowiem przeważnie kontra wszystkiemu, nadal dumny i zarozumiały jak kiedyś. Jakby nie wiedział, z jakimi wyrzeczeniami musieli się zmagać nie tylko dziadkowie, ale i pozostałe rodzeństwo, żeby on mógł zdobywać ten swój „status”. Jako jedyny w rodzinie, predestynowany do roli inteligenta, musiał być najlepiej ubrany, mieć swoje pieniądze na książki, teatr, kino. Mama opowiadała, że gdy była jeszcze panienką, na niej spoczywała odpowiedzialność za garderobę brata; nieraz musiała późnym wieczorem prac jego białą koszulę, suszyć naprędce i prasować, bo akurat mu się przypomniało, że na rano jej potrzebuje. A gdy pewnego razu PSS Społem zorganizowała dla swoich pracowników wyjazd do teatru, spotkała tam Rogera ze znajomymi. Podeszła do niego w przerwie, a on udał, że jej nie zna...

ROZDZIAŁ VIII

Korepetycje

Moi rodzice, aczkolwiek bardzo mnie kochali, nie wierzyli we mnie zbyt i niestety często dawali mi to odczuć. Nie specjalnie i nie złośliwie. Dla nich byłam po prostu pyzatem bobaskiem, rozkosznym, lecz niekoniecznie stworzonym do wyższych celów. Dbano, bym nie cierpiała głodu ani chłodu, inne aspekty mojego dzieciństwa były tylko i wyłącznie moją sprawą. Zainteresowanie mną wzmagало się w sytuacjach, gdy coś przeskrobałam, natomiast wszelkie moje dokonania in plus uznawane były za oczywiste i niewymagające specjalnego komentarza.

Rzecz jasna nie miałam o to do nikogo pretensji, bo taki model życia był w moim środowisku czymś całkiem zwyczajnym, z powodzeniem powielanym w czasie i przestrzeni. I naprawdę, wcale nie jest tak, że gdy sięgnę pamięcią do momentów, gdy zdarzyło mi się dostać w tyłek od taty czy mamy, a nawet mojej kochanej babuni, czuję do nich jakikolwiek żal. To była norma, akceptowana przez dorosłych i respektowana przez dzieci. Dziś wiem, że zanim w małym dziecku wykształci się tak zwane myślenie przyczynowo-skutkowe, czyli możliwość samodzielnego zrozumienia i oceny konsekwencji danego czynu, klaps w tyłek bywa jedynym oczywistym argumentem przeciw robieniu głupich rzeczy, niejednokrotnie ratującym nawet życie lub zdrowie. Kara w postaci klapsa bywała też skuteczniejsza niż najbardziej kwiecista reprimenda.

À propos słów, te zapadały w mój umysł trwalej i bywały o wiele bardziej przykre niż twarda ręka rodziciela na zadku – ten bowiem przestawał boleć znacznie szybciej niż zraniona dusza... Gdy mój brat w swój niewyszukany sposób uświadamiał mi prawdę o moim wyglądzie, mama zaprzeczała i twierdziła, że wcale nie jestem gruba, tylko pulchna, a poza tym jestem najpiękniejsza na świecie. Do pewnego momentu szczerze w to wierzyłam, ale kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, zdziwiłam się boleśnie, że nikt nie podziela jej zdania; przeciwnie, moje koleżanki i koledzy zdecydowanie skłaniali się ku opinii brata...

Nastał jednak moment, na koniec ośmioklasowej jeszcze podstawówki, że postanowiłam raz na zawsze rozprawić się z pulchnym bobaskiem. Postanowiłam go zagłodzić na śmierć – innymi słowy, narzuciłam sobie bardzo restrykcyjną dietę. Młody, ciągle jeszcze rozwijający się organizm, w coraz bardziej desperackiej walce o napęd dla mojej życiowej energii, szybko dobrał mi się do sadła. Wąłki na brzuchu znikwały, zaczęła pojawiać się talia i szyja. Wprost proporcjonalnie wzrastała moja łaskawość dla samej siebie i coraz śmielsza nadzieja, że może jednak coś ze mnie będzie... A gdy któregoś dnia poinformowałam rodziców, że

zamierzam zdawać do ogólniaka, wprawiłam ich w niezłą konsternację.

– Do ogólniaka? A po co ci to, dziecko? – taka była reakcja mamy, ponieważ ona widziała we mnie raczej krawcową lub ekspedientkę niż kiełkującą intelektualistkę. Brat już od trzech lat chodził do technikum, widać jeden mądry w rodzinie miał wystarczyć.

– Żeby się uczyć – odparłam zdecydowanie.

– Ależ ucz się, dziecko, ucz – odezwał się tata. – Nauka zawodu to też nauka, tyle że bardziej pożyteczna.

– Po co więc Romkowi technikum? Mógł przecież pójść do zawodówki – spytałam zaczepnie.

– Będzie miał otwartą drogę, jakby chciał iść na studia.

– Ja też chcę iść na studia.

– Krawieckie? – spytał Romek, który wchodząc, musiał usłyszeć kawałek naszej rozmowy.

– Nie, kominiarskie – warknęłam, bo od pewnego czasu miałam już tyle odwagi, żeby mu odpyskowywać.

Mama, tata i babcia postanowili się nad moją przyszłością naradzić. W końcu uznali, że wszystko w rękach opatrności – jeśli zdam do liceum, trudno. Jeśli nie, będę szyc lub sprzedawać. A żeby osiągnąć swój cel i pokazać wszystkim, na co mnie stać, musiałam ostro wziąć się do nauki, ale nie ze wszystkimi przedmiotami mogłam poradzić sobie sama, z matmy musiałam znaleźć korepetytora. I tu znów los zetknął mnie bliżej z rodziną mojego chrzestnego, a konkretnie z Anetą, która korkami z przedmiotów ścisłych dorabiała do studenckiego życia. Jeździłam do niej dzień w dzień, gdy przyjechała z uczelni na zimowe ferie, i w kilka kolejnych sobót i niedziel, by porządnie nabytą wiedzę utrwalić.

Muszę przyznać, że Aneta umiała nauczyć. Była cierpliwa i nawet całkiem miła. Zdarzały się jednak momenty, które wprawiały mnie w zakłopotanie, na przykład gdy w porze obiadu ciocia wołała kuzynkę do kuchni i tam, przy wspólnym stole, posilała się ich rodzina, podczas gdy ja czekałam w pokoju Anety, odejmując, dodając, mnożąc i dzieląc. Do domu wracałam nieludzko głodna, bo – dieta dietą – ale przecież nie rozstałam się z jedzeniem na dobre. Któregoś razu mama, widząc, jak rzucam się na zimną pomidorówkę z obiadu, spytała, czy ciocia Edyta częstuje mnie czymś w czasie tych lekcji. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że nie, i dodałam (już mniej zgodnie), że kiedy się uczę, nie bywam głodna. Kolejnej soboty przed wyjściem na korki mama zaopatrzyła mnie w kawał sernika z pomarańczą, takiego... kremowego, puszystego, jaki tylko ona potrafiła upiec. Gdy zdejmowałam buty, ciocia wzięła ode mnie paczkę i zajrzała do środka.

– Hm... sernik! – zachwyciła się. – Podziękuj mamie – dodała, po czym umieściła ciasto w lodówce i tyle je widziałam.

Byłam tym zdarzeniem tak bardzo zażenowana, że mówienie o nim mamie zbyt wiele by mnie kosztowało. Mama więc nadal w najlepszej wierze przed lekcjami z Anetą wyposażała mnie w produkty, dzięki którym miało mi na tych lekcjach nie burczeć w brzuchu, ale te za każdym razem dzieliły los nieszczęsnego sernika widma. Najgorsze męki przeżywałam wówczas, gdy trzeba było jakiemuś zagadnieniu poświęcić więcej czasu i zostawałam u wujostwa aż do kolacji. Wtedy ciocia wchodziła do nas na paluszkach i kładła przed Anetą talerzyk z kanapkami i kubek herbaty. Gdyby nie to, że jako osoba na diecie z uczuciem głodu byłam już obyta, może bym nie wytrzymała i wbrew temu, co wpajała mi babcia, też poprosiłbym o coś do jedzenia. Ale wytrzymałam... Wytrzymałam i to, gdy w ostatnim dniu korepetycji Aneta uznała, że wszystko już umiem, i dała mi zadanie specjalne. Poleciała mi pomnożyć czternaście razy jeden, dodać do tego cztery razy po dwa, a wynik pomnożyć przez piętnaście.

– Takie proste? – zaśmiałam się. – To ma być mój test końcowy czy co?

– Lepiej bym tego nie ujęła. – Aneta również się roześmiała i klepnęła mnie w ramię. – Ile ci wyszło?

– Trzysta trzydzieści. – Spojrzałam na nią, ciągle jeszcze się uśmiechając, aczkolwiek coraz mniej naturalnie.

Uświadomiłam sobie bowiem, że moja kuzynka po prostu kazała mi obliczyć swoje honorarium za lekcje. Trzysta trzydzieści złotych. W tamtych czasach była to naprawdę spora kwota.

– Niestety, nie mam przy sobie tych pieniędzy... rodzice bali się, że zgubię – wymyśliłam na poczekaniu, bo było mi wstyd.

– Kurczę, a ja jutro wracam do akademika – zasępiła się Aneta.

– Rano będziesz je miała – zapewniłam i tym razem gnana nie tylko głodem, ale i pewnego rodzaju szokiem, pobiegłam na przystanek.

Za dwie minuty miałam autobus, liczyłam na to, że zdążę na ten ciut wcześniejszy, i mimo że przyszło mi doganiać go na piechotę, udało się. Gdy pomyślałam, ile znów rodzice nawydziwiają się nad skąpstwem Edyty, żołądek skurczył mi się odruchowo i głód minął. Tak to sobie po drodze wykoncypowałam, że najpierw poszłam do babci. Babunia wysłuchała mnie uważnie, chwilę pomyślała i znalazła rozwiązanie.

– Ja ci dam te pieniądze – zdecydowała.

– Ale... skąd ty weźmiesz, babuniu, tyle kasy?

– Na pewno nie pójdę kraść – zaśmiała się.

– Tylko... co?

– Już ty się o nic nie martw. Ty jesteś moją wnuczką i Aneta jest moją wnuczką. Skoro już musiałyś płacić komuś za tę naukę, to chyba dobrze, że swojemu, a nie obcemu.

– Niby logiczne – zgodziłam się niepewnie.

Babcia podreptała w stronę komody, spod stosu bielizny wyjęła szarą kopertę i odliczyła dokładnie trzysta trzydzieści złotych.

– Masz, Sandrunia. Tylko nic nie mów ani matce, ani ojcu. Oni... wiesz, nie żyją za dobrze z Rogerem, nie trzeba tego pogarszać.

Nazajutrz, by rodzice w niczym się nie zorientowali, zwolniłam się z lekcji wuefu i zamiast do domu pojechałam do Anety.

– Dziś się rodzice nie bali, że zgubisz? – spytała, licząc banknoty.

– Bali się, ale nikt inny nie miał czasu przyjechać. Na kolanach przed Matką Boską im przysięgłam, że nie zgubię, a wtedy na parapecie usiadł biały gołąb, jakby na znak, że mówię prawdę – powiedziałam te bzdury sama nie wiem po co.

Aneta spojrzała na mnie spode łba.

– Przesady... – mruknęła zde gustowana.

– Przesady nie przesady, ale pieniądze masz.

– W sumie racja – zgodziła się.

Rodzice rzeczywiście nigdy nie dowiedzieli się prawdy o moich korkach u Anety, ja za to dowiedziałam się po pewnym czasie od mamy, że babcia ni z tego, ni z owego zrezygnowała z zakupu wiosennego płaszcza i butów.

– No ja nie mam słów do tej mamy – żaliła się do taty. – Osiem lat chodzi do kościoła w tym samym palcie, a jak w końcu uskładała pieniądze na nowe, nagle jej się odwiedziało. Nie i nie! I jak tu nadążysz człowieku za starszymi ludźmi?

Zrobiło mi się strasznie smutno, poczułam się winna.

– Dajże spokój, Benia – wtrącił tata. – Twoja matka jest dorosła, sama niech o sobie decyduje...

A babcia zdecydowała właśnie. Wyjęła z szafy swój stary płaszcz i wieczorami pracowicie, „ścigiem na okrętkę”, przyszyła nadprutą kieszeń i luźno zwisające guziki.

* * *

Jesienią tego samego roku zmarli rodzice ciotki Edyty. Ojciec pod koniec września, matka w listopadzie. Myślę, że poza wielką urodą ciotki, która przyczyniła się do jej wyboru przez Rogera na żonę, to oni stanowili powód, dla którego babcia tak łatwo tę kandydaturę zaakceptowała. Nie dosłownie oni, raczej ich status materialny. Państwo Stefańczykowie byli bowiem właścicielami świetnie prosperującego od dwóch pokoleń zakładu szewskiego, specjalizującego się w produkcji i naprawie obuwia. Nie każdego było stać na robione na zamówienie u Stefańczyków pantofle, na brak roboty jednak nie narzekali. W latach osiemdziesiątych, gdy kupienie porządnych butów zakrawało na cud, a potem dla rozwiązania tego problemu państwo wyposażyło obywateli w specjalne talony, to oni zaspokajali potrzeby rynku. Wyrobili sobie przy tym w całym kraju markę, która do dnia dzisiejszego pozwala im na dostatnie życie. Zakład szewski z czasem

stał się rodzinną fabryką, we wszystkich szanujących się salonach obuwniczych ich wyroby mają odrębne stoiska, a buty od Stefańczyka stały się wyznacznikiem luksusu.

Niestety, po otwarciu testamentu okazało się, że firmę w całości odziedziczył brat Edyty, jej zaś dostał się tylko dziesięcioletni mercedes po ojcu.

– Niech idzie do niego po spłatę z ojcowizny – skomentowała babcia, może nawet z pewną satysfakcją, gdy nieutulony w żalu Roger wpadł do niej, by dać upust swemu rozgoryczeniu.

– A może i pójdzie – potwierdził z zapalem. – Nie ma mamusia jakiegoś likierku czy innej naleweczki?

– Nie mam, synku – odparła babcia zmartwiona. – Ale pewnie Kazik ma coś tam u siebie w barku...

Tata zawsze miał zachomikowaną wódeczkę na wypadek potrzeby pilnego ugoszczenia jakiegoś zabłąkanego wędrowca. Bywał nim najczęściej nasz sąsiad Mikut Franciszek lub własny brat taty – Edek. Tym razem przyszło mu wspierać alkoholem nielubianego szwagra, ale prawa gościnności nie dopuszczały w tym względzie żadnej dyskryminacji.

– Zrób, Benia, jakiejś kielbasy na ciepło – zwrócił się ojciec do mamy, gdy Roger, na moje oko już po kilku głębszych, wprosił się do nas na wieczór. – I ogórków daj, korniszonów!

Rozsiedli się w trójkę przy stole w kuchni, my z bratem w sąsiadującej z nią sypialni wyteżaliśmy słuch, siedząc na podłodze przy drzwiach.

– Życie podłe bywa, Benia, wiesz? – Roger podsumował swoje rozterki, najpewniej unosząc swój kieliszek w kierunku mamy.

– To akurat wie każdy – odparła mama. – A ty konkretnie co masz na myśli?

– Niesprawiedliwość. Niesprawiedliwość i ludzką nieprawość...

– No ale że co? – dopytywał tata, choć pewnie znał już powody Rogerowego nieszczęścia.

– Teściowie nas wyrolowali. W sposób... że tak powiem, wysoce nieprzyjemny...

– Znaczy, nic wam nie zapisali? – odrzuciła mama.

– Zapisali, starego grata, całą resztę zgarnął braciszek Edyty. Żona moja jest załamana oraz rozdarta. Bardzo liczyła na te parę groszy po rodzicach.

– W sumie... ja bym się tak nie dziwił – podjął ostrożnie temat tata. – W końcu to on całe życie w tym obuwiu pracował, jego żona, dzieci... Sam bym nie chciał, żeby po mojej śmierci dzielić na kawałki tak świetnie działającego interesu.

– Mnie nie chodzi o interes, tylko o jego równowartość – zapiał wujek jakoś nienaturalnie, pewnie zachłysnął się zbyt szybko wychylonym alkoholem.

– Połowy chyba...

– Połowy – zgodził się.
– Ale żeby mogli ci dać połowę, pewnie musieliby sprzedać całość. To dużo forsy, na pewno nie mają tyle w skarpetce.
– To niech wezmą pożyczkę!
– Dajże spokój, Roger! – zgromiła młodszego brata mama. – Aż tak ci ubóstwo doskwiera? Ująłbyś się honorem i pogodził z wolą teściów. Z braku czegoś, czego się do tej pory nie miało, się nie zbiednieje.
– A doskwiera mi, żebyś wiedziała, spory kredyt wzięłam, żeby rozkręcić własny interes, ledwo wyrabiam ze spłacaniem!
– Z czym? – zdziwił się ojciec.
– Wy-ra-biam ze spła-ca-niem – przesylabizował Roger, bo mówienie zaczęło mu chyba sprawiać problem.
– Ale jaja! – Brat trącił mnie łokciem. – Piękny wujo żyje na krechę?!
W kuchni nagle zapadła cisza. Takiej rewelacji nikt się nie spodziewał, o ile oczywiście Roger mówił prawdę. Zawsze sprawiał wrażenie zaradnego i przedsiębiorczego, a może nawet pracowitego... w każdym razie cwanego na pewno. Wszyscy sądziliśmy, że otwarta przez niego rok temu z okładem firma przynosi spore zyski. Tak to w każdym razie wyglądało na zewnątrz.
– Niemożliwe – odpowiedziałam bratu szeptem. – Ledwo wyrabia? Ściemnia na pewno, żeby wzbudzić litość i żeby tatulo wyjął drugą flaszkę...
– No to mało o życiu wiesz – wymądrzył się Romek. – Może wydaje więcej, niż zarabia, różne ukryte zainteresowania mają ludzie. Nasi starzy co miesiąc nie mogą się nadziwić, gdzie się podziało moje kieszonkowe, a ja ich nie mam zamiaru uświadamiać, ile kasy idzie człowiekowi na fajki... Ty! A może on po prostu nałogowo chla? Po prostu przepija wszystko, co zarobi...
– Oszalałeś? Ty to jesteś cyniczny, Romek, jak mało kto.
– Pamiętaj, że Roger zajmował się do niedawna odbiorem instalacji elektrycznych przed wydaniem zezwolenia na użytkowanie budynków. Nie wierzę, że mu nikt czasem do kieszeni dobrego koniaczku nie wsadził. Albo koperty. Mógł się rozpić, a gdy we flaszczyce dno – za kopertę i po następną!
– Głupi jesteś. Gdyby chlał, to by nie mógł robić interesów.
– Dziś robi się interesy głównie wtedy, jak się wie, z kim chlać – podsumował Romek.
– O nie, nie! – zaprotestowałam w obronie chrzestnego. – Jeśli już ma jakieś finansowe problemy, to tylko dlatego, że ciotka Edyta lubi żyć nad stan! Ale ty niestety nie wiesz, ile kosztuje futro z lisa, że już o czapce do kompletu nie wspomnę...

Poczułam się dumna ze swoich słów. Babcia z pewnością poparłaby mój punkt widzenia i pochwaliła szlachetną postawę.

Romek nakazał mi gestem milczenie i znów nadstawił ucha, ale nie było już

czego podsłuchiwać. Za pomocą wizji lokalnej przez dziurkę od klucza stwierdziliśmy, że Roger padł na leżance w kuchni i na tym impreza się zakończyła. A kiedy już wszyscy położyli się spać i pogasły w całym domu światła, nagle na dole rozległ się niemiły hałas. Ktoś na zmianę dzwonił do drzwi i walił w nie pięściami. To była ciotka. Przyjechała swoim mercedesem, mocno przestraszona zaginięciem małżonka. Na wieść, że Roger zaległ u nas w kuchni, ciotce wyraźnie ulżyło. We trójkę (z pomocą taty i mamy oraz cennych rad nawigacyjnych babci) udało się jakoś wpakować nieszczęśnika do samochodu.

- Widzisz, mamó, jak ona bardzo go kocha? – zwróciła się do babci mama.
- Trudno, żeby nie – szepnął tata. – W końcu dobrali się jak mało kto...

ROZDZIAŁ IX

Samolot do Australii

Teściowie wyjechali od nas w niedzielę wczesnym rankiem, po trzech dniach pobytu. Nieco szybciej, niż planowali, ale jak tłumaczyli, po prostu zateśknili za swoim własnym mieszkaniem. Podpuszczony przeze mnie Aleks dopytywał na różne sposoby, czy nie spotkała ich u nas jakaś przykrość, ale niczego na ten temat się nie dowiedziałam. Doszłam więc do wniosku, że dla ludzi przyzwyczajonych do życia we dwójkę w ciszy i spokoju u nas po prostu było zbyt tłoczno. Nieutulony w żalu Roger zatrzymywał ich, jak potrafił, a robił to jak prawdziwy pan domu, naszego, nawiasem mówiąc. Niestety, bez efektu i wkrótce wszyscy w czwórkę machaliśmy z balkonu w kierunku oddalającej się, mocno już przechodzonej granatowej toyoty.

– No cóż, wobec tego pora wrócić do szarej codzienności – podsumował Roger, gdy autko całkiem zniknęło z naszych oczu.

Jego niewinne z pozoru stwierdzenie wywołało u mnie coś w rodzaju paniki. Spojrzałam na Aleksa, on też miał dość niewyraźną minę. Usiedliśmy wszyscy przy stole, wracając do swoich niedopitych kaw i, jak to się mówi, „każdy milczał na swój własny temat”. Ja osobiście czułam się fatalnie. Nie tak sobie wyobrażałam pobyt wujostwa u nas, a przede wszystkim nie aż tak długo. Dla osoby z zewnątrz ta sytuacja mog-ła się wydawać nawet nie tyle absurdałna, co wręcz niewiarygodna. Ktoś inny na naszym miejscu pewnie prędko uporałby się z uciążliwymi gośćmi, ale mnie nie pozwalała na to głęboko wpojona przez rodziców prawość i szacunek dla drugiego człowieka, Aleksowi z pewnością dokładnie to samo plus kompletny brak asertywności. Wiele bym dała, żeby to inna para gości dziś się z nami pożegnała, ale z własnej nieprzymuszonej woli. W końcu nie wytrzymałam rosnącego napięcia i zapytałam łagodnie:

– Możemy pogadać o tej... waszej Australii? – Roger spojrzał na mnie zdziwiony.

– Już gadaliśmy przecież – odparł.

– Owszem, ale może są jakieś bardziej aktualne informacje?

Aleks ujął mnie za rękę i ścisnął mocno, by dodać mi otuchy.

– Mówiłem ci, Sandro, że sprawa na chwilę utknęła w martwym punkcie. –

Wujek spojrzał na mnie z wyrzutem. – Nic na to nie poradzę.

– Mówiłeś, że się nieco przedłużyła – uściśliłam.

– Na jedno wychodzi – bąknął i wyszedł, a ciotka za nim.

Niestety, moja wiedza w temacie ich wyjazdu nie posunęła się ani o krok.

Byłam zawiedziona, mój mąż pewnie też, ale oczywiście nie dawał tego znać po sobie.

– Słuchaj, Aleks, idź im powiedz, niech zrobią zakupy na dzisiejszy obiad. – Wpadłam nagle na pewien pomysł.

– No co ty? Jak?

– Normalnie. Powiedz, że zaniemogłam i musisz zostać ze mną, nie masz wyjścia.

Aleks długo się zbierał do wypełnienia tej misji, ale chyba uznał, że gdy ociupinkę utrudnimy im życie, może postarają się przyśpieszyć sprawę wyjazdu. O dziwo, żadne z wujostwa nie zaprotestowało. Trochę trwało, zanim wyszykowali się do wyjścia, ale to już było dla mnie mało istotne, była niedziela, z obiadem się nie paliło.

– Możesz na chwilę rozprostować kości i odpuścić sobie tę zbolałą minę – oznajmił Aleks, bo od co najmniej godziny leżałam złożona niemocą.

– Nie na chwilę, tylko na całkiem – odparłam, wyskakując z tyle co odzyskanego małżeńskiego łóża. – Kto mi zabroni nagle wyzdrowieć, co? Cel został osiągnięty, nie widzę powodu, by tu tkwić cały dzień.

– To im się wyda podejrzanę. – Aleks spojrzał na mnie niepewnie.

– Trudno, może przynajmniej da im do myślenia...

– Na pewno im da, ale... czy to myślenie coś da?

– Dobra, dobra, nie marudź. – Cmoknęłam go w policzek. – Idę wziąć dłuższą kąpiel, skoro łazienka wolna.

Pławiłam się w pianie blisko godzinę, rozkoszując się świadomością, że całe mieszkanie znów przez chwilę należy tylko do nas. Zdążyłam jeszcze nasmarować się od stóp do głów balsamem i ułożyć włosy. Niestety, zamiast wykwintnego niedzielnego stroju włożyłam swój domowy dres, żeby nie przeginać z tym „wyzdrowieniem”. Zaraz potem do mieszkania wkroczyła obładowana siatkami ciotka, a za nią Roger z wiązką selera naciowego w jednej ręce i okazałym porem w drugiej.

– No, chyba mamy, co trzeba – oznajmił i ułożył swoje trofea na stole w kuchni. – Rozpakuj to, Edyta, bo ci cieknie...

Istotnie, z jednej z siatek coś miarowo kapało.

– Daj, ciociu, pomogę. – Zabrałam jej z ręki tę, która przeciekała, Aleks wziął od niej resztę.

– Ryba zapewne – zasugerował Roger.

A to się zemścili – pomyślałam, bo nie cierpiałam smażyć ryb, a nawet nie umiałam robić tego zbyt dobrze.

Zakupy wujostwa okazały się rarytasami z najwyższej półki: świeży łosoś, szynka parmeńska, dwa gatunki sera żółtego, na który my sami nie pozwalaliśmy sobie zbyt często, mrożona kaczka, kawał czekoladowego ciasta i drugi, z galaretką

i owocami oraz... butelka jacka daniel'sa. To nie wszystko, bo z rzeczy zasługujących na szczególną uwagę rzuciła mi się jeszcze w oczy woda po goleniu i krem przeciwzmarszczkowy dla pań „siedemdziesiąt plus”. Moje podejrzenia co do intencji wujostwa nabrały charakteru pewności, gdy Edyta wygmerwała z portmonetki złożony w drobną kostkę rachunek i położyła go obok zakupów. Opiewał na ponad trzysta złotych. W pierwszym odruchu miałam zamiar być bardziej skrupulatna, ale po błyskawicznej rewizji swojego planu zrealizowałam go jedynie częściowo.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo miałam pomysł, co na ten obiad zrobić, ale już mój problem się rozwiązał: będzie pieczona kaczka! Dobrze, że wzięliście też warzywa na surówkę, bo tu miałam mały deficyt. Policz, proszę, kochanie, ile to będzie razem – zwróciłam się do Aleksa – bo trzeba wujkowi zwrócić pieniądze. Dolicz też łososia, zamrozę go i kiedyś się do czegoś przyda. Niestety, nie bardzo radzę sobie z rybami...

– Pięćdziesiąt siedem osiemnaście – poinformował mnie po chwili Aleks, a na jego twarzy dojrzałam tłumiony uśmiech.

– No dobra, dolicz jeszcze jedno ciasto, niech będzie pół na pół.

– To będzie równo siedemdziesiąt pięć złotych – dodał szybko i przyniósł portfel.

Roger wyglądał dokładnie tak jak mój tata w chwilach, gdy zachodziła obawa, że mu „żyłka pęknie”. Edyta stała obok niego jak słup, mocno zaciskając usta.

– Trzeba będzie wygospodarować półkę w lodówce – powiedziałam niby do siebie. – My takich luksusów nie jadamy, więc głupio by było, gdybyśmy się pomylili. W końcu ser do sera podobny, a szynka do szynki...

Myślałam, że Roger jakoś to wszystko po swojemu skwituje, ale milczał. Oboje z ciotką nie wyściubili nosa ze „swojego” pokoju aż do obiadu. A kiedy już z Alekssem podaliśmy do stołu i poszłam ich zawołać, ciotka wyglądała na zapłakaną. Widocznie wujek ją zbeształ za zrobienie takich drogich zakupów z myślą, że wszystko pójdzie na nasz koszt.

Rozmowa przy obiedzie się nie kleiła, dopiero pod koniec posiłku wujek zdecydował się wyrazić swoją opinię:

– Twarda ta kaczka. Łososia trzeba było zrobić...

– Nie umiem – odparłam. – Ale może ciocia robi na jutrzejszy obiad.

– Ona niech tu już lepiej niczego nie rusza – stwierdził Roger, wytarł serwetką kąciki ust, podziękował i wyszedł.

– Tobie też nie smakuje, ciociu? – spytałam Edytę, która wsuwała kaczą pieczeń bez widocznych oporów.

– Mnie... bardzo smakuje – odpowiedziała, a gdy podniosła głowę nad talerza, jej oczy znów były pełne łez.

Co za dziwna kobieta – pomyślałam. – Najpierw narozrabia, a potem płacze... I wówczas przypomniały mi się słowa chrzestnego, wypowiedziane dawno temu pod moim adresem, że gdy już tylko „ściana i mur, to łzami w biednego faceta”. Być może to był właśnie sposób ciotki na niego, stąd uraz Rogera do kobiecych łez. Po prostu poznał ten mechanizm na przykładzie własnego życia małżeńskiego i teraz wzbudzał on w nim wyłącznie irytację...

* * *

Od tej pory, gdy lodówka zaczynała świecić pustkami, nie kwapiłam się już tak bardzo do jej uzupełniania. Do czasu pojawienia się wujostwa nigdy nie gromadziliśmy z Alekssem jedzenia na zapas, kupowało się po prostu pewne rzeczy na bieżąco, a gdy oboje o tym zapomnieliśmy, nie było dramatu: po drugiej stronie ulicy był mały spożywczy sklep, można było też zamówić przez telefon coś gotowego. Od wszelkiej biedy zawsze były jajka, które jakby same dbały o to, żeby być – raz w tygodniu przynosiła nam je sąsiadka z dołu, której z kolei dostarczała je ciotka mająca własne kury. Gdy nie było chleba – smażyliśmy racuchy, a gdy zabrakło mąki – omlety.

Na początku trochę sumienie mnie gryzło, gdy wujostwo, jak to mawiała moja mama, bezproduktywnie „wachlowało drzwiami od lodówki”, ale w końcu wytłumaczyłam sobie, że dając im chwilowe schronienie, wcale nie wzięłam na siebie obowiązku ich utrzymywania. I tak mieli swego rodzaju komfort, nie musieli płacić za prąd, gaz i wodę. Korzystali z naszych środków czystości, to ja robiłam pranie i sprzątałam dom. I... od czasu do czasu popadałam w chwilowe załamanie – niestety, moje małe fortele niczego nie zmieniły.

Ciotka i wujek również nie uzupełniali lodówki, raczyli się tym, co było, czyli głównie jajkami, serem i pomidorami. Tak mi się przynajmniej zdawało, dopóki nie znalazłam obok kosza na śmieci rzuconego niedbale papierka i odruchowo go podniosłam. To był rachunek z Telepizy. Widać od czasu, gdy postanowiliśmy z Alekssem znowu zacząć normalnie chodzić do pracy (bo ileż można być na urlopie?!), dożywiali się pod naszą nieobecność i najwyraźniej im nie przeszkadzało, że pizza nie jest naszą narodową potrawą.

Czas leciał, a wujostwo zapuszczało u nas korzenie. Któregoś wieczora wzięłam głęboki oddech, przeżegnałam się i wkroczyłam do „pokoju wujostwa” z zamiarem odbycia naprawdę poważnej rozmowy. Zrobiłam to w czasie, gdy Aleks był jeszcze w pracy; nie chciałam, żeby przy tym był.

– Słuchajcie, moi drodzy, tym razem chciałabym naprawdę konkretnej odpowiedzi, kiedy zamierzacie wyruszyć do tej waszej Australii. Nie wypraszam was, rzecz jasna, i rozumiem, coś się przedłużyło i skomplikowało – uprzedziłam tłumaczenia Rogera, który właśnie otwierał usta. – Nie chciałabym też, żebyście się poczuli urażeni, ale chcę być z wami szczerą. Zrozumcie, taka sytuacja mocno

komplikuje nam życie. Kiedyś robiliśmy różne wypadki na weekend, czasem na dłużej, że już o zbliżających się wakacjach nie wspomnę. Teraz niestety nie możemy sobie na to pozwolić...

– Czemu nie możecie? – zdziwił się Roger. – Ja myślę, że nawet przeciwnie, moglibyście być całkiem spokojni o mieszkanie.

Zrobiło mi się mdło na żołądku.

– Chciałabym jednak poznać waszą odpowiedź. – Postanowiłam być konsekwentna.

– No cóż... Przykro mi to mówić ci teraz, ale niestety sprawa nie jest taka prosta... – Roger spojrział na mnie ze smutkiem.

– To... to znaczy?

– Szczerze mówiąc... ten wyjazd troszkę przerósł nasze możliwości finansowe. Wszystko jest załatwione – dodał prędko – ale nagle się okazało, że pewne rzeczy będą kosztowały więcej, niż przewidzieliśmy, a bilety do Australii... wiesz, nie ma bezpośrednich lotów... są bardzo drogie... Ale nie martw się, zbieramy brakującą kwotę.

– Jak? – spytałam krótko, bo na więcej słów zabrakło mi siły.

– Nasze cztery kolejne emerytury powinny wystarczyć.

Cztery emerytury, czyli cztery kolejne miesiące... Nie, nie wierzyłam w to, co słyszę. Wyglądało na to, że wujostwo zakotwiczą u nas... do listopada! Poza tym dziwne mi się to wszystko wydało i niejasne. Jednak nie dopytywałam o szczegóły, bo nagle dostrzegłam małe światełko w tunelu i ono całkiem przyćmiło moje podejrzenia.

– Ile wam brakuje? – spytałam.

– Trzyście tysięcy.

Miałam na koncie nawet więcej.

– A gdybyście mieli te pieniądze jutro, jak prędko jesteście w stanie wyjechać?

– Jak tylko uda nam się kupić bilety.

– Dobrze, wobec tego róbcie rezerwację, ja dam wam te pieniądze – wyrzuciłam sobie jednym tchem.

– Pożyczysz nam tyle forsy? – Rogera niemal zatchnęło.

– Nie, nie pożyczę, dam – odparłam, bo to już zostało przeze mnie postanowione.

Oczywiście nie zamierzałam się zwierzać ze swojego gestu Aleksowi, to miało być coś jak prezent niespodzianka, a o cenie prezentów się nie rozmawia.

– Ale... Sandrusiu, nie trzeba – chlipnęła ciotka. – Naprawdę, dobra z ciebie dziewczyna, tylko że...

– Uspokój się, kobieto – zgromił ją wujek. – Ja to mimo wszystko potraktuję jak pożyczkę i oddam co do grosza.

Ciotka rozbeczała się jeszcze mocniej, na co wujek zaczął ją przytulać i głaskać po twarzy.

– Wzruszyłaś się, biedaczko... Ale widzisz, moja droga, że są jeszcze ludzie o wielkich sercach, czasem nawet w rodzinie. – Roger wziął jej twarz w swoje ręce i mocno przycisnął do piersi. Tak mocno, że zaczęłam się bać, czy jej nie udusi. – No, już dobrze, moja mała – szeptał jej do ucha – nic nie mów, wszystko jest dobrze...

Taki obrazek rozczył i mnie. Co tam pieniądze – pomyślałam i znów przyszło mi na myśl powiedzonko mojej babci, że człowiek tyle jest wart, ile jest w stanie dać z siebie innym.

ROZDZIAŁ X

Babunia

Babcia, jaką pamiętam, była małą, pulchną kobietką z cieniutkim siwym warkoczem, w niczym nieprzypominającą pięknej, smukłej brunetki, jaką widziałam na zdjęciach z jej młodości. Mam takie jedno, na którym uwieczniono ją z całą trójką dzieci, i gdyby nie kontrastujące z resztą ciała, mocno opalone dłonie ze zniszczonymi paznokciami, wyglądałaby jak prawdziwa arystokratka. Dumna postawa, piękna suknia i komplet z pereł, którym później obdarowała mamę, sprawiały, że patrząc na tę fotografię, trudno było sobie wyobrazić, jak naprawdę wyglądało jej życie. Bo babcia była prostą, skromną i bardzo pracowitą kobietą, od świtu do zmierzchu pracującą na gospodarstwie i wychowującą dzieci. Nigdy nie pracowała zawodowo, ale kochała ziemię. Nawet gdy była już stara i bardzo chora, wychodziła w pole nacieszyć oczy wzrastającymi plonami. Rodzice zajmowali się już rolnictwem z obowiązku, my z bratem – wyłącznie pod przymusem.

Dziadek zmarł, gdy miałam pięć lat, babunia dostała po nim niewielką rentę, którą najczęściej rozdawała wnukom. Jej potrzeby były tak skromne, że byłaby się w stanie całkiem bez niej obejść. Na swoje drobne wydatki zarabiała sprzedając jajek, a latem porzeczek i truskawek. Właściwie wydawała tylko tyle, co na bilety autobusowe, gdy jechała do kościoła, plus dwa złociszki na ofiarę. Kochałam moją babcię bardzo, byłam z nią zdecydowanie bliżej niż z mamą. Mogłam z nią o wszystkim pogadać, ze wszystkiego się zwierzyć. Tłumaczyła mi cierpliwie zawilóści tego świata, gęsto podpierając się przykładami z Pisma Świętego i religijnymi przypowieściami.

Wiele opowiadała też o sobie, o swojej młodości, o czasach wojny, a nawet o swoich pierwszych miłościach. Dziadek był od niej sporo starszy, wyszła za niego, bo „tak było trzeba”. Uchodził w okolicy za bogacza, miał solidny dom, dużo ziemi, pełnił w miasteczku funkcję radnego. Zajęty swoimi sprawami, długo pozostawał w kawalerskim stanie i krewni od czasu do czasu raili mu jakąś kandydatkę na żonę. Jego wybór padł na babcię, dziewiętnastoletnią wówczas panienkę, zdrową, silną i – co pewnie było sprawą drugorzędną – całkiem ładną. Babcia miała wiele sióstr i braci, w domu się nie przelewało, więc to zamążpójście potraktowała jak swój obowiązek. Zanim skończyła dwadzieścia pięć lat, urodziła pięcioro dzieci, ale dwoje z nich zmarło. Został Lucjan, mama i Roger – wówczas jeszcze Rajmund, zwany Mundziem. Kochała wszystkie swoje dzieci jednakowo i wszystkim życzyła równie dobrze. Sprawa z Rogerem miała się jednak w ten sposób, że chłopiec od najmłodszych lat był delikatny i chorowity. Babcia zawsze

się nad nim trzęsła w obawie, by nie podzielił losu dwójki rodzeństwa, które powiększyło grono aniołków. Najmłodszy syn, oprócz swej wrodzonej delikatności, obrastał więc w nabytą, jak mawiała moja mama, nienaturalną w rodzinie „paniczykowatość”. Dziadek nie był skłonny do chowania synka pod kloszem, dla niego chłop to miał być chłop – jednak serce matki często działa w sprzeczności z racjonalizmem życiowym ojca.

– I właściwie nie było wyjścia, Sandrusiu – opowiadała mi babunia podczas jednego ze wspólnych spacerów po lesie. – Trzeba było wysłać go do szkół.

– Bo co? – spytałam, nie bardzo widząc logikę w jej stwierdzeniu.

– No bo... mój Anatol ciągle na niego powarkiwał, wiecznie miał mu coś za złe: a to że kosy nie potrafi trzymać, jak należy, a to że worka ze zbożem zgrabnie na plecy zarzucić nie umie czy że jak przyjdzie mu gnój spod krów wyrzucić, zawsze się w końcu porzyga. Całkiem nie miał dla jego chorowitości zrozumienia. Powtarzałam mu więc od najmłodszych lat: ty się, synek, ucz, to jedyna twoja droga. Gospodarzem nie zostaniesz, trudno, ale gdybyś był na przykład inżynierem, całkiem zmarnowany nie będziesz.

Chodził więc Roger „do szkół”, co dziadkowi również za bardzo nie było w smak, bo nagle zaczął się wymądrzać nad resztą rodziny. A kiedy zdał już maturę, dziadek zaczął go swatać z niejaką Aurelią, córką leśniczego – uznał pewnie, że im prędzej jego „wybrakowany” potomek się ożeni, tym prędzej zejdzie mu z gospodarskich oczu. Roger był wyjątkowo pięknym młodzieńcem, dziewczucha więc nie oponowała. Przychodziła do dziadków, jak najczęściej się dało, głównie pod pretekstem pomocy w różnych pracach polowych. Którychś wakacji jednak, gdy pomagała zrzucać siano do stodoły, spadła z fury na stojące na sztorc widły, które przebiły ją na wylot. Chorowity Roger tak ten widok przeżył, że zaniemógł na kilka dni. Trząsł się i gorączkował. Nawet dziadka ruszyło sumienie. Babcia, wykorzystując sytuację, nakłoniła małżonka do sprzedaży kawałka ziemi i wysłania syna na studia.

– Tłumaczyłam mu jak komu głupiemu – opowiadała mi babcia – że choćby nie wiem co, gospodarza z tego dziecka nie zrobi. A żeniaczka z leśniczanką też mu pisana nie była, co mu Pan Bóg miłosierny właśnie naocznie udowodnił.

Dziadek, chłop pobożny, a co za tym idzie, mocno przesądny, przychylił się w końcu do pomysłu babci i choć pewnie później żałował, honorowo słowa dotrzymał. Zanim jednak Roger inżynierem został, dziadek zmarł. Wtedy babcia już całkiem jawnie wyposażała syna przed każdym egzaminem w martwe, obrane ze skóry króliki, udźce cielece bądź wieprzowe szynki – w zależności od sezonu.

– I jego profesorowie tak to wszystko bez zmużenia oka brali? – dopytywałam zdziwiona.

– A co ty myślisz, dziecko – obruszała się babcia. – Żołądek posiada każdy, im większy profesor, tym większy żołądek! Za komuny w sklepach takich

rarytasów nie było, a jak były, to tylko spod lady.

– Nie mógł się Roger po prostu porządnie uczyć?

Babcia spojrzała na mnie zgorszona.

– A czego? Myślisz, że na tych studiach mógł się mądrości jakiejś nabawić?

– No co ty, babciu, opowiadasz! – Tym razem ja się zgorszyłam. – Wszyscy ci... lekarze, architekci, prawnicy właśnie na studiach zdobywali swoją wiedzę.

– Ja nie mówię o innych. Mówię o Rogerze – sprostowała krótko. – Umyśliłam sobie, że zrobię z niego inżyniera, i zrobiłam. Każde z moich dzieci jest dziś tym, do czego się nadawało. Tak jest dobrze i po sprawiedliwości.

– Czy to znaczy... że ty dziś Rogera kochasz bardziej niż mamę i Lucjana?

Babcia mocno się zdenerwowała tym pytaniem.

– Matka zawsze kocha swoje dzieci po równo! – fuknęła. – Zapamiętaj to sobie! Dlatego zawsze robi tak, by wszystkie w życiu miały się jednakowo dobrze. Czasem jednak któreś potrzebuje większej podpory, żeby nie zostać w tyle, i głowa matki w tym, by je także wykierowała na ludzi.

To było w maju – pamiętam jak dziś – wybrałyśmy się z babcią do lasu, bo chciała mi pokazać, jak wyglądają smardze; dziwne, ale bardzo smaczne grzyby rosnące na piaszczystej glebie między młodymi sosnami o tej właśnie porze roku. Jako dziecko bardzo lubiłam chodzić na grzyby i do dziś lubię – ale tego jednego nie znałam. Niebezpieczeństwo ich zbierania polegało na tym, że miały swój trujący odpowiednik – piestrzenicę. I rozróżniania tych grzybów właśnie postanowiła mnie wtedy nauczyć babcia.

Babunia zmarła na dwa lata przed moją maturą, również w maju. Do dziś na wspomnienie jej śmierci otwiera się w moim sercu wielka krwawiąca rana. Pogoda była równie piękna jak w czasie wspomnianego wyżej spaceru, a wyprawy na smardze stały się już dla nas zwyczajem. Babcia próbowała mnie namówić na wycieczkę do lasu, ale ja, mając coś pilnego do nauki, zbyłam ją, odpowiadając, że owszem, chętnie, ale jutro. Babunia nie doczekała jutra, w nocy zmarła, zostawiając po sobie pustkę i wyrzuty sumienia...

* * *

Wracając coraz częściej myślami do przeszłości, a konkretnie do wszystkiego, co dotyczyło Rogera, przypominałam sobie takie i im podobne rozmowy. Nagle z odkopanych w pamięci wspomnień wyłonił się obraz wujka jako osobnika mniej od swojego rodzeństwa życiowo przystosowanego i wymagającego ze strony rodziców większej uwagi. Fakt, mój chrzestny zawsze sprawiał wrażenie „delikatnego”. A skoro jako dzieciak był rzeczywiście wątki i chorowity, pewnie to, jaki był dziś, zawdzięczał bardziej okolicznościom niż świadomemu działaniu. Od najwcześniejszych chwil wyręczany we wszystkim i kierowany przez babcię, potem sterowany czy wręcz manipulowany przez Edytę, mógł nie zdawać sobie

sprawy, jakim stał się irytującym facetem.

Tak to sobie tłumaczyłam i coraz bardziej mi się to tłumaczenie podobało. Bo w mojej rodzinie z dziada pradziada każdy jej członek był kimś ważnym i gdy któremuś z nich działa się krzywda, wszyscy mobilizowali się do pomocy. Czy był lubiany, czy nienawidzony, czy jego problem był obiektywny, czy w pełni przez niego zawiniony – nie miało najmniejszego znaczenia. Krewny to krew – a o krew rodową należało walczyć nawet z narażeniem życia. Dlatego skoro już czułam się zobowiązana do pomocy chrzestnemu, wołałam go raczej lubić, niż nie lubić. Za to coraz bardziej chłodne robiły się moje uczucia w stosunku do ciotki. Nawet jeśli sprawę naszyjnika z pereł mogłabym uznać za wytwór własnej wyobraźni napędzanej przez pechowy zbieg okoliczności, kwestia kradzieży sztućców w knajpie moim wymysłem z pewnością nie była...

Babcia tej synowej wyjątkowo nie lubiła. Zarówno żona jej najstarszego syna Lucka, jak i mój tata byli w pełni przez nią akceptowani. Nie powiedziałabym jednak, że była dla Edyty złą teściową. Nie toczyła z nią bojów, ale jak trzeba było, zabierała głos. Głównie w sprawach relacji między rodzeństwem, bowiem do życia małżeńskiego swoich dzieci nigdy się nie wtrącała. Może chodziło o to, że Edyta była taka... „inna”? Roger też był inny, ale myślę, że z „innością” własnego syna łatwiej było jej się pogodzić niż z całkiem podobnymi cechami synowej. I, jak sądzę, mogło być również tak, że wszystko, co wkurzało babcię w Rogerze, w dwójnasób przenosiła na Edytę. Taka psychologia. Pojęcia nie mam natomiast, jakie uczucia do teściowej żywiła Edyta, z natury małomówna i powściągliwa, nigdy nie dawała w sposób widoczny ujścia swoim emocjom. Zawsze grzeczna w zachowaniu i stonowana w wypowiedziach, taka... jak to mawiała babcia, „z cicha pęk”. Z pewnością wygodna była to postawa, bo gdy dochodziło w rodzinie do jakichś kontrowersji, to Roger wypowiadał się w imieniu ich obojga, ona nigdy. Czasem, gdy małżonek zmusił ją do opowiedzenia się po czyjejs stronie, monosylabami przyznawała mu rację.

Ciotka, niegdyś bardzo piękna, świetnie ubrana, uczesana i starannie umalowana, musiała irytować, szczególnie kobiety w mojej rodzinie. Zawsze miała na sobie jakiś najnowszy „krzyk mody” (Mody Polskiej konkretnie), lubowała się w złotej biżuterii, miała dwa prawdziwe futra: „karakuły” i „lisy”. Nosiła buty, torebki i rękawiczki w tym samym kolorze. Widać, że bez skrupułów wydawała na siebie pieniądze męża, zwłaszcza że im bardziej stroiła się ona, tym biedniej nosił się Roger. Moja mama, choć całkiem niebrzydka, wyglądała przy niej bardzo pospolicie. Nawet gdy ubrała się elegancko na jakąś specjalną okazję, eleganckie były na niej wyłącznie ciuchy. Edyta natomiast nawet w podomce była elegancka. O elegancji Edyty mówiło się w moim domu z pogardą. Z niesmakiem komentowało się jej wytworne suknie i kostiumy, z obrzydzeniem wspominało o fryzurze i makijażu. W sumie do dziś nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego

moja mama i babcia traktowały dbałość o siebie jak zbrodnię. Z pewnością wynikało to z różnic w wyznawanych wartościach, dla mamy i babci najważniejsza była ziemia, dbanie o zwierzęta hodowlane, dzieci i męża. Dokładnie w tej kolejności.

Od biedy mogłam pojąć ich zgorszenie postawą cioci Jadzi czy Celiny, które własne uciechy życiowe przedkładały nad pracę na roli, ale Edyta, dbając o siebie, niczego przecież nie zaniedbywała. Była „panią z miasta” – choć konkretniej panią z c e n t r u m miasta, bo tylko ono w czasach mojego dzieciństwa miasto przypominało. Przypuszczam, że gdyby ciotka nawet pozbyła się tych swoich fatałaszków i nagle rzuciła się na uprawianie hektara, który dostali z Rogerem od babci, nie polepszyłaby swojej sytuacji. Budziła w rodzinie wyraźną niechęć, a to jest wysoce zaraźliwe uczucie. Czas mojej fascynacji Edytą pozostał więc w zamierzchłym dzieciństwie i minął bezpowrotnie.

Przez ładnych parę lat nie widywałam się z wujostwem wcale. Jak już wspomniałam, po śmierci babci, a potem mamy kontakty z nimi całkiem się urwały. Nie należę jednak do osób, które pielęgnują złe emocje i przechowują w pamięci urazy, dlatego gdy nagle ujrzałam oboje pod swoimi drzwiami, mieli u mnie, jeśli można tak powiedzieć, „carte blanche”. Ludzie starsi kojarzą się bowiem z pogodą ducha, jakimś wewnętrznym ciepłem i życzliwością dla świata – a oni na takich właśnie teraz wyglądali: ze zmarszczkami na twarzach, trochę nieporadni, z dostrzegalnym drżeniem niepewnych dłoni. Nawet Roger był już tylko, co nie da się ukryć, ociężałym i niezgrabnym starcem.

Niestety, w niedługim czasie pozwolił mi się przekonać, że duma i skłonność do przechwałek wcale nie minęły mu z wiekiem, choć teraz być może miały już na celu tylko podtrzymywanie w dobrej kondycji imponującej wielkości ego. Gdy dzieliłam się swoimi przemyśleniami na temat wujostwa z Alekssem, nasze zdania na ten temat często różniły się od siebie.

– Jednego nie potrafię pojąć w twoim sposobie myślenia – analizował. – Ja również nie jestem człowiekiem pamiętliwym ani zawziętym. I jeśli ktoś kiedyś załaził mi za skórę, nie szukam zemsty ani nie życzę mu źle, wystarczy, że będę omijał go szerokim łukiem. Ale kompletnie nie mam potrzeby rozumienia jego motywów działania czy tłumaczenia go przed samym sobą jak ty.

– Ja nikogo nie tłumaczę – zaprzeczyłam. – Ale jeśli zrozumiem, skąd w ludziach biorą się tendencje do pewnych czynów, pozwala mi to na nich inaczej spojrzeć. Nic się nie dzieje bez przyczyny, często jest tak, że źródła ludzkich zachowań leżą w ich dzieciństwie, wynikają z jakichś deficytów, lęków, dramatów...

– Oczywiście, że tak – przyznał Aleks. – Tylko po co się w to zagłębiać? Chcesz pomóc wujostwu? Pomagaj, jeśli masz taką potrzebę, a ja cię będę w tym wspierał. Ale na miłość boską, nie baw się w psychoterapeutkę, bo nią nie jesteś.

Nie ró b bałaganu ze swojego życia, wmiatając w nie cudze śmieci. Proszę cię, kochanie, znajdź jakieś granice między pomaganiem a poświęceniem...

Wiem, że Aleks miał rację, zarzucając mi nadgorliwość w tego typu działaniach. Niestety, taka już byłam i jeśli już się czegoś podjęłam, oddawałam się temu całym sercem. Nie wiedział jednak jeszcze, że sytuacja lada chwila ulegnie zmianie. Chciałam mu o tym powiedzieć, gdy rzecz już będzie całkiem pewna. Deklaracja wujostwa, że w ciągu kilku dni się od nas wyprowadzą, znacznie ociepliła ich wizerunek w moich oczach, a ich reakcja na finansowe wsparcie wyjazdu do Australii rozczuliła mnie prawie do łez. Byłam już nie tylko zadowolona, że znów zostaniemy z Alekssem sami w naszym mieszkaniu, ale i dumna ze swojego gestu. Ofiarowałam im dwie trzecie swoich oszczędności, zupełnie bez żalu. Świadomość, że dzięki mojej pomocy spędzą resztę lat życia w spokoju i ciepłym klimacie, wszystko mi rekompensowała. Czekałam zatem cierpliwie, aż poinformują mnie o zakupie biletów i konkretnej dacie wylotu, a wówczas miałam zamiar urządzić pożegnalną kolację niespodziankę. Zamierzałam nawet kupić na tę okazję butelkę ulubionej przez wujka brandy. Co mi tam!

ROZDZIAŁ XI

Seksowne czerwone szpilki

Lekka beżowa sukienka w czarno-czerwony motyw leżała na mnie całkiem nieźle. Miałam ją ostatni raz na sobie jakiś rok temu, z czego wniosek, że moja sylwetka przez ten czas nie uległa zmianie. Od czasu, gdy udało mi się zerwać z wizerunkiem „pulchnego bobaska”, starannie pilnowałam diety, wiedząc, że z trudem zgubione kilogramy odzyskać można bardzo łatwo. Zwieńczeniem mojej garderoby miały być tego wieczoru piękne czerwone szpilki, których jeszcze nie miałam okazji założyć. Nie było ich jednak w garderobie w mojej szafce z butami ani w szafce Aleksa.

– Nie pamiętacie, co ja zrobiłam z moimi czerwonymi czółenkami? – spytałam w końcu wujostwa, bo przecież i oni brali udział w zamieszaniu, które towarzyszyło wówczas mojemu powrotowi ze sklepu.

– Czółenkami? – spytał Roger i zmarszczył czoło, usiłując sobie coś na ten temat przypomnieć. – A! Edyta!

– Co? – Ciotka aż podskoczyła w fotelu.

– Bardzo mi przykro. – Roger zmarkotniał nagle. – Chyba... To raczej całkiem możliwe, że...

– Że? – ponagliłam.

– Że twoja ciotka wyrzuciła je do zsypu...

Teraz mi się przypomniało, że tamtego dnia przed wspólnym wyjściem do miasta Roger postanowił wynieść śmieci. Serce zabiło mi mocniej.

– Ale to ty wyrzucałeś śmieci, wujku – uściśliłam. – Nie zajrzałeś do pudełka?!

– Owszem, ja – skrzywił się Roger – ale to Edyta wsadziła pudełko do kosza... Coś ty najlepszego zrobiła, kobieto? – zwrócił się z wyrzutem do małżonki.

Ciotka jak zwykle w takich momentach nie odezwała się słowem. Spuściła głowę i zaczęła pochlipywać.

Kurczę, z nią chyba rzeczywiście jest coś nie tak... – pomyślałam. – Może faktycznie cierpi na demencję? Bo jeśli w istocie z moimi butami stało się to, co sugerował Roger, nie mogłam jej przecież winić... No chyba – i tę myśl starałam się odpierać ze wszystkich sił – że Edyta wszystko sprytnie ukartowała, żeby moje pantofle po prostu zwinąć i żeby wyszło, jak wyszło... Na ulotną myśl o przeszukaniu jej bagażu poczułam obrzydzenie... Tak czy inaczej, mogłam się tylko powkurzać w duchu, głównie na siebie, bo przecież mogłam odłożyć zakup

tam, gdzie jego miejsce. W innych okolicznościach pewnie bym się wkurzała znacznie dłużej i intensywniej, ale ponieważ okazją dzisiejszej kolacji miało być pożegnanie wujostwa, niewiele rzeczy było w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Jedynie chyba ich kolejna zmiana planu.

– Trudno – podsumowałam krótko i poszłam do garderoby po inne, również pasujące do sukienki szpilki.

Po dokonaniu ostatnich poprawek na stole, który zastawiłam własnoręcznie wykonanymi przekąskami, jakoś udało mi się przekonać ciotkę, by przestała płakać. Za chwilę miał wrócić z pracy Aleks, więc wszystko musiało wyglądać tip-top. Tak jak sobie wcześniej zaplanowałam, dzisiejsze małe „święto” miało być dla niego niespodzianką. I było.

– O rany, czyżbym o czymś zapomniał? – spytał Aleks zmieszany, taksując wzrokiem stół i naszą wystrojoną trójkę.

Pewnie szukał teraz gorączkowo w myślach dat imienin, urodzin i rocznic.

– Nie, kochanie. – Cmoknęłam go przeciągle w policzek. – Wujostwo ma życzenie się z nami uroczyście pożegnać, jutro przed południem mają samolot.

– Tak? – spytał Aleks i aż przysiadł z wrażenia. – To czemu... ja o tym nic nie wiem?

– Teraz już wiesz – oznajmił Roger. – Siadaj więc, młody człowieku, i świętuj razem z nami!

Tego mu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Błyskawicznie zrzucił marynarkę, umył ręce i ulokował się przy stole. Na szczęście nie okazywał radości zbyt jawnie, może z wyrachowania, a może z powodu szoku.

– Co będziecie porabiać w tej Australii? – spytał już całkiem rozluźniony.

– Mieszkać – odparł Roger. – Uprawiać ogródek, chodzić na spacer, do kina i teatru, miło spędzać czas, jednym słowem. Czeka tam na nas mały domeczek w ładnym, spokojnym miejscu.

– A w jakim konkretnie, jeśli można spytać? – zaciekawiał się Aleks.

– W niewielkim malowniczym miasteczku na zachodzie kraju. Nazwa z pewnością nic ci nie powie.

Odpowiedź zabrzmiała tak, jakby wujostwo miejsce swojego nowego pobytu chcieli zachować w sekrecie, Aleks więc nie dociekał, zresztą może nawet wolał go nie poznać.

– Fajnie – rozmarzył się za to. – Może i my doczekamy takich sielskich emerytur, nie sądzisz, kochanie? Mały domek z ogródkiem, cisza, spokój, zieleń...

– Na pewno nie w Australii – odparłam, bo on doskonale znał siłę mojego lokalnego patriotyzmu.

– Pewnie, że nie – sprecyzował szybko swoją wypowiedź. – Dla mnie miejsce nie jest takie ważne, aby z tobą!

– Tak, tak, koniecznie trzeba mieć przy sobie kogoś na starość – potwierdził

wujek. – Żeby choć szklanekę przysłowiowej herbaty podał.

– Mniejsza o herbatę... – zaczął Aleks, ale Roger wszedł mu w słowo.

– Właśnie, mniejsza o herbatę. Napełnij więc kieliszki, młody człowieku.

Wujek, o dziwo, tym razem nie nakłaniał do picia zbyt usilnie. Uznał, że rano musi być w formie, i nieco po dwudziestej pierwszej zakręcił butelkę, po czym razem z nią oraz ciotką udał się na spoczynek. Na naszą propozycję odwiedzania na lotnisko nie przystał i oznajmił, że zamówił już taksówkę.

– Wystarczająco już sobie zawracaliście nami głowy – wyjaśnił wielkodusznie.

– Jak to zrobiłaś? – spytał Aleks, gdy zostaliśmy -sami.

– Nijak – odparłam wymijająco. – Kupili w końcu bilety i po balu. Pożegnanie natomiast miało nastąpić z zaskoczenia.

– Z zaskoczenia mnie, jak się domyślam, bo jestem dziwnie przekonany, że ty wiedziałaś o wszystkim wcześniej?

– A co, nie lubisz niespodzianek? – odpowiedziałam pytaniem i objęłam go za szyję.

– Lubię, bardzo lubię – wymruczał mi wprost do ucha. – Dlatego nawet nie pytam, na czyj koszt odbyła się pożegnalna biesiada...

– A ja ci jednak odpowiem – odparłam również szeptem.

– No?

– Nie na twój.

– Och, tego jednego byłem pewien – zaśmiał się Aleks. – No więc? Sprzątamy i do łóżka?

– Ty też chcesz iść wcześniej spać?

– Czy ja coś wspomniałam o spaniu? – Aleks ugryzł mnie delikatnie w ucho i rażno zabrał się do zbierania naczyń ze stołu.

* * *

To jednak nie był sen. Rano wujostwo dość szybko jak na nich się wystroili, walizki mieli już spakowane. Aleks pomógł im znieść bagaże do taksówki, ja pożegnałam się z nimi w mieszkaniu, ponieważ wcześniej wychodziłam do pracy. Zapowiadał się piękny wiosenny dzień, założyłam więc i dziś na siebie sukienkę, tyle że bardziej oficjalną. Widocznie mój radosny nastrój jakoś szczególnie rzucił się w oczy, bo Olaf, lubiący na dzień dobry komentować wygląd i spodziewaną kondycję podwładnych, uśmiechnął się szeroko i spytał:

– A cóż to widzą moje przełożone oczy? Czyżby koleżance Sandy wreszcie poprawił się nastrój? Bo ostatnio jakiś taki koleżanka... ponury stanowiła widok.

– Owszem, poprawił się. I nie mów do mnie Sandy, bo nie poprawił się na tyle, by mnie to miało zacząć bawić.

– Cóż ja poradzę, że mam wyjątkowy sentyment do tego zdrobnienia?

Bujałem się kiedyś w aktorce o imieniu Sandy...

– No właśnie, w aktorce – odparłam rzeczowo. – Ale ja, na szczęście, nie mam z tym nic wspólnego.

– O nie... Czyżbyś chciała powiedzieć, że gdybym zabujał się w tobie, byłoby ci nie w smak? – dramatyzował komicznie Olaf.

– Wiesz co? Bujaj się – odparłam dwuznacznie, jemu dając wybór interpretacji mojej odpowiedzi.

– Ha, ha, ha! – zarechotał, doceniwszy moją grę słów. – Wreszcie wróciła stara dobra San... hm... dra.

– No! – Pogroziłam mu palcem. – A teraz oczekuję poleceń służbowych.

Olaf zapoznał mnie z moimi dzisiejszymi obowiązkami, ale nie byłby sobą, gdyby w końcu nie zapytał o przyczynę mojego dobrego humoru.

– Kiedyś ci o tym opowiem. Ale nie dziś, muszę się trochę zdystansować do pewnych wydarzeń – odpowiedziałam, wiedząc, że będzie go skręcało z ciekawości.

Nie było to moim celem i choć nie uznawałam historii z wujostwem za tajemnicę, nie chciało mi się o niej gadać z obcymi. Naprawdę musiałam odrobinę ochłonać, zanim będę mogła o tym porozmawiać.

Niezależnie od słownych utarczek lubiłam mojego szefa. Kilka lat młodszy ode mnie, miły, uczynny, empatyczny, wyrozumiały – nawet jego głupawe poczucie humoru nie było w stanie umniejszyć mojej sympatii do niego. Olaf był gejem, stąd być może jego większa wrażliwość na świat i ludzi. Wszyscy o tym wiedzieli, on wiedział, że wszyscy wiedzą, jednak od czasu do czasu wspominał o swojej rzekomej fascynacji tą czy inną kobietą. Może lepiej się wówczas czuł? Bo z pewnością wiedział doskonale, że nikogo na podobne teksty nie nabierze, tym bardziej że jego chłopak Krzys od czasu do czasu wpadał do niego w porze lunchu. No cóż, skoro jednak czuł się z tym lichym kamuflażem lepiej, nikt nigdy nie dawał mu do zrozumienia, żeby dał sobie z nim spokój. Bo Olafa lubili wszyscy, od pracowników biurowych po sprzątaczkę.

– A... jak długo zamierzasz się dystansować? – spytał, bo moja wymijająca odpowiedź musiała w jego mniemaniu nadać całej sprawie nadzwyczajnego smaczku.

– Tego niestety nie wie nikt, nawet najstarsi górale – odparłam trochę w jego tonie. – Jednakże jak tylko owo zdystansowanie nastąpi, natychmiast cię powiadomię.

Olaf chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale na horyzoncie pojawiła się Magda z sekretariatu. Miała do niego jakąś sprawę, więc natychmiast ustąpiłam jej pola.

Po skończeniu pracy wracałam do domu nieśpiesznie, delektując się pierwszą młodą zielenią i coraz śmieiej przygrzewającym słońkiem. Kupiłam po

drodze obwarzanka i przysiadłam na ławce w parku, dzieląc się nim z pracowicie uwijającymi się ptakami. Dziś nigdzie mi się nie śpieszyło, nie martwiłam się o mieszkanie, nie było potrzeby kupienia świeżego pieczywa ani ulubionej przez Rogera śmietanki do kawy. Wczoraj wieczorem snuliśmy z Alekssem plany na dzisiejszy wieczór. Jedną z koncepcji było wyjście na kolację do restauracji, w końcu jednak uznaliśmy, że przyjemniej będzie podelektować się samotnością we własnym mieszkaniu. Jedzenia na tę okoliczność zostało wystarczająco z wczorajszej biesiady... Kiedy tak sobie siedziałam i dumałam, zobaczyłam idących parkową alejką Olafa i Krzysia. W pierwszej chwili wydawało mi się, że trzymają się za ręce, ale na mój widok natychmiast zwiększyli odległość między sobą i już w końcu nie byłam pewna, czy mi się nie przywidziało.

– D y s t a n s u j e s z się tutaj, jak rozumiem? – spytał Olaf, pochylając się nade mną.

– Oj, kurczę, całkiem o tym zapomniałam i tak sobie po prostu zwyczajnie rozmyślałam – odpowiedziałam ze śmiechem, żeby się z nim odrobinę podroczyć.

– Do czego się dystansujesz? – spytał Krzyś.

– Właśnie mówię, że do niczego.

– Ale o co chodzi? – teraz spytał Olafa.

– Sand...rra ma mi do opowiedzenia pewną tajemniczą historię. Jednakże musi się do tego odpowiednio przygotować – wyjaśnił mu mój szef.

Krzyś natychmiast klapnął obok mnie na ławce.

– Uwielbiam tajemnicze historie! Mam nadzieję, że mi też opowiesz?

– Olaf ci opowie, jak ja opowiem jemu – odparłam, wstałam z ławki i ruszyłam przed siebie, pomachawszy im ręką na pożegnanie.

* * *

Wieczór w mieszkaniu sam na sam z mężem był naprawdę upojny. Kolację zjedliśmy w salonie przed telewizorem, mogąc oglądać, co tylko nam się podobało, nikt nie grymasił i nie komentował. Wujek Roger miał bowiem taki zwyczaj, że dzielił się na bieżąco uwagami na temat oglądanego programu, skutkiem czego szybko traciło się orientację, co dzieje się na ekranie. Dlatego raczej nie kwapiliśmy się do oglądania telewizji i to on przejął w końcu władzę nad pilotem.

– Jak ci minął dzień? – spytał Aleks.

– Dziwnie... Ale miło – odpowiedziałam.

– To tak jak mnie. Widzisz, ile wysiłku kosztuje człowieka bycie dobrym Samarytaninem?

– Owszem, ale nawet nie próbuj mnie przekonywać, żebym tego żałowała – zastrzegłam.

– Nie zamierzam – roześmiał się Aleks. – Dzięki temu jeszcze bardziej sobie cenię nasze wspólne chwile we dwoje.

Spojrzałam mu z powagą w oczy.

– Tylko dlatego?

– I... mimo tych wszystkich niedogodności jestem z ciebie dumny – dodał, patrząc na mnie ciepło.

– No, mam nadzieję! – roześmiałam się. – Ale wiesz co? Mam sporą satysfakcję, gdy pomyślę, że staruszkowie, gdy osiądą już w tej swojej wymarzonej Australii, będą kojarzyli swoje ostatnie chwile w kraju z czasem spędzonym wśród bliskich, życzliwych ludzi. Może ich córka nawet nie wie, że tam polecieli? Nie zauważyłam, żeby kontaktowali się z sobą podczas pobytu u nas...

– Ja też nie – potwierdził Aleks. – I nie sędzę, żeby chodziło tylko o to, że mieszka tak daleko. Są przecież telefony, a poza tym... gdyby moi rodzice wyjeżdżali z kraju na stałe, byłbym na lotnisku, choćby nie wiem co!

– Fakt – przyznałam z namysłem. – Nie wygląda to zbyt dobrze, ale cóż, nie nasza to sprawa.

– Właśnie...

– Szczerze mówiąc, myślałem, że włożysz na dzisiejszy wieczór swoje magiczne trzewiczki – zmienił nagle temat.

– Jakie... trzewiczki? – W pierwszej chwili go nie zrozumiałam.

– No wiesz, te czerwone szpileczki. Nie wiem, czy jesteś świadoma, jak taki gadżet na facetów działa? – Ujął moją dłoń i przyłgął do niej ustami.

– A wiesz, że ja całkiem zapomniałam, że je mam? – skłamałam. – Ale nie każ mi ich teraz szukać, proszę, założę je przy innej okazji.

Nie chciałam psuć nastroju chwili i opowiadać, w jaki sposób moje „magiczne buciki” wyjechały na wysypisko śmieci. Miałam tylko nadzieję, że ktoś je tam znalazł i że całkiem się nie zmarnowały. I że być może jakaś bezdomna kiedyś wystroi się w nie dla swojego bezdomnego? Jednocześnie powzięłam plan, że jak najszybciej kupię kolejną parę. W sklepie, gdzie je znalazłam, te były ostatnie, ale od czego jest Internet? Byłam przekonana, że tam na pewno uda mi się znaleźć identyczne.

ROZDZIAŁ XII

Jeszcze więcej tajemnic

Kilka dni później mąż zadzwonił do mnie i poinformował, że przyszła jakaś paczka na moje nazwisko. Tyle co przyszłam do pracy, gdybym wyszła z domu ciut później, mogłabym odebrać ją osobiście...

– A, to pewnie kosmetyki, zamówiłam parę rzeczy z katalogu. Połóż ją, proszę, w moim pokoju na biurku.

Miałam nadzieję, że Aleks jej nie otworzy. Nigdy nie otwierał mojej poczty, ale na złodzieju, jak to się mówi, czapka gore. Mataczenie w sprawie czólenek zaszło już zresztą za daleko, by teraz decydować się na jakiegokolwiek wyjaśnienia, wolałam zatem rozwiązać tę sprawę w sposób, w jaki się jej podjęłam. Jeśli mój plan się uda – uśmiechnęłam się sama do siebie – będą to już ostatnie drzwi do zamknięcia za wujkiem i ciotką...

Po powrocie do domu, korzystając z nieobecności męża, natychmiast rzuciłam się na moją paczkę. Czólenka były identyczne jak tamte. Zamierzałam pochodzić w nich trochę po mieszkaniu, by sprawdzić, czy będą wygodne. Akurat zdążyłam włożyć jedno, gdy u drzwi rozległ się dzwonek, więc kicając niezgrabnie, pobiegłam je otworzyć. To był... listonosz z drugą paczką, również adresowaną do mnie! Rozpakowałam ją pośpiesznie na stole w kuchni. W paczce były jeszcze jedne czerwone czólenka i dość gruba szara koperta.

– Co jest, u licha? – zdziwiłam się. – Czyżby sklep postanowił dać mi jakiś bonus?

Zajrzałam do koperty i o mało nie zemdlałam... Wewnątrz był naszyjnik z pereł z kolczykami, dwie pary obrączek, dwa złote pierścionki mamy i sto siedemdziesiąt złotych! I żadnego listu czy karteczki. Szok odebrał mi zdolność myślenia i działania. Niestety, gdy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, nie było już czasu, by uciec do siebie razem z całym tym majdanem.

Aleks wszedł i ogarnął wzrokiem całokształt.

– Ojej... masz trzy?

– Co... trzy?

– Buty.

W istocie, para czerwonych szpilek na stole, plus jedna na mojej nodze dawało w sumie trzy.

– Tak – odparłam bezmyślnie.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie i właśnie dlatego musimy porozmawiać, w końcu co dwie głowy

to nie jedna.

– Fakt. I co trzy buty to nie dwa – spróbował żartować.

– Jadłeś coś?

– Jadłem w pracy, a ty?

– Nie jestem głodna. Siadaj, zrobię kawę.

Przy kawie, w miarę możliwości spokojnie, opowiedziałam mu to, co zamierzałam przed nim zataić. Nie miałam wyjścia. Pokazałam mu obie kompletne pary obuwia i szarą kopertę z zawartością. Aleks milczał. Milczał tak długo i uporczywie, że stało się to dla mnie w końcu nie do zniesienia.

– No? Powiedz coś może? – zażądałam zniecierpliwiona.

– Myślę, że... lepiej zostawmy to po prostu tak, jak jest – zaproponował mój mąż. – Spójrz na to w ten sposób: nic nie zginęło, przeciwnie, masz nawet pewien... nadmiar. Biżuteria, która przez tyle czasu nie dawała ci spokoju, jest wreszcie we właściwych rękach. Zatem nie ma potrzeby niczego analizować, okej?

– Bezsprzecznie masz rację. Ale to by oznaczało, że jednak ciotka buchnęła te wszystkie rzeczy, ruszyło ją sumienie i po drodze na lotnisko mi je odesłała. A te pieniądze? Rekompensata za straty moralne?

– Skoro już mi przyznałeś rację, ba, doszłaś nawet do konkretnych wniosków, poprzestań na tym, proszę. I – nie-wra-ca-my-do-te-go! – przesyłabizował dobitnie.

– Nie wracamy – przyznałam niechętnie, bo tak naprawdę ani przez chwilę nie przestawałam o tym myśleć.

Do wieczora snułam się po domu w roztargnieniu, nie wiedząc, co mam z sobą zrobić. Nie zauważyłam nawet, że Aleks przez cały czas uważnie mnie obserwuje. Od czasu do czasu podchodziłam do szkatułki, która już nie była pusta, i oglądałam znajdującą się w niej biżuterię.

– Zrobię omlety na kolację, bo nic innego nie ma – odezwał się w końcu Aleks.

– No tak, miałam coś kupić, ale śpieszyło mi się do domu i zapomniałam – wyznałam ze skruchą.

– Nic nie szkodzi, kochanie. – Aleks przytulił mnie do siebie. – To oznacza, że wszystko wróciło do normy. No, chyba że wolisz zamówić pizzę?

– Wszystko mi jedno...

– Sandra! – Aleks potrząsnął mną energicznie. – Obiecałaś!

– I co z tego, kiedy po prostu nie potrafię?! – wyrzuciłam z siebie jednym tchem. – Ale oczywiście mogę udawać, że nic się nie stało, jeśli cię to satysfakcjonuje!

– Okej, rozumiem – szepnęła łagodnie. – Myślę nawet, że wiem, co czujesz.

– Nie wiesz!

– Wiem. Jest ci przykro, smutno, czujesz się zawiedziona. Ale skoro twoja

ciotka postanowiła naprawić swój czyn, plus dla niej. To znaczy, że twoja wspaniałomyślna postawa właśnie wydała owoce. A to z kolei znaczy, że cokolwiek stało się dawniej, w przeszłości, dziś już tylko do przeszłości należy i tam to należy zostawić.

Może rzeczywiście moja wielkoduszność, jak zauważył Aleks, była powodem takiego gestu ciotki? Nie spojrzałam na to w ten sposób, a może właśnie powinnam?

– Mój kochany... mój ty mądry. – Wtuliłam się w niego całą sobą. – Chyba takich właśnie słów mi brakowało. A zatem co było, minęło i... niech im się szczęści. Prawda?

Aleks spojrzał na mnie z jakimś dziwnym błyskiem w oczach.

– Prawda? – powtórzyłam.

– Tak. Niech im się życie układa lepiej niż do tej pory.

Jego odpowiedź mnie niestety nie zadowoliła, było w niej coś niejasnego.

– Aleks! O co chodzi? – spytałam.

– O nic, kochanie – odparł krótko, co jeszcze bardziej dało mi do myślenia.

* * *

Niestety, za dobrze znałam mojego męża, by tę niepewność w oczach i wahanie w głosie uznać za rzecz całkiem normalną. Gdyby nie ten maleńki detal, z pewnością udałoby mu się mnie przekonać, że owa niezwykła przesyłka jest dla mnie raczej powodem do zadowolenia niż niepokoju. Wieczór zakończył się zatem tak, że już kompletnie odechciało mi się gadać z nim na ten temat, a także na jakikolwiek inny. Milczeliśmy więc oboje do czasu, gdy każdemu z nas w końcu udało się zasnąć. Rano wcale nie było lepiej. Nie były to rzecz jasna żadne „ciche dni”, bo to nie leżało w naszym zwyczaju, po prostu oboje przez chwilę utkwiliśmy w swoich wewnętrznych światach. Tak więc poza zdawkowym „pa” przed wyjściem do pracy żadne więcej słowo nie padło. W ciągu dnia, co również niezwykajne, ani razu nie zadzwoniliśmy do siebie. Mój małżonek najwyraźniej taił coś przede mną i to bardzo mi się nie podobało. Czekałam więc, aż się przełamie i najnormalniej powie mi, o co chodzi, a tymczasem nie widziałam potrzeby prowadzenia z nim sztucznych pogawędek o niczym.

W drodze do domu zrobiłam wreszcie zakupy z zamiarem przygotowania kolacji i przy tej okazji postawienia Aleksa w krzyżowym ogniu pytań. Dość miałam już tego dwuznacznego milczenia... W domu okazało się jednak, że Aleks mnie ubiegł. Wrócił wcześniej i to on nakrył do stołu, a teraz czekał na mnie.

– Jest jakaś okazja? – spytałam, spoglądając wymownie na butelkę czerwonego wina, które w tym domu piłam tylko ja.

– Tak. Wyrażenie gestem moich uczuć do żony. – Uśmiechnął się tym swoim cudownym uśmiechem. – Siadaj, proszę...

Udałam się do łazienki, by umyć ręce i, jak przystało do okazji, podrasować makijaż. Gdy wróciłam, Aleks uniósł pokrywę półmiska i moim oczom ukazał się... pięknie upieczony i udekorowany filet z Rogerowego łososa. To mi wyglądało na dość finezyjny wstęp do jakiejś poważnej rozmowy.

– Pozwolę sobie ubiec twoje pytanie i odpowiem: tak, to moje dzieło – oznajmił dumnie.

– A ja pozwolę sobie ubiec twoje zapewnienia i podam twoje słowa w wątpliwość: nie wierzę – roześmiałam się, bo mój mąż w roli, w jakiej nigdy dotąd go nie widziałam, wyglądał bardzo zabawnie.

– Trudno – westchnął Aleks. – Mam zatem nadzieję, że okaże się niesmaczny. Może to cię przekona o mojej prawdomówności.

Łosoś był pyszny. Aleks patrzył, jak jem, i w napięciu obserwował moją reakcję.

– Chyba muszę cię zmartwić, bo ryba jest wyśmienita – wyraziłam swoją ocenę, drocząc się z nim troszkę.

– Szkoda, że zdążyłem pozmywać i tak głupio pozbyć się dowodów rzeczowych – jęknął.

– No przecież wierzę ci, kochanie. – Położyłam dłoń na jego dłoni, bo wyglądał na naprawdę zmartwionego. – I doceniam. I... dziękuję. Tylko może wrócimy jeszcze raz do okazji?

Aleks popatrzył mi z powagą w oczy i milczał przez chwilę.

– Miałem pewien dylemat... ostatnio – podjął niepewnie. – Bo jak cię znam, nie przejdiesz do porządku dziennego nad tym, co powiem, ale trudno, wygląda na to, że nie mam wyjścia.

– Nie masz – weszłam mu w słowo. – A zatem słucham.

– Powiem najkrócej, jak się da: ja wiedziałem, że naszyjnik, który ciotka miała na sobie tamtego feralnego wieczoru, należał do twojej mamy. Stałem obok niej, gdy go odpinała, i dostrzegłem sygnaturę na zapięciu. To nie była podróbka. Druga sprawa: sto siedemdziesiąt złotych, które było w kopercie, to dokładnie kwota, która zniknęła z portmonetki mojej mamy w czasie, gdy u nas byli.

– Czemu... mi o tym nie powiedziałaś... – tylko tyle byłam w stanie z siebie wydusić.

– W ogóle nie powinienem był ci o tym mówić. Ani dziś, ani kiedykolwiek – odparł ze smutkiem. – Ale ty niestety nigdy nie pozwolisz, by cokolwiek zostało ci oszczędzone, i albo zbawiasz świat, jeśli twoim zdaniem jest taka możliwość, albo rozpaczasz nad tym, że nic nie możesz zrobić. A ja bardzo, bardzo cię kocham i naprawdę czasem nie mogę patrzeć, jak rzucasz się do kolejnej walki z wiatrakami. I... niestety obawiam się, że jako jedyny człowiek na świecie jestem w stanie twoją postawę zrozumieć, więc nie mam wyjścia i muszę cię po prostu wspierać, cokolwiek wymyślisz.

Aleks jak zwykle miał rację, a ponieważ doskonale o tym wiedziałam, nie mogłam niczemu zaprzeczyć. Tak, zdawałam sobie sprawę, że w swoich heroicznym porywach stawałam się uciążliwa, i choć w przeblaskach realizmu byłam świadoma bezcelowości swoich działań, nie potrafiłam inaczej. Nie potrafiłam i już. Pozostawało mi jedynie Bogu dziękować za to, że mam takiego męża, i przeklinać swoich przodków, że mam takie paskudne geny.

– Hej, nie płacz. – Aleks chwycił mnie mocno za rękę.

– Nie płaczę – powiedziałam i uniosłam głowę, by mógł zobaczyć, że mówię prawdę.

Miałam ochotę płakać, bardzo wielką ochotę, ale nie chciałam, żeby mój mąż był świadkiem tych łez. Przypomniały mi się zaraz zabawki, które podarowała mi Aneta, a ciotka nie pozwoliła ich zabrać. Czułam się podobnie: oszukana, skrzywdzona i ośmieszona. Dziś najgorsze ze wszystkiego było to, że na koniec sama zostałam oszustką, dofinansowując wujostwo bez wiedzy Aleksa.

– Kocham cię – szepnęłam, ściskając mocno jego dłoń.

– Sandra... – Aleks spojrzał na mnie z wahaniem.

– No?

– Ja... nie jestem pewien, czy oni rzeczywiście do tej Australii polecieci...

– Co?! – spytałam całkiem już zdruzgotana. – O czym ty do mnie mówisz?

– Ta paczka... od ciotki została nadana przedwczoraj w Bydgoszczy. Nie obejrzałaś dokładnie papieru, w który była zapakowana, a ja tak.

– Nie rozumiem...

– Oni mieli lecieć tydzień temu, lot mieli przed południem, tak?

– Tak.

– Skąd zatem wzięli się przedwczoraj w Bydgoszczy? Mają tam kogoś?

– Nie sądzę. Ale może ciotka poprosiła kogoś o nadanie paczki? Nie wiem, kogoś na lotnisku na przykład?

– I mnie to przyszło do głowy. Tylko że tamtego dnia o podanej przez nich porze nie było żadnego połączenia do Australii, sprawdziłem to.

– Ale to niemożliwe! Nieprawdopodobne i kupy się nie trzyma...

– Pewnie jakiejś się trzyma, ale to nie na nasze głowy. Powiedz mi, kochanie, jaka jest szansa, że nie będziesz się w to zagłębiać?

Nie odpowiedziałam.

– Tak myślałem – powiedział Aleks z rezygnacją w głosie. – Pewnie jak cię znam, rozważasz właśnie, czy coś złego im się nie stało, czy nie cierpią głodu, chłodu, czy mają dach nad głową. Mam rację?

– Nie, tym razem nie masz. Daleka jestem od współczucia, choć na pewno przez jakiś czas nie będzie mi dawało spokoju, gdzie się, u licha, mogli podziać.

Aleks obszedł stół i przykucnął, składając mi głowę na kolanach.

– Jeśli tylko tyle, przeżyję. Ale pamiętaj, trzymam cię za słowo.

ROZDZIAŁ XIII

Stefańczyk & Synowie

Niestety, mimo najlepszych chęci i najszczerzych obietnic nie potrafiłam sobie odpuścić.

I co teraz? Co teraz? – to pytanie wciąż tłukło mi się po głowie. Przed zaśnięciem, w przerwach urywanego, nerwowego snu, po obudzeniu i w drodze do pracy. Zanim Olaf, którego jak zwykle w pierwszej kolejności zobaczyłam w holu, zdążył skomentować mój wygląd i nastrój, gestem zaprosiłam go do swojego biura.

– Siadaj tu jeden z drugim i słuchaj uważnie, okej? – zażądałam tonem, jakim zazwyczaj nie przemawia się do szefa.

Olaf usiadł posłusznie i z lekkim niepokojem spojrzał za siebie.

– Ale... ja jestem sam – zaproponował nieśmiało.

– Niech ci będzie. Masz chwilę? – zadałam pytanie, od którego powinnam była zacząć.

– Dla ciebie zawsze – odparł mój szef i zrobiłby tak samo, nawet gdyby miał mnóstwo pracy. U niego ciekawość zawsze była na pierwszym miejscu.

– Potrzebuję trzeciej pary oczu do spojrzenia na pewną sprawę.

– Na moje możesz liczyć jak... w ZUS-ie – obiecał i zamienił się w słuch.

– No więc... opowiem ci o tym, co cię tak bardzo ostatnio nurtowało. Moje wahania nastroju, na które zwróciłeś uwagę, wynikały stąd, że nagle zwalili mi się na głowę krewni. Użyczyłam im chwilowej gościny, ponieważ sprzedali swój dom i byli, jak by to powiedzieć, w drodze do nowego. Z czasem, wprost proporcjonalnie do wydłużania się ich wizyty, gościnność moja i Aleksa robiła się coraz mniej szczerą. Doszło do tego, że... troszkę wsparłam ich finansowo, by ich wyjazd przyspieszyć, i oni wówczas zniknęli. Przepadli jak kamień w wodę, nie docierając do celu...

Zawiesiłam głos, czekając na jakiś komentarz.

– Może ktoś ich okradł i zabił? – podrzucił Olaf zachwycony własną pomysłowością.

– Raczej nie. Ostatni ślad po sobie zostawili dwa dni temu w Bydgoszczy. A to nie był cel ich podróży.

– Może już się rozpakowali i pojechali sobie Bydgoszcz powiedzieć? Sprawdzałaś w ich nowym lokum?

– Nie, bo nie znam ich nowego adresu.

– Więc skąd wiesz, że ich tam nie ma?

– Bo... wiem.

– Jesteś na sto procent pewna?
– Nie – zawahałam się, bo w sumie nie byłam.
– Więc może warto sprawdzić dokładniej? Ja bym zrobił tak: poszedłbym do ich byłego domu i spytał, czy nie zostawili aktualnego adresu. Wiesz, od wypadku, gdyby jakaś korespondencja jeszcze przychodziła...
– Olaf, jesteś genialny! – ucieszyłam się, bo odpowiedział mi tak prostą rzeczą, że aż się zdziwiłam, czemu sama na to nie wpadłam. – Pójdę tam zaraz po pracy.

* * *

Dom wujostwa odnalazłam z pewnym trudem. Nie byłam tu bardzo dawno i wiele w okolicy się zmieniło, sam budynek zaś chyba najbardziej. Miał całkiem inny dach, inny kolor elewacji, inne było ogrodzenie i brama. Po dłuższej chwili od naciśnięcia przeze mnie dzwonnka przy furtce wyszła do mnie bardzo młoda dziewczyna, dziewczynka prawie. Dowiedziałam się, że niczego nie wie o poprzednich właścicielach.

– Czy są wobec tego w domu rodzice? – spytałam, niespecjalnie się dziwiąc, że dziewczę nie jest w temacie.

– Nie ma, ale jakby byli, też nie powiedzą pani czego innego.

– To jakaś... tajemnica może? – spytałam podejrzliwie.

– Nie, ale oni też nie wiedzą. Wszystkich, którzy pytają o poprzednich właścicieli, odsyłamy do odpowiednich urzędów. Myśmy ten dom kupili na licytacji.

– Li... cytacji?

– Na licytacji komorniczej, proszę pani.

– Boże jedyny – szepnęłam przerażona i dodałam głośniej: – Często się zdarza, że ktoś o nich pyta?

– Na początku częściej, teraz już nie tak bardzo. – Dziewczyna odwróciła się i odeszła.

Zostałam ze świadomością, że chyba znów pcham się w coś, co bardzo się Aleksowi nie spodoba. Na razie jednak nie zamierzałam go o niczym informować, przede wszystkim o tym, że wbrew danej mu obietnicy nadal wałkuję temat wujostwa. Ba, wyglądało na to, że, jak to się mówi, im dalej w las, tym więcej drzew, a ja z tej wycieczki niestety szybko nie wrócę... Czy to było wobec niego nieuczciwe? Nie odbierałam tego w ten sposób. Uważałam, że w tym momencie to już wyłącznie mój problem, więc powinnam zmierzyć się z nim sama, oszczędzając mężowi dalszego stresu. Najnowsze informacje zafundowały mi niezły szok, ale jednocześnie zaintrygowały tak bardzo, że nie było dla mnie odwrotu. Oczywiście bardzo mi teraz doskwierało, że nie mam się nimi z kim podzielić, ale trudno. Cokolwiek by się okazało, zamierzałam sama „wziąć to na klatę”. Dopóki ciotka

i wujek sprawiali kłopoty w moich, że tak powiem, czterech ścianach, jakoś dawało się nad tym wszystkim zapanować, ale gdy wyjechali, wbrew moim oczekiwaniom problemy zamiast się skończyć, zaczęły zataczać coraz większe koło, a ja nie potrafiłam ot tak sobie przejść obok nich.

– A może po prostu daj sobie z tym spokój? – zasugerował nieśmiało Olaf, ponieważ zamiast wrócić do domu, wpadłam jeszcze na chwilę do pracy.

Mój szef miał dziś zostać do późna i był jedyną osobą, jaka przyszła mi do głowy, nadającą się do rozmowy na nurtujący mnie temat.

– Bardzo chętnie, ale niestety nie potrafię – jęknęłam zrezygnowana. – Ja wiem, że tak właśnie powinnam postąpić, ale... po prostu się o nich martwię! Aż mnie ciarki normalnie przechodzą, jak pomyślę, że coś mogło się staruszkom stać.

– Rozumiem. Kochasz ich, co?

– Nie, a nawet nie za bardzo lubię! – prawie krzyknęłam. – Ale, do jasnej cholery, czuję się za nich w jakiś sposób odpowiedzialna, rozumiesz? Ciotka i wujek to najbardziej wkurzająca para, jaką mógłbyś sobie wyobrazić, i to właśnie jest w tym wszystkim najgłupsze. Nie umiem, nie potrafię tak tego zostawić.

– Myślę, że wiem, o co ci chodzi – westchnął Olaf. – To się chyba nazywa „mieć sumienie”...

Spojrzałam na niego z wdzięcznością i podziwem. On mnie chyba zwyczajnie rozumiał.

– W takim razie powiedz, co ty byś zrobił?

– Też bym tak tego nie zostawił. Może... spróbowałbym się dowiedzieć, kim są ci ludzie, którzy też ich szukali? Popytałbym o nich sąsiadów, wspólnych znajomych, innych krewnych?

– Sąsiedzi z pewnością nie będą chcieli się w nic mieszać. Wiele możliwości nie mam. Mój brat pewnie wie niewiele więcej niż ja, brat wujka jeszcze mniej, a brat ciotki... no nie wiem. Może jego spróbuję odnaleźć, to nie powinno być trudne.

– Wobec tego trzymam kciuki. – Olaf spojrzał wymownie na jakieś papiery piętrzące się u niego na biurku.

– Okej, wobec tego nie przeszkadzam. I dzięki za wysłuchanie.

– Polecam się na przyszłość – odparł z uśmiechem i odprowadził mnie do drzwi.

* * *

W domu, już po kolacji, oznajmiłam Aleksowi, że mam jeszcze coś do zrobienia, i zasiadłam do komputera. Szukałam informacji na temat firmy obuwniczej Stefańczyków. Znalezienie ich nie było szczególnie trudne, mają swoją stronę internetową z ofertą sprzedażową, adresem, a nawet mapką dojazdu. Siedziba firmy „S&S” (Stefańczyk i Synowie) była mi nawet znana z widzenia,

nieraz przejeżdżałam obok niej, jednak obecny znak firmowy nie kojarzył mi się z niczym. Nawet z logo na pudełku moich czółenek, które dopiero teraz wydało mi się jakby znajome...

Zastanawiałam się, czy mogę tam ot tak sobie wpaść prosto z ulicy, czy może lepiej zadzwonić i się umówić. W obu przypadkach trudność stanowiło podanie powodu mojej wizyty. Na temat wujostwa mogli nie chcieć ze mną rozmawiać, więc sprawa wymagała dyplomacji.

Rano, po wyjściu Aleksa do pracy, postanowiłam jednak zaanonsować się telefonicznie. Postawiłam wszystko na jedną kartę i mimo nalegań sekretarki nie powiedziałam, po co chcę spotkać się z prezesem. Cel podałam jako prywatny. Po kwadransie kobieta oddzwoniła i zaprosiła mnie na godzinę jedenastą, a to wiązało się ze zwolnieniem na ten czas z biura. Zapobiegawczo wzięłam dzień urlopu, przysięgając, że jeśli będzie coś pilnego, zrobię to w domu bez żądania nadgodzin.

Prezes Stefańczyk, który za młodu nie grzeszył urodą, teraz jako zadbany, szpakowaty pan w starszym wieku prezentował się całkiem interesująco. Przeleciało mi przez myśl, że Roger, tak piękny za młodu, żałośnie by dziś wyglądał obok swojego szwagra.

– Witam? Czym mogę służyć? – spytał prezes i podsunął mi krzesło.

– Sandra Wasyl – przedstawiłam się, wiedząc, że nazwisko po mężu nic mu nie powie.

Usiadłam i spróbowałam sformułować pierwsze zdanie w możliwie najzręczniejszy sposób.

– Proszę pana, ja w sprawie pańskiej siostry, bo... – zaczęłam, a on natychmiast mi przerwał.

– Niestety, droga pani, ja za niczyje długi nie odpowiadam!

Jego głos nagle stał się szorstki, on sam zaś zdecydowanie mniej uprzejmy.

– Nie, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć, nie przyszłam w sprawie pieniędzy – wyjaśniałam pośpiesznie. – Jestem siostrzenicą jej męża, a sprawa, która mnie do pana sprowadza, jest wyłącznie rodzinna...

– Co z Edytą? – spytał krótko, ale już innym tonem.

– Rzecz w tym, że nie wiem, i liczę na to, że z pańską pomocą uda mi się dowiedzieć.

– Nie rozumiem. Można jaśniej? – Jego głos znów stał się szorstki.

– Ostatnio ciotka i wujek gościli u mnie przez jakiś czas. Twierdzili, że sprzedali dom z zamiarem osiedlenia się za granicą i że do czasu wyjazdu nie mają się gdzie zatrzymać. Trwało to kilka tygodni, po czym spakowali się i tyle ich widziałam. Mam obawy, że nie dotarli do celu.

– Przykro mi, ale ja na ich temat nic nie wiem. – Prezes Stefańczyk wyglądał, jakby chciał szybko zakończyć tę rozmowę. – Edyta zawsze była bliżej z rodziną męża niż własną, tam się proszę udać.

– Ale to ja jestem rodziną jej męża! – wyrwało mi się nieco zbyt głośno. – Kogo więc mam pytać?

Pan prezes spojrzał na mnie po raz pierwszy z niejaką ciekawością.

– Chodzi pani o to, że Edyta i Roger wyszli od pani i ślad po nich zaginął?

– Dokładnie.

– A pani tak bardzo leży na sercu ich los? Dlaczego?

– Panu nie leży? Zaginęło bez wieści dwoje starszych ludzi, w tym pańska siostra. Pana to nie niepokoi?

– Pani... Sandro, dobrze mówię?

Skinęłam głową.

– Moja siostra zerwała ze mną wszelkie kontakty wiele lat temu. Od tamtej pory, jeśli była między nami jakakolwiek komunikacja, odbywała się przez prawników. Edyta wniosła przeciw mnie pozew o sfałszowanie testamentu naszych rodziców i bezprawne zagarnięcie całego majątku. Sprawę przegrała, ale mimo to należał się jej tak zwany zachówek. Suma była tak duża, że musiałem sprzedać część firmy, bo moja siostra nie wyraziła zgody na spłatę w ratach. O mało mnie to nie zrujnowało. W dniu, w którym wypłaciłem jej te pieniądze, przestała być moją siostrą i tak pozostało do dziś, o ile rozumie pani, o co mi chodzi.

– Rozumiem. Ale gdy w grę wchodzi być może jej życie, żadne pieniądze nie powinny mieć znaczenia. Tak uważam, proszę pana, siostra to siostra i w sytuacji ostatecznej wszelkie właśnie powinny odejść w niepamięć.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – Uśmiechnął się nieoczekiwanie prezes Stefańczyk. – Mam wynająć detektywa, żeby ich poszukał?

Zrozumiałam, że żartuje.

– Nie. Niczego od pana nie oczekuję. Do widzenia.

Wstałam i wyszłam.

* * *

Aleks zastał mnie nad papierami. Niestety, nie mogłam cieszyć się do końca wolnym dniem, ponieważ moja firma najwyraźniej nie mogła obejść się beze mnie. Olaf przynajmniej nie kazał mi się fatygować do biura, tylko przysłał mi tłumaczenia do domu przez Magdę.

– A co ty taka zarobiona jesteś ostatnio, kochanie? – Cmoknął mnie w szyję.

Nie miałam nawet czasu, by po ludzku zjeść, dlatego na zmianę przeglądałam zlecenia i łapczywie wcinałam kanapkę.

– Wrzodów na żołądku dostaniesz – skomentował Aleks.

– Wrzodów to ja dostanę, jak tego nie zrobię – odparłam pośpiesznie, zagłębiając się w lekturze.

Mąż wzruszył ramionami i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Miał wiele zrozumienia dla podobnych zachowań, bo u niego w firmie praktyki były

podobne. Już prawie kończyłam, gdy Aleks wszedł do mnie ponownie i oznajmił, że ktoś do mnie dzwoni. Odruchowo spojrzałam na moją komórkę.

– Na stacjonarny – sprecyzował, co było o tyle dziwne, że na ten telefon prawie nikt do nas nie dzwonił.

Pobiegłam do salonu i zapobiegawczo zabrałam słuchawkę do siebie.

– Dobry wieczór, Janusz Stefańczyk się kłania – przedstawił się rozmówca. – Czy mam przyjemność z panią Sandrą?

– Tak – odparłam po chwili, bo wszystkiego bym się spodziewała, ale na pewno nie jego.

– Pozwoliłem sobie znaleźć panią przez informację – wyjaśnił. – Jeśli nadal ma pani ochotę porozmawiać o Edycie, zapraszam do siebie do domu.

– Teraz? – Spojrzałam na zegarek, było już po dwudziestej.

– Niestety, ja tylko o takiej porze bywam dyspozycyjny – odparł.

– Dobrze, proszę podać mi adres, zaraz będę – zdecydowałam w sekundzie.

– Gdybym cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że masz kogoś na boku – skomentował Aleks, widząc moje przygotowania do wyjścia. – Tajemnicze telefony, głębokie stany zamyślenia, wieczorne samotne wyjścia...

Spojrzałam na niego zaskoczona, na szczęście uśmiechał się żartobliwie.

– Wiesz, nie strasz mnie nawet, że podobne głupoty mogłyby ci przyjść do głowy! – zastrzegłam.

– Nie, kochanie, bez obaw. – Pocałował mnie w szyję. – Wszystko inne, owszem, ale nie to, że mogłabyś mnie zdradzać. Nie ty.

Oczywiście, że miał rację, ale mimo to trochę poczułam się, jakbym go zdradzała.

– Mówiłam ci przecież, że muszę to dziś podrzucić do firmy. – Zamachałam mu przed nosem tekturową teczką z niedokończonymi tłumaczeniami, które musiałam później jakoś przemycić z powrotem. – Może to chwilę potrwać, więc nie martw się o mnie – dodałam.

Na szczęście dni były coraz dłuższe, była więc spora szansa, że wrócę jeszcze przed zmierzchem. Adres, który podał mi pan Stefańczyk, wskazywał niezbyt oddalone osiedle. Spodziewałam się, że bogaty przedsiębiorca będzie mieszkał w jakiejś luksusowej willi, ale zarówno ulica, jak i numer budynku (łamane przez numer mieszkania) sugerowały, że będzie to blok. Chociaż nie, blok to też nie najlepsze określenie, raczej apartamentowiec.

Mieszkanie państwa Stefańczyków było ogromne, dwupoziomowe, z wielkimi, jasnymi przestrzeniami. Luksus w stylu „marmur i nikiel”.

– Przeprowadziliśmy się tu kilka lat temu – wyjaśnił, widząc ciekawość, z jaką rozglądałam się dookoła. – Prywatny dom to mnóstwo obowiązków, a my nie jesteśmy już młodzi. Zostawiliśmy go bez żalu starszemu synowi.

– Sandra Wasyl. – Podałam rękę kobiecie, która właśnie do nas podeszła.

– To jest siostrzenica Rogera, o której ci mówiłem – dodał pan Stefańczyk.

– Halina – odparła i zaproponowała coś do picia. Przystałam na wodę.

– Pani Sandro, może od razu przejdę do rzeczy. – Stefańczyk, jak to biznesmen, był widać bardzo konkretny. – Przyznam, że pani dzisiejsza wizyta w moim biurze zrobiła na mnie... pewne wrażenie. Chcąc nie chcąc, że tak powiem.

– Czyli że domyśla się pan, gdzie wujek i ciotka mogą być? – spytałam równie konkretnie.

– Niestety nie, choć chciałoby się raczej powiedzieć: na szczęście. Pojęcia nie mam. Ale daleki jestem od tego, by źle im życzyć, i gdyby faktycznie się okazało, że wyładowali na ulicy, skłonny jestem opłacać ich dożywotni pobyt w domu opieki.

– To miłe z pana strony – uśmiechnęłam się nieszczerze.

Pomyślałam, że mając tyle kasy, mógłby im zaproponować jakieś lepsze lokum. Pan Stefańczyk nie dostrzegł na szczęście mojej ironii.

– Ale nie zamierzam ich szukać – dodał. – Każdy jest kowalem swego losu, ja mogę jedynie im ten los odrobinę polepszyć, gdyby zaszła taka konieczność. W związku z tym, gdyby pani dowiedziała się już o miejscu ich pobytu, proszę się ze mną skontaktować.

Gospodarz podał mi swoją wizytówkę z numerami telefonów oraz małą, złożoną na pół karteczkę.

– A tutaj ma pani numer telefonu i adres Anety, ich córki. Być może ona wie coś więcej.

Kiedy wracałam już do domu, zadzwonił Olaf. Dobry moment sobie wybrał, bo mogłam z nim po drodze swobodnie pogadać. Na wstępie poprosiłam o alibi na dzisiejszy wieczór, jakby co, a on ochoczo się zgodził.

– Przepraszam, Sandra, że nie miałem dla ciebie ostatnio zbyt wiele czasu, ale sama wiesz, ile roboty ostatnio na nas spadło. À propos, skończyłaś swoją?

– Nie, ale mam już niewiele, do rana się z tym uporam.

– Nie zarywaj nocy, to niezdrowe – zatroskał się Olaf. – Przyjdź jutro po prostu trochę wcześniej. Okej?

– Okej.

– A teraz mów, jak tam sprawy.

– Na razie nijak. Zasięgałam języka u krewnych, właśnie wracam od szwagra wujka Rogera.

– Ko... ko... ko...go? – zagdakał w słuchawkę. Ledwo go zrozumiałam. – Jak ma na imię ten twój wujek?!

– Roger – odparłam zdziwiona, a wówczas on się rozłączył i nie było już z nim kontaktu do rana.

Jego niepokojące zachowanie sprawiło, że dająca znać o sobie senność

natychmiast mi przeszła, i postanowiłam jeszcze dziś dokończyć swoją pracę.
Aleksowi wytłumaczyłam, że dołożyli mi jeszcze trochę w biurze.

ROZDZIAŁ XIV

Romek

Mimo najszczerzej chęci i palącej ciekawości nie udało mi się porozmawiać z Olafem. Ciągłe miał jakieś spotkania, konferencje, wyjazdy. W istocie, projekt tłumaczeniowy, jaki ostatnio zlecono naszej firmie, wszystkich nas postawił na nogi. Zaawansowana specjalizacja tekstów wymagała współpracy z fachowcami z różnych dziedzin, ciągłych konsultacji, a opiekunem zlecenia był właśnie Olaf. Nie było więc raczej szans, by w najbliższym czasie pozawracać mu głowę sprawami prywatnymi. Tak się również złożyło, że ów projekt ni stąd, ni zowąd całkowicie uwiarygodnił w oczach Aleksa moje ostatnie „zaabsorbowanie pracą”. Urywały się telefony o różnych porach, bo trzeba było akurat po raz kolejny skoordynować pracę specjalisty merytorycznego z tłumaczem. Chwilowo nie miałam możliwości prowadzenia dalszego śledztwa i wydawało mi się nawet, że ten nawał roboty pozwoli mi o nim całkiem zapomnieć. Może nawet by się tak stało, ale któregoś luźniejszego popołudnia zadzwonił do mnie Romek. Widać sumienie go gryzło, że się ostatnio tak oschle ze mną rozmówił.

– Co tam u ciebie, siostra? – spytał. – Tak sobie dzwonię, z ciekawości – dorzucił szybko, żebym nie zdążyła pomyśleć tego, co właśnie pomyślałam: o wyrzutach sumienia.

– Nic takiego. Praca, praca i jeszcze raz praca.

– A... życie prywatne? Rodzinne na przykład?

– Jeśli chodzi ci o Rogera i Edytę, to już ich u mnie nie ma – odparłam domyślnie.

– No nie, nie za bardzo mi o nich chodzi – zmieszał się po odkryciu przeze mnie jego intencji.

– Skoro nie o nich, tylko o mnie, to wszystko w porządku – nie dałam się pociągnąć za słowo.

– A u nich?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? – zirytował się. – To polecili do tej Australii czy nie polecili?

– Nie wiem.

– Sandra! Bo jak cię pierdyknę, to zaczniesz gadać po ludzku! – nie wytrzymał Romek i o to mi chodziło.

– A proszę cię bardzo, jeśli potrafisz przez telefon – drażniłam go nadal.

– W takim razie zaraz jestem u ciebie – oznajmił i się rozłączył.

W istocie, nie upłynęło pół godziny, gdy zjawił się pod naszymi drzwiami.

– Roman? – zdumiał się Aleks, wpuszczając go do środka.

– Góra z górą, jak to się mówi, i przyszedł Mahomet do swojej głupiej siostry – oznajmił, wymijając go w progu.

Aleks zbyt dobrze znał mojego brata, żeby się oburzyć na tę „głupią siostrę”. Poza tym skoro Romek po tak długim czasie nagle zdecydował się nas odwiedzić, mój mąż mógł być pewien, że kierowało nim wyłącznie braterskie uczucie.

– No i co z tym... wujostwem Rogerostwem? – spytał bez wstępów.

– A co ma być? – Aleks wzruszył ramionami. – Byli, nie ma, ot co.

– O nie, nie, nie! Skoro ona – Romek wycelował we mnie palcem – lata po mieście i bawi się w detektywa, coś musi być nie tak, mnie nie oszuka.

Usiadłam jak podcięta, Aleks spojrział na mnie, marszcząc brwi.

– Sandra... czy jest coś, o czym nie wiem, a powinienem? – spytał.

– Tak. A raczej coś, o czym nie wiesz i n i e powinieneś.

– No ładnie! – sarknął Romek. – A to się wydało...

– A ty co? Też się bawisz w detektywa i szpiegujesz mnie? – odbiłam sobie na nim.

– Nie. Zynio mi powiedział.

– Jaki Zynio? – jęknął Aleks i przyjrzał mi się uważniej.

– Syn Stefańczyka – odpowiedzieliśmy mu jednocześnie z Romkiem.

Bo ja, jak kto głupi, zapomniałam, że Zynio, z którym mój brat zadawał się w dzieciństwie, do dziś utrzymywał z nim serdeczne kontakty. Mało tego, jakoś nie skojarzyłam zupełnie, że ów Zynio to nikt inny jak Zygmunt Stefańczyk, syn obuwniczego potentata. Miałam wielką ochotę wałnąć się w głowę. Nie zrobiłam tego, by nie wyjść na jeszcze większego głupka.

– Okej. – Aleks podsunął Romkowi krzesło, mnie wskazał drugie, sam zaś zajął miejsce pomiędzy nami. – Da Bóg, że jakoś to wszystko przeżyję. A teraz mówcie!

– Ja... poszłam do domu wujostwa, żeby spytać nowych właścicieli, czy nie mają ich aktualnego adresu...

– Po co?

– No... żeby się dowiedzieć, czy dotarli bezpiecznie na miejsce.

– I? – Aleks poganiał mnie monosylabami.

– I nie mają...

– Aha. To wszystko?

– Jasne, że nie – wtrącił się Romek. – Tam moja siostra, cnót wszelakich pełna, z pewnością się dowiedziała, że ich dom pół roku temu zlicytował komornik!

– A ty skąd o tym wiesz?! – napadłam na niego.

– Wiem. Od dawna.

– Trzeba mi było powiedzieć, jak ostatnio z tobą gadałam!

– Po co? Żebyś im oddała własne mieszkanie i sama poszła pod most? Co ja mówię, sama! Z mężem, również pełnym cnót... Przecież jak cię znam, ulitowałabyś się nad nieborakami, a ty byś jej przyklasnął, no nie, Aleks?

– Nie wiem, w każdym razie dziękuję za oszczędzenie mi dylematu – odparł wcale nieurazony jego słowami.

Romek najwyraźniej poczynił aluzję do sytuacji, w której po śmierci rodziców doprowadziłam do sprzedaży naszego rodzinnego domu. Miał o to do mnie żal, ale ja wówczas uznałam, że nie mam innego wyjścia, i trwałam w tym przekonaniu do dzisiejszego wieczoru.

– No dobra. Uratowałeś nas przed bezdomnością, dzięki. A teraz? Czego chcesz? – spytałam niemal -wrogo.

– Widzisz, siostra, jak to wujostwo, by nie powiedzieć: szujostwo, potrafi nas z sobą skłócić? – spytał Romek bez złości, za to ze smutkiem.

– Romek... – Wzięłam większy oddech. – Może i dobrze się stało, że przyszedłeś. Może to będzie dla nas jedyna okazja do wyjaśnienia sobie pewnych spraw...

– Ty będziesz wyjaśniać czy ja? – spytał, a Aleks rozsiadł się wygodniej i czekał bez słowa na dalszy rozwój wydarzeń.

– Ja – zdecydowałam.

– Słucham więc.

– Wiem, że do dziś masz żal do mnie o sprzedanie domu i że będziesz go miał może do końca życia. Ale tak mi wtedy dyktowało sumienie. Nie zrobiłabym tego tak szybko i pochopnie, gdyby od mojej decyzji nie zależało życie ciotki.

– Nie zależało... co? – Roman wytrzeszczył na mnie oczy.

– Wiesz chyba, bo i tobie Roger pewnie mówił, że Edyta czekała wtedy na przeszczep nerki i że tylko pieniądze mogły ten proces przyśpieszyć. Nie było na co czekać.

– Jakiej... nerki? – spytał brat, robiąc jeszcze większe oczy.

– Nie wiem. Prawej chyba. Miała przecież raka, nie była na pogrzebie mamy, bo leżała w szpitalu po operacji. Nie pamiętasz?

Romek wstał i zaczął chodzić po mieszkaniu, a Aleks wodzić za nim błędnym wzrokiem.

– Skąd ty to wiesz? – spytał w końcu.

– Od Rogera.

Roman usiadł z powrotem. Wyglądał, jakby przez ten marsz zupełnie opadł z sił.

– Nie wierzę. Sorry, siostra, ale nie wierzę. Ani w bajeczkę o nerce, ani... w twoją bezdenną głupotę.

– Masz prawo. Ale pewny być nie możesz, mój ty wszystkowiedzący

braciszku – odparłam złośliwie, bo wkurzył mnie tym swoim wrodzonym cynizmem.

– Owszem, jestem pewien – odpowiedział spokojnie. – Gdyby rzeczywiście z ciotką było tak źle, do mnie by Roger też przyleciał.

– Przecież nie gadałeś z nim w tym czasie.

– Nie gadałem z nim później, a nawet gdyby, już by wujó znalazł sposób, żeby i we mnie poruszyć sumienie.

Zamilkłam na chwilę, zastanawiając się nad tym, co powiedział. To nie był żaden argument. Poza tym Roger był autentycznie przerażony chorobą ciotki, naprawdę cierpiał. No, chyba że... Nie, nie życzyłam ciotce źle, ale w tym momencie zdecydowanie bym wolała, żeby jednak miała tego raka. Myśl o tak podle ukartowanym oszustwie byłaby o wiele trudniejsza do przełknięcia.

– I co mi powiesz? – spytał Romek.

Milczałam nadal. Zbierało mi się na płacz, bo, tak czy inaczej, ktoś mi ewidentnie zrobił wodę z mózgu: albo ciotka, albo brat. Dla mnie sytuacja była patowa.

– Nic – odparłam przez zaciśnięte zęby.

Aleks przysunął się do mnie razem z krzesłem i objął mnie ramieniem.

– Trudno – powiedział. – Bez względu na to, jaka była prawda, Sandra sprzedała ten dom w najlepszych intencjach. Należał do niej, jeśli komuś zrobiła tym krzywdę, to tylko sobie.

– Owszem – przyznał Romek. – Tylko że ja chciałem go kupić, wystąpiłem nawet o kredyt, ale nie zdążyłem, niestety. Zabrakło jednej doby.

– Chciałeś kupić ten dom? – Po raz pierwszy usłyszałam z jego ust coś podobnego.

– Chciałem. Tam się urodziłem, wychowałem, żał mi było, żeby poszedł w obce ręce.

– Boże mój, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?!

– A ty? Czemu mi nie powiedziałaś, na co tak pilnie potrzebujesz pieniędzy?

– Bo byś mnie od tego odwodził... Ale gdybym wiedziała, że chcesz go kupić...

– To co? Byłaś tak zdesperowana, że nic by to nie dało. Sprzedałabyś go tak samo prędko.

– Nie, nie sprzedałabym...

– Sprzedałabyś – poparł go Aleks. – Gdybyś miała choćby cień wątpliwości, wykorzystałabyś ją na korzyść ciotki. Pytałaś mnie wtedy o radę, ale ja nie miałem prawa niczego ci radzić. Pamiętasz, co w końcu powiedziałaś? Że tak czy inaczej, ty bez tego domu przeżyjesz, a ciotka bez pieniędzy z jego sprzedaży niekoniecznie. I wolisz mieć czyste sumienie.

Musiałam mu w duchu przyznać rację. Niestety, mój mąż znał mnie jak nikt

inny na tym świecie.

– I miałam, ale teraz już nie mam – szepnęłam.

– Dlatego właśnie nic ci nie mówiłem – podsumował Romek. – Czułem, że Roger maczał w tym paluchy, i nie mogłem pojąć, czemu tak prędko mu uległaś. Ani nasi rodzice, ani nawet babcia nie kwapili się do zaspokojenia jego urojonych roszczeń, a ty rach-ciach i po sprawie. Miałem do ciebie żal, ale wtedy nie wiedziałem, w jak perfidny sposób cię do tego przekonał.

– Romek... przepraszam! Ja... nie wiem, co powiedzieć...

– Daj spokój, gruba jesteś i tyle. – Mój brat jak zwykle w momentach niosących ryzyko wzruszenia zbył mnie swoim, coraz głupiej brzmiącym, powiedzonkiem. – A dziś przyszedłem, żeby odwieść cię od robienia kolejnych głupot, i mam nadzieję, że mnie w tym wesprze twój własny mąż.

– Ale ja nic nie zamierzałam robić – zaprotestowałam. – Zamierzałam się tylko dowiedzieć, co z nimi.

– Po co? – spytał Romek. – Żeby ich zastać w kolejnym nieszczęściu i znów kosztem własnego spokoju wyciągać ich z tarapatów?

– Nieprawda. Chciałam po prostu wiedzieć, czy żyją.

– Żyją – odpowiedział z przekonaniem. – Złego diabli nie biorą.

Ponieważ mój brat przyszedł do mnie na piechotę, zaproponowałam mu lampkę wina, kupionego dla mnie przez Aleksa do uroczystej kolacji. Skończyło się na całej butelce. Posiedzieliśmy wspólnie jak prawdziwa, zgodna rodzina, a ja zastanawiałam się, czym sobie zasłużyłam na takich dobrych ludzi w moim życiu jak Aleks i Romek. Czy w myśl porzekadła, że dobro zawsze do człowieka wraca, czy może innego: że głupi ma więcej szczęścia niż rozumu? To był mój odwieczny dylemat.

ROZDZIAŁ XV

Mój rodzinny dom

Byliśmy już z Alekssem zaręczeni, gdy Roger zaskoczył mnie wieścią o chorobie Edyty. Wpadł do mnie któregoś wieczoru, blady i przygnębiony, czuć było od niego alkohol, ale nie był pijany. Zanim opowiedział, z czym przyszedł, siedział przez chwilę przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Czułam, że stało się coś złego, więc cierpliwie czekałam, aż coś powie.

– Właśnie świat się pode mną zawalił – oznajmił w końcu łamiącym się głosem.

– Ale... co się stało? – spytałam przelękniona.

– Dla Edyty... dla mojej Edytki... nie ma już chyba nadziei.

– Co? – Odruchowo usiadłam obok niego.

Oboje milczeliśmy przez chwilę. Ja zupełnie nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Jedna nerka po amputacji, druga też w już nie najlepszym stanie. Rak dał przerzuty. Wiesz, z jedną nerką można żyć, ale jakby się okazało, że żadna nie będzie pracować, wtedy... wtedy...

Roger znów przysłonił twarz dłońmi i zapłakał. Siedziałam obok niego odrętwiała, niezdolna do powiedzenia czegokolwiek, co miałoby jakiś sens. Bo cóż w takiej sytuacji można powiedzieć?

– Ale... wujku, jak to? Tak nagle? Nie było jakichś wcześniejszych symptomów choroby? – spytałam w końcu. – Ciocia nie próbowała się leczyć?

– Próbowała, jasne, ale, jak to kobieta, po znachorach chodziła i cudotwórcach. Do Harrisa na spotkania jeździła, Kaszpirowskiego w telewizorze oglądała. Gdy położyli ją pierwszy raz w szpitalu, to było w czasie, kiedy zmarła Benia... Wtedy właśnie usunęli jej nerkę.

– Pamiętam, wspominałeś coś na pogrzebie mamy. Ale nigdy nie mówiłeś, że sprawa jest aż tak poważna!

– Wtedy miałaś swoją własną żałobę, nie miałem sumienia dorzucać ci swoich problemów.

– I... co teraz? Ciocia znów jest w szpitalu?

– Nie. Zwyczajna operacja już nic nie da, jedynie przeszczep może ją uratować. Chodzę więc teraz do lekarzy, żebrzę, błagam... Wiesz, dałem w łapę tu, tam, gdzie się dało. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile tacy lekarze są w stanie od człowieka wyciągnąć, zupełnie się nie patyczkują i otwarcie mówią o kwotach.

– Co za świat parszywy! W sytuacjach gdy wchodzi w grę ludzkie życie,

takie praktyki są... podłe po prostu! – oburzyłam się.

– No właśnie – przytaknął Roger. – Ale jak chodzi o życie bliskich, nikt się z pieniędzmi nie liczy, choćby miał wyprzedzić wszystko, co ma. Ja już sprzedałem auto i pole, które mi twoja świętej pamięci babcia podarowała. Nie wiem, co pójdzie w dalszej kolejności...

– Co mogę ci powiedzieć... Ja, choćbym chciała, nie mam ci jak pomóc. Jeszcze przez rok, do ukończenia studiów, będę pobierała rentę po rodzicach, a potem sama muszę poszukać sobie pracy.

– Boże, mój Boże, gdyby żyła moja matka, na pewno by coś zaradziła – westchnął Roger.

– Ale... co? Przecież babcia miała jedynie groszową rentę.

– Tak, ale mogłaby sprzedać trochę ziemi i załatwić w końcu sprawę spłaty z tego domu, ale niestety, zmarła zbyt nagle.

Niesnaski między moimi rodzicami a Edytą i Rogerem w sprawie tej spłaty wciąż jeszcze miałam w pamięci.

– Babcia nie miała już ziemi. Wszystko przepisała na dzieci – przypomniałam mu.

– Nie miała? – Roger spojrzał na mnie oczami pełnymi łez. – No tak, nie miała... A ty... masz?

– Nie. Rodzice zapisali mi dom, a całą ziemię mojemu bratu. Tak nas podzielili.

– Więc z całą pewnością ty wyszłaś na tym lepiej – zauważył wujek. – I co? Twój brat ot tak, bez żadnego protestu się zgodził?

– Bez. Ma własnościowe mieszkanie, na działce zamierza postawić altanę i uprawiać jarzyny. A jak kiedyś Bartuś chciałby się pobudować, też miejsca wystarczy. Tak mi powiedział.

– No cóż... A kułacka willa stoi i nadal ma się dobrze. Tylko już drugie pokolenie z gołym tyłkiem z niej wychodzi...

– Wujku, ja naprawdę niewiele wiem na ten temat. – Poczułam się trochę niezręcznie, jak magnatka, która rozsiadła się na włościach kosztem innych. – My z Romkiem oboje na takie rozwiązanie przystaliśmy, a co do wcześniejszych spraw... Babcia mówiła, że ona nie wniosła żadnego wkładu w budowę tego domu, więc nie mógł należeć do spadku po niej.

– No tak, starsze pokolenie odeszło, młodsze jak zwykle o niczym nie wie. Nie musi, grunt, że jemu dobrze – skomentował wujek ponuro. – A dramat ludzki pozostaje dramatem.

Zrobiło mi się naprawdę smutno. Obok mnie siedział brat mojej mamy, załamany perspektywą utraty żony, sugerując chyba, że mogłabym, a może i powinnam mu pomóc. Niestety, nie wiedziałam jak. Gdybym miała cokolwiek, co mogłabym sprzedać, zrobiłabym to bez wahania, wówczas jeszcze nie pomyślałam,

że mógłby to być dom.

* * *

Wieczorem podzieliłam się swoim dylematem z Alekssem. Mój chłopak wpadał do mnie najczęściej, jak mógł, czasem nawet zostawał na noc i wymyślał się o świcie, by go sąsiedzi nie zobaczyli. Niby w obecnych czasach nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale w mojej najbliższej okolicy wszyscy nadal chętnie żyli cudzym życiem. Debatowali nad upadkiem moralności bliźnich, wytykali błędy, użalali się nad przywarami. Zawsze wiedzieli, jak ktoś inny powinien żyć, z kim się zadawać bądź nie, jak się ubierać, a nawet co jeść.

– Trudna sprawa – powiedział Aleks, gdy streściłam mu wszystko po kolei. – A on, ten wujek, nie ma własnych dochodów?

– Ma, ale po pierwsze, wszystko na bieżąco idzie na lekarzy, a po drugie, nie sędzę, żeby jego firma teraz prosperowała szczególnie prężnie. To jakiś jednoosobowy biznes, nie znam szczegółów, ale myślę, że wujek nie ma ostatnio głowy do interesów.

– No tak... tak... to logiczne – zatroskał się Aleks, który do tej pory niewiele o moim chrzestnym słyszał.

– Wiesz, wolałabym nie wiedzieć o takich sytuacjach, zwłaszcza jeśli nic nie mogę zrobić. Zawsze każdemu chciałabym pomóc, nawet jeśli nie jest specjalnie lubiany. Może wówczas tym bardziej, bo wiem, że na niewielu może liczyć. Może nawet na nikogo...

– Chcesz powiedzieć, że twój wujek jest nielubiany?

– Raczej... kontrowersyjny. I on, i jego żona – odpowiedziałam dyplomatycznie. – Tak czy inaczej, Roger za bardzo nie ma gdzie szukać pomocy, z najbliższej rodziny został mu tylko jeden brat.

– Nie licząc ciebie – dodał Aleks.

– Mnie, mojego brata i Anety, ich córki.

– Co z tą ich córką?

– Mieszka na drugim końcu Polski. Nie wiem, jak się jej powodzi i czy mogłaby im pomóc finansowo. Nawet jeśli tak, to z pewnością niewystarczająco. Romek też nie żyje nad stan, a ja... sam wiesz.

– Poza tym chyba nie wszyscy przejmują się losem innych jak ty – zauważył Aleks.

– To nie tak – odparłam z namysłem. – Ale ja... jak by to powiedzieć, działam mniej racjonalnie. Romek, jak wiesz, jest dobrym człowiekiem, równie skorym do pomocy jak ja, ale on najpierw myśli, a potem robi. Ja odwrotnie.

– Wybacz, to było nie na miejscu – zmieszał się Aleks, bo po mojej ostatniej wypowiedzi wybuchnął gromkim śmiechem.

– To cię bawi? – spytałam.

– W każdym razie nie przeszkadza. Bo gdybyś jednak najpierw myślała, może nie przyjąłabyś tak łatwo moich oświadczeń?

– Aleks! – zgromiłam go. – To nie czas na dowcipkowanie!

– Przepraszam, kochana, ale to nie ma związku z chorobą twojej ciotki. Tylko... że usiłujesz mi powiedzieć o sobie coś, co ja już od dawna wiem. Twoja wrażliwość, bezkompromisowość i odwaga, by, jeśli to uznasz za stosowne, stanąć naprzeciw całemu światu, to cechy, za które cię podziwiam. I... Kocham, moja ty wojowniczo.

– A co ty, chłopcze, wiesz o moim wojowaniu? – I ja się już teraz roześmiałam. – Uważaj, żeby ci się nie odwidziało, kiedy wytoczę oręż przeciw tobie!

– A wiem, wiem! Kojarzysz juwenalia sprzed dwóch lat?

– Owszem, ale jeszcze wtedy nie byliśmy razem.

– Razem nie, ale z osobna. Pamiętam cię w takiej scenie, gdy jakiś podchmielony student tańczył, wymachując rosyjską flagą, a potem zaczął ją deptać. Wyszarpałaś mu ją spod nóg i wyrznęłaś w pysk. Reszty dokonała grawitacja. – Aleks znów się roześmiał.

– I ty to widziałeś? – zdziwiłam się, zwłaszcza że nigdy dotąd mi o tym nie mówił.

– Tak. Musiałaś jeszcze potem odparować kilka słownych ataków, bo gawiedź uznała, że to przecież tylko „ruska szmata”.

– Ruska nie ruska, jeśli dla kogokolwiek jest świętością, nikt nie powinien nią poniewierać! – znów wkurzyłam się na tamto wspomnienie. – No ale jak poznałeś, że to ja? Ciemno było, poza tym jeszcze nie znaleźliśmy się osobiście...

– Jeszcze nie, ale gdy zostaliśmy sobie przedstawieni, w jednej sekundzie się w tobie zakochałem.

– Czemu mówisz mi o tym dopiero teraz?

– Bo może byś... zadzierała nosa?

– Okej, lepiej późno niż wcale – oznajmiłam. – Zadzieram więc od dzisiaj.

– Proszę bardzo – zgodził się Aleks. – Bo teraz, gdy już jesteś moja, ja też mam powód do zadzierania nosa.

* * *

Takie były moje pierwsze wspomnienia, gdy spróbowałam w myślach wrócić do czasów, gdy podjęłam decyzję o sprzedaży rodzinnego domu. Gdyby kogoś zdziwiło, że osoba z tak wielkim przywiązaniem do rodziny i tradycji tak łatwo podjęła decyzję o pozbyciu się schedy po rodzicach, odpowiem: wcale nie było łatwo! Po prostu, gdy na szali stawało dobro człowieka i dobra materialne, dla mnie wybór, choć dramatyczny, mógł być tylko jeden. Podobnie było i w tym przypadku.

Dziś zdaję sobie sprawę z tego, że moja wrażliwość od zawsze graniczyła z delikatną anomalią natury psychicznej – pod tym względem byłam inna niż wszyscy znani mi ludzie. Większość nawet by nie zwróciła uwagi, że pszczoła tonie w kałuży, kot dręczy ledwo żywą z przerażenia mysz, że jakaś babcia wlecze siatkę z zakupami znacznie przerastającymi jej siły. Ja nigdy nie mogłam przejść obok takich obrazków obojętnie, nawet gdy moje interwencje w danej sprawie narażały mnie na śmieszność czy pogardę. Bo wtedy zawsze przychodziła mi do głowy jedna myśl: dla ciebie to tylko mały gest, dla kogoś życie. Moja wyobraźnia pracowała niestrudzenie, natychmiast dopisując do poszczególnych wydarzeń dalszy scenariusz: oczami duszy widziałam staruszkę upadającą pod ciężarem siatki wprost pod nadjeżdżający samochód. Albo małe, bezbronne, osieroczone myszki.

Od najmłodszych lat podobne podejście miałam nawet do roślin, uważając, że i one są zdolne do odczuwania bólu. Może dlatego, że całe swoje dzieciństwo, z powodu swego rodzaju wykluczenia ze środowiska rówieśników, spędzałam w świecie przyrody, w ogrodzie, na łąkach, w lesie? Może odziedziczyłam tę nadwrażliwość po babci, która również była niezwykle zżyta z naturą? Babunia miała w sobie bardzo wiele współczucia dla cudzej niedoli, bez względu na gatunek. Pochylała się nad wszystkim, co małe, niewydarzone, cierpiące. I ona, gdyby żyła, zrobiłaby wszystko, by pomóc Edycie, poświęciłaby się, przekraczając granice niemożliwego. Nieważne, że synowa nigdy wcześniej nie budziła jej sympatii. W obliczu cierpienia wszyscy stawali się dla niej równi, podobnie jak dla mnie.

Dlatego gdy któregoś dnia późnym wieczorem znów pojawił się Roger, sprawa została przesądzona w jednej chwili. Wujek wyglądał, jakby od kilku nocy nie kładł się do łóżka, był blady, sfatygowany, z zaczerwienionymi oczami.

– Ja już nie będę owijał w bawełnę, Sandra – oznajmił.

– To znaczy? – spytałam zaskoczona.

– Jeśli nie chcesz mieć na sumieniu swojej ciotki i mnie, musimy wyrównać stare rachunki.

Cofnęłam się przelęknięta, bo zabrzmiało to jak groźba.

– Nie rozumiem...

– Są takie długie, zwłaszcza moralne, które dziedziczy się z pokolenia na pokolenie. Dom, Sandra, dom! Musisz go sprzedać i oddać mi moją część.

– No co ty, wujku? Jak? – W pierwszej chwili pomyślałam, że ciotka zmarła, a on oszalał z rozpacz.

– Nie ma czasu, znalazł się dawca dla Edyty. I ja ci powiem jak. Mam już nawet kupca, wszystko potrwa najwyżej trzy dni. To wystarczająco dużo czasu, żebyś się mogła przeprowadzić.

– Dokąd? Do... ciebie?

– Gdzież tam! Mieszkanie sobie jakieś kupisz, za pieniądze z domu będzie i na operację dla ciotki, i na kawalerkę dla ciebie.

– W... trzy dni?! – Byłam w tak wielkim szoku, że w pierwszej chwili nawet nie oponowałam.

– Pewnie. Sam ci jakąś znajde, dasz zaliczkę i możesz mieszkać, a formalności załatwisz sobie później na spokojnie.

– O nie, nie, wujku, to niemożliwe. To szaleństwo jakieś. – Powoli zaczęłam odzyskiwać zdolność myślenia.

– Przeciwnie, to jest jedna i jedyna możliwość. Innej nie ma.

– Daj mi czas do rana – zażądałam.

– Czas? Nie ma czasu, rozumiesz?

– Tak. Ale jeśli mam pozbyć się domu w trzy dni, mogę to zrobić i w dwa, jeśli się zdecyduję – odparłam na tyle stanowczo, że Roger w końcu zamilkł.

– Muszę z kimś o tym pogadać, poradzić się, w pojedynkę mnie to zdecydowanie przerasta – tłumaczyłam, bo wujek jakby popadł w katalepsję.

Siedział bez ruchu i patrzył martwo w jeden punkt.

– Chcę to przedyskutować z moim narzeczoną, ale on nie może dziś do mnie przyjechać. Miał jakąś awarię instalacji wodnej i czeka na fachowców. Zobaczę się z nim najwcześniej jutro po zajęciach...

Wujek wolno odwrócił głowę w moją stronę i spojrzał na mnie.

– Nie może? W takim razie ty pojedź do niego. Ja poczekam.

– Jeśli pojedę, to może dziś już nie wrócę. Rano dam ci znać. W nocy przecież i tak nie będę się wyprowadzała – powiedziałam, a on znów znieruchomiał.

Wyglądał jak człowiek na skraju załamania nerwowego. Nie miałam sumienia go wypraszać.

– Jakbyś chciał wyjść, zamknij. – Położyłam przed nim zapasowy klucz.

* * *

Aleks mieszkał cztery przystanki autobusowe ode mnie, w małym, ale własnym mieszkanku, które ciągle jeszcze spłacał dzięki pieniądzom zarobionym na fuchach. Jako młody, zdolny student informatyki dostawał wiele różnych zleceń od osób prywatnych i firm. Wówczas jeszcze w jego zawodzie nie było u nas zbyt dużej konkurencji, a pieniądze z tego typu usług całkiem niemałe, więc mój ukochany postanowił zainwestować je w mieszkanie. Po ślubie miał przeprowadzić się do mnie, a środki ze sprzedaży mieszkania przeznaczyć na remont domu.

Był na mój widok tak zaskoczony, że kompletnie bez słowa wpuścił mnie do środka. Omal się nie wywaliłam, kręcąc piruety na mokrej podłodze, na szczęście Aleks w ostatniej chwili się otrząsnął i zdążył mnie podtrzymać.

– Przyjechałaś, by mi pomóc sprzątać, jak sądzę? – odezwał się w końcu.

– Nie ma sprawy, daj mi tylko odpowiednie narzędzia. – Rozejrzałam za jakimś mopem.

– Żartowałem. Siadaj i mów, co cię sprowadza, a ja będę zmywał i słuchał.

Nie mogąc patrzeć spokojnie, jak mój facet w pojedynkę walczy z błotnistą mazią, złapałam pierwszą lepszą szmatę i przyłączyłam się do niego. W trakcie tych czynności opowiedziałam mu, z czym przychodzę. Aleks znał już sprawę z grubsza, więc nie musiałam zaczynać od początku, i skupiliśmy się teraz oboje na kwestii domu.

– Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne – powiedział ze współczuciem. – Naprawdę, ja sam nie wiem, co bym zrobił na twoim miejscu. Sytuacja jest z tych, co to „tak źle i tak niedobrze”.

– Bo? – spytałam. – Nie ma naprawdę niczego, co mogłoby przechylić szalę i pomóc mi w podjęciu decyzji?

– Dla mnie nie ma. Gdybym nie sprzedał domu i ktoś z moich bliskich mógłby z tego powodu stracić życie, pewnie gryzłbym się tym do ostatnich dni. Gdybym sprzedał, a mimo to ktoś, komu chciałbym pomóc, zmarłby, mógłbym uznać swoją decyzję za nieprzemyślaną i również czuć z tego powodu dyskomfort. Gdybym jednak zdecydował się pomóc i byłaby to pomoc skuteczna, mógłbym nawet poczuć się jak bohater. Problem w tym, że nie da się zajrzeć w przyszłość...

– Dzięki, kochany! Wiem już, co mam zrobić. – Pocałowałam Aleksa z wdzięcznością, umyłam pośpiesznie ręce i ruszyłam szybko do wyjścia, licząc na to, że jeszcze zastanę u siebie Rogera.

– Hej? Nie powiesz mi? – zatrzymał mnie, gdy byłam już prawie za drzwiami.

– Nie muszę czuć się bohaterką, ale nie zamierzam się gryźć do końca swoich dni. Reszta jest kwestią ryzyka. – Pocałowałam go raz jeszcze i zbiegłam ze schodów.

Wujka już w moim domu nie było. Zjawił się z samego rana razem z kluczem. Powiedziała mu o swojej decyzji, a potem zadzwoniłam do Romka. Nie uważałam, żeby miał z tym cokolwiek wspólnego, ale uznałam, że jako mój brat powinien wiedzieć. Faktycznie, poprosił, żebym się z tym chwilę wstrzymała, ale myślałam wówczas, że chce sobie dać czas, by mnie odwieść od tej decyzji, a ciotka tego czasu nie miała...

* * *

Edyta żyje i to jest jedyny fakt, jaki jestem w stanie dziś w tej sprawie stwierdzić. Roger po operacji zadzwonił do mnie i poinformował, że transplantacja się udała i że wszystko idzie ku lepszemu. Bardzo chciałam ciotkę odwiedzić, ale przez jakiś czas jej stan temu nie sprzyjał. Zaszłam więc do nich jakieś półtora miesiąca później, bez uprzedzenia, bo akurat byłam w pobliżu. Ciotka była sama.

Wyglądała dobrze, ale bardzo niewiele mówiła. Gdy spytałam, jak się czuje, podziękowała zdawkowo. Nie nawiązywałam zbyt obcesowo do jej choroby czy szczegółów operacji, to oczywiste. Był to dla niej na pewno przykry temat, a poza tym nie chciałam, by pomyślała, że oczekuję podziękowań. Szczerze mówiąc, taka powściągliwość w słowach i gestach od zawsze leżała w jej naturze, wystarczyło mi więc, że widzę ją całą i zdrową. Nie, nie poczułam się „jak bohater”, ale ten rodzaj spokoju, jaki mnie wówczas ogarnął, sprawił, że poczułam się jak ktoś, kto dobrze wywiązał się ze swojej powinności.

Nasze kontakty na wiele lat się urwały, a ja znów, jak przedtem, nie miałam wielkiej ochoty na ich podtrzymywanie. Jednocześnie urwały się nasze kontakty z Romkiem. Myślałam, że zostało to spowodowane z jego strony zwyczajnym fochem, więc nie zamierzałam mu się z niczego tłumaczyć. Owszem, dzwoniłiśmy do siebie przed świętami, z okazji urodzin i imienin, ale chłód z jego strony dało się wyczuć z przysłowiowego kilometra.

Do wczoraj byłam przekonana, że żal brata do mnie miał charakter wyłącznie romantyczny, o zaprzecanie „ojcowizny”. Niestety, nie miałam pojęcia, że on chciał tę ojcowiznę odkupić... Choć patrząc z dzisiejszej perspektywy, może i dobrze, bo jak rzeczowo stwierdził Aleks, pewnie postąpiłabym tak samo, ale dylemat miałabym znacznie większy. Romkowi też powinnam być wdzięczna, że oszczędził mi tylu lat wyrzutów sumienia. Niestety, jak mawiała moja babcia, co się odwlecze, to nie uciecze...

ROZDZIAŁ XVI

Coraz głębiej w las

– Ale ja nie wiem, czy to jest ten sam, czy nie ten sam, nazwiska nie pamiętam – wił się Olaf, zdybany przeze mnie w końcu w wolniejszej dla niego chwili. – Imię jest dość charakterystyczne, więc mi się skojarzyło...

– W porządku, opowiedz mi więc o swoim Rogerze, a ja już będę wiedziała, czy o tego samego nam chodzi – nalegałam.

Olaf migał się od odpowiedzi na moje pytania dobry kwadrans, co jeszcze bardziej utwierdzało mnie w przekonaniu, że chce mi czegoś oszczędzić. Jednak w trakcie naszej rozmowy telefonicznej, gdy wracałam do domu po wyjściu od Stefańczyka, zaintrygował mnie tak bardzo, że nie zamierzałam mu odpuścić. Zwłaszcza że mój szef unikał mnie od kilku dni jak ognia, czyli w sytuacjach, które mógł uzasadnić brakiem czasu, ale i w takich, gdy nic go nie tłumaczyło.

– Kawy? – spytałam, rozsiadając się wygodniej, by mógł wreszcie pojąć, iż nie ma wyjścia.

– Sandra... daj sobie spokój, okej? – podjął ostatnią próbę.

– Mowy nie ma. Zamieniam się w słuch!

– No więc... – podjął, ale bardzo niechętnie – był taki facet o imieniu Roger, który kilka lat wstecz puścił w tym mieście kilka osób, jak to się mówi, w skarpetkach.

– Mów dalej – zaproponowałam łagodnie, by się nie rozmyślił.

– Mojego ojca, między innymi...

– Rany boskie... To znaczy? – wyrwało mi się, choć miałam zamiar milczeć.

– Dobra, powiem ci, co wiem – skapitulował. – W czasach tak zwanego galopującego kapitalizmu, gdy każdy nagle mógł zostać biznesmenem, pan Roger... bo tak go będę nazywał?

– Okej – zgrzytnęłam zębami.

– No więc ów pan Roger założył własną firmę produkcyjno-handlową. Kupił maszyny do robienia opakowań jednorazowych, pomysł był wówczas bardzo dobry, bo i restauracje, cukiernie i inne punkty handlowe zaczynały wówczas swoje produkty pakować we własnym zakresie, sklepy wprowadziły darmowe siatki foliowe, tak zwane reklamówki. I w ogóle, kupował różne rzeczy usprawniające pracę, komputery, drukarki, kserokopiarkę, zatrudniał nawet ludzi...

– To chyba raczej dobrze? – spytałam, bo z tego, co pamiętam, wynalazkiem „galopującego kapitalizmu” stało się w końcu również bezrobocie.

– W zasadzie... – Olaf zamilkł, jakby szukając odpowiednich słów. –

W zasadzie byłoby dobrze, gdyby on za te rzeczy płacił. Ale nie płacił.

– Jak to? Mówiłeś, że interes był opłacalny?

– Był, gdyby ktoś go poprowadził w racjonalny sposób. Czyli na zasadzie, że małą łyżką, ale z rozsądkiem. Roger, o którym j a m ó w i ę – to wyraźnie podkreślił – kupił na dzień dobry dwa auta: dostawcze i osobowe, wczasy spędzał na Majorce i innych Karaibach, małżonkę obkupił w futra i biżuterię. Wiesz, taka żona „na bogato” to też element prestiżu...

– Dobra, nie komentuj, mów dalej – ponagliłam, bo z tego obrazu jeszcze nie do końca wyłaniał się „mój Roger”.

– Niestety, wtedy jeszcze nie mógł sobie na takie mecyje pozwolić, więc nie starczało pieniędzy na płatności. Bo cały ten sprzęt, o czym ci jeszcze nie mówiłem, facet nabył od mojego ojca i nigdy za niego nie zapłacił. Tata sprowadzał go dla niego z zagranicy i w końcu sam musiał wyłożyć kasę, wpadając w niezłe tarapaty. Pracownicy pana Rogera również nie dostawali wynagrodzenia, obietnice jedynie, ale nie to było jego gwoździem do trumny, bo w tamtych czasach prywatne osoby, którym był coś winien, mogły jedynie sięść i płakać. Rzecz w tym, że lokal pod swoją działalność facet nabył od państwa i to ono upomniało się o swoje. I to by było na tyle – zakończył szybko Olaf.

– Zaraz, zaraz – nie pozwoliłam się zbyć. – Co było dalej, bo mam jakieś mgliste przeczucie, że wiesz?

– Nie wiem, Sandra. Naprawdę! Mój ojciec dał sobie z nim w końcu spokój, bo facet był dożywotnio niewypłacalny. Kontakt się urwał, ale z tego, co dziś wiem, po wielu latach zmyślnych uników i jemu w końcu komornik dobrał się do dupy.

– A więc o komorniku wiesz? – uściśliłam.

– Tak – odparł Olaf niechętnie. – Tylko że ta instytucja działa w taki sposób, że najpierw ostatnią koszulę zdejmie z uczciwego człowieka, natomiast ten, który jest rzeczywiście winien, najczęściej wychodzi cało. Niestety, chciwość pana Rogera była o wiele większa niż jego instynkt samozachowawczy, i to go zgubiło. Tata na szczęście odbił się od dna, gdy nastały bardziej sprzyjające czasy dla prywatnej inicjatywy.

– Nie wiesz może, również oczywiście przypadkiem, gdzie ów „pan” Roger podziewa się aktualnie?

– Pojęcia nie mam, a przy jego, że tak powiem... sprycie i inwencji z powodzeniem prowadzi własną działalność gdzie indziej...

– Na przykład... w Australii? – pojechałam po bandzie.

– Na przykład w Australii – potwierdził Olaf.

– Albo... gdzie? – spytałam, bo przecież według sugestii mojego męża wujostwo do Australii nie doleciało.

– Nie wiem. Może w jakimś... mniej uświadomionym rejonie kraju? –

podpowiedział mi niechęć.

Jego sugestia po raz kolejny odwiodła mnie od zaniechania zajmowania się tą sprawą. Nurtowało mnie teraz kolejne pytanie: czyżby to właśnie Bydgoszcz mogła być dla niego kolejnym biznesowym eldorado?

– Wiesz może, kogo jeszcze okantował Roger? – spytałam, korzystając z okazji.

– Wiem. Faceta, który ma w rynku warsztat samochodowy, Wojtaszek, zdaje się, nazywa, oraz dentystkę, panią Kwietniową, ale ona jest już na emeryturze i nie pracuje, nie wiem, gdzie ją znajdziesz. Jeśli poszkodowanych było więcej, może oni będą coś wiedzieć. Sandra... bardzo mi przykro, jeśli się okaże, że ten facet to twój wujek...

– Nie ma sprawy. Dzięki za pomoc, mam nadzieję, że poradzę sobie dalej sama.

Żał mi się zrobiło Olafa, bo postawiłam go w sytuacji bez wyjścia. Z pewnością nie było mu łatwo opowiadać mi podobne rzeczy o moim własnym chrzestnym, ale znając mój upór, nie mógł postąpić inaczej i dobrze o tym wiedział.

– Hej, głowa do góry – próbowałam go na koniec pocieszyć. – To ani twoja, ani moja wina, krewnych się niestety nie wybiera. Gdyby było inaczej, z pewnością ty byś do nich należał.

Olaf uśmiechnął się do mnie, a na jego twarzy zagościła wyraźna ulga.

* * *

– Posłuchaj, Aleks, mów, co chcesz, rób, co chcesz, ale ja zamierzam dowiedzieć się absolutnie wszystkiego – oznajmiłam mężowi jeszcze tego samego dnia, jak tylko streściłam mu moją rozmowę z Olafem.

Już nie zamierzałam działać w ukryciu, bo to kosztowałoby mnie jeszcze więcej nerwów.

– Tylko że motywy mam już zupełnie inne. Po prostu chcę wiedzieć, czy mam prawo chodzić po mieście z podniesioną głową, bo wygląda na to, że o machlojkach wujostwa wiedzieli wszyscy oprócz mnie – dodałam, gdy mój mąż nadal milczał.

– Oczywiście, że masz prawo – powiedział w końcu. – Nie odpowiadasz za cudze czyny.

– Nie, ale wstydzę się za nie tak, jakby były moje.

– Rób, jak uważasz, bo i tak mnie nie posłuchasz. – Aleks wzruszył ramionami. – Informuj mnie tylko o wszystkim na bieżąco, żebym mógł zareagować, jeśli się w coś wpakujesz.

Odpowiedź mojego męża trochę mnie rozczarowała. Nastawiłam się na to, że będzie oponował, przemawiał do mojego wątpliwego rozsądku i jak zwykle

martwił się na zapas. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że on wie, iż choćby nie wiem jak mnie odwodził od decyzji, ja i tak zrobię swoje. Zatem jego postawa, poza tym, że logiczna, pozwoliła nam zaoszczędzić wielu godzin bezowocnych dyskusji.

– Okej, masz to jak w banku, relacje będą rzetelne i systematyczne. – Uśmiechnęłam się, ale on mojego uśmiechu nie odwzajemnił.

– Aleks... – Objęłam go za szyję. – Przecież wiesz, że ja muszę...

– Wiem. Wiem też, że jak ty musisz, muszę i ja. Nie wymagaj więc ode mnie aprobaty, moja milcząca zgoda powinna cię satysfakcjonować.

Łasiłam się do niego tak długo, aż przestał się bocyć i zaczął się uśmiechać. I o to mi chodziło, bo w jego uśmiechu tkwił mój spokój i moja moc.

– Wiesz, w życiu bym nie pomyślał, że twój wujek byłby zdolny do takich działań – podzielił się ze mną swoimi wątpliwościami kilka godzin później. – W każdym razie nie z zimną krwią. Ja bym w tym upatrywał raczej jakiegoś rodzaju bezmyślności, a nawet głupoty, bo jakim draniem trzeba być, by żyć sobie wygodnie kosztem cudzej krzywdy? Twoi przodkowie nie mogli przecież wydać na świat podobnego niegodziwca.

– Też tak uważam – odparłam. – A w każdym razie uważałam, bo teraz już sama nie wiem... Dlatego właśnie mam zamiar poznać prawdę, raz kozie śmierć.

– Mogę wiedzieć, jak chcesz to zrobić?

– Będę chodzić od domu do domu i pytać: hej, czy mieszka tu ktoś, kogo mój chrzestny zrobił na szaro? – zażartowałam, choć nie było to zbyt dalekie od prawdy.

– Fajnie. Możesz przy okazji roznosić gazetki reklamowe, żeby ci się koszty zwróciły – zaśmiał się Aleks, a ja mu zawtórowałam niezbyt szczerze.

* * *

Na pierwszy ogień poszedł właściciel warsztatu samochodowego, bo ten znajdował się na mojej codziennej trasie „praca–dom”. Z bijącym sercem zabierałam się do sprawy. Nie bardzo miałam odwagę nagabywać faceta o przykre wydarzenia sprzed lat, a do tego było mi zwyczajnie wstyd. Śmiałości dodała mi nieoczekiwanie aparycja pana Wojtaszka, który wyglądał na spokojnego, dobrodusznego i miłego starszego pana. Poza tym zanim udało mi się zwrócić jego uwagę na moją osobę, ten dowcipkował sobie w najlepsze z młodymi pracownikami warsztatu. Dobra nasza – pomyślałam. – Jeśli gość ma poczucie humoru, to z pewnością nie pożre mnie na dzień dobry...

– Pani w sprawie? – spytał, gdy wreszcie mnie zobaczył.

– Prywatnej, niestety – westchnęłam.

– Ho, ho! Ale czemu niestety? – zaśmiał się rubasznie. – Brzmi całkiem interesująco.

– Obawiam się jednak, że w rzeczywistości wcale tak nie wygląda – przedłużałam ten wstęp, by go jakoś do siebie przekonać.

– Chłopaki, ruchy mi tu! – krzyknął do pracowników – Gdyż ja aktualnie z panią do kantorka na kawę idę!

– Dobra, dobra – odparł młody, umorusany od stóp do głów chłopak. – Obejdzie się bez nadzoru, wiemy, co mamy robić.

– Taa... aby was z oczu, nicponie, spuścić – bąknął pod nosem jego szef.

Na zapleczu warsztatu znajdował się mały pokoik, coś jak skrzyżowanie biura z prowizoryczną kuchnią i... łazienką. W kącie stała bowiem kabina prysznicowa, oddzielona od reszty pomieszczenia zielonkawą ceratą.

– To co? Kawki, jako się rzekło? – spytał Wojtaszek i wskazał mi wyliniały, obrotowy fotel.

– Nie, może nie... jeszcze pan nie wie, z czym przychodzę, a może się okazać, że nie zasługuję na tak miłą gościnę – odparłam zachowawczo.

– Na dobrą kawę zasługuje każdy, nawet ostatni zbój – uśmiechnął się gospodarz i nalał wody do czajnika. – A teraz słucham panią.

– Panie...

– Macieju – podrzucił, skłaniając się z galanterią.

– No właśnie... Panie Macieju, może ja się najpierw przedstawię: jestem siostrzenicą Rogera Talarczyka – tu zawiesiłam głos, czekając na jego reakcję.

Pan Wojtaszek wyraźnie spochmurniał.

– A tak, pamiętam – powiedział niechętnie. – Trudno kogoś takiego zapamiętać...

– Zrozumiem, jeśli nie będzie pan chciał ze mną na jego temat rozmawiać, ale od razu powiem, że to dla mnie bardzo ważne – zastrzegłam.

– No dobra, dawaj pani. – Postawił przede mną filiżankę obiecanej kawy i usiadł naprzeciwko.

– Chciałabym wiedzieć, czy mój wujek naprawdę pana oszukał, a jeśli tak, czy z premedytacją, czy po prostu tak mu wyszło, a raczej nie wyszło...

Pan Maciej milczał przez dłuższą chwilę, widocznie musiał się jakoś zebrać w sobie, by mi odpowiedzieć.

– Pani Talarczyk... – zaczął.

– Wasyl, po mężu – sprostowałam.

– Proszę pani, jeśli się bierze od kogoś grubą zaliczkę na określoną usługę, nigdy się tej usługi nie wykonuje i nie zwraca się pieniędzy, to ja nie wiem, jak to nazwać. Ja jestem prosty facet, ale mnie to wygląda na oszustwo, nie uważa pani?

– A... na co miała być ta zaliczka, jeśli można spytać?

– Na samochody. To były czasy, kiedy się NRD łączyło z RFN i Niemcy ze wschodu masowo pozbywali się swoich aut, bo to już nie był dla nich żaden luksus. Można było kupić bardzo okazjnie całkiem nową ładę, skodę, wartburga. Pani

wujek zajął się wówczas sprowadzaniem takich aut, to znaczy w teorii, bo nie wiem, czy jakiegokolwiek sprowadził. Ode mnie wziął zaliczkę na cztery, resztę miałem mu wypłacić, jak już mi je dostarczy.

– Nie dostarczył, prawda? – spytałam domyślnie.

– Prawda.

– A co z pieniędzmi? Czemu ich panu nie zwrócił? Nawet w ratach, jeśli mu się... jakoś rozeszły?

– Ano, bo tak mu się rozeszły, że na ament, proszę szanownej pani. Weszły mu w koszty.

– C... co?

– No tak. Wyłuszczył mi, że aut w okazyjnej sprzedaży aktualnie nie ma, a koszty manipulacyjne moją zaliczkę pożarły i też nie ma.

– Nie wierzę... – wyrwało mi się.

– Ja też nie wierzę, proszę pani.

– Nie wierzę, że Roger mógł zrobić coś takiego – doprecyzowałam.

– Skoro zrobił, to znaczy, że mógł. A tak w ogóle, po co się pani o to dopytuje? – Dopiero teraz pan Maciej zainteresował się powodem moich dociekań.

– Bo... to mój wujek, ojciec chrzestny. Do tej pory nie wiedziałam, że on w ten sposób z ludźmi postępował, a teraz, gdy już wiem, nie daje mi to spokoju. Chciałabym wiedzieć, jak to było naprawdę.

– Chce pani wiedzieć? – Wojtaszek uśmiechnął się blado. – To ja pani tę prawdę powiem: Roger Talarczyk to największy buc i skurwysyn, jakiego w życiu znałem. Menda i szuja. A krótko nie żyję, proszę pani...

* * *

Nie miałam już dziś ani siły, ani ochoty na podobne rewelacje, ale postanowiłam iść za ciosem. Miałam w torebce karteczkę z adresem dentystki, której Roger też coś tam był winien, udało mi się ją namierzyć z pomocą znajomych z pracy. Pani Kwietniowa po odejściu na emeryturę z państwowego ośrodka przez jakiś czas jeszcze przyjmowała pacjentów w domu, więc to nie była trudna sprawa.

Dentystka mieszkała na końcu miasta, w prywatnej willi. Wybrałam się do niej pieszo, wychodząc z założenia, że ruch dobrze mi robi. Jej dom był wielkim, ponurym przedwojennym budynkiem, a wejścia do niego strzegł biegający luzem owczarek. Już traciłam nadzieję, że uda mi się z kobietą porozmawiać, ponieważ przy furtce nie było dzwonka, a psisko na przyjazne nie wyglądało. Kiedy już miałam zamiar skapitulować, w oknie poruszyła się firanka i dostrzegłam w nim zarys ludzkiej sylwetki. Po długiej chwili do furtki podeszła drobna staruszka o ufarbowanych na płomienną czerwień włosach. Nie byłam najlepszej myśli, bo i pies, i jego pani wyglądali na równie niegościnnych. Ponadto zamożne staruszki

bywają nieufne, a Kwietniowa taką właśnie miała u moich znajomych opinię.

– Dzień dobry – przywitałam się, jak umiałam najgrzeczniej, i przedstawiłam z imienia oraz nazwiska.

– Raczej dobry wieczór, moja droga – skomentowała kobieta, bo mimo iż było jeszcze całkiem jasno, dochodziła godzina dwudziesta.

– No tak, dobry wieczór – poprawiłam się nieśmiało.

– Jeśli w sprawie uzębienia, to od razu powiem, że już nie lecę – zastrzegła.

– Nie, nie w sprawie uzębienia, raczej w prywatnej.

– Ale ja pani nie znam – oznajmiła, przyglądając mi się uważnie.

– Wiem, tak się jednak składa, że... mamy wspólnego znajomego. To o niego mi chodzi.

Miałam nadzieję, że ją to zainteresuje, a także że gdy pozna jego nazwisko, nie poszczuje mnie psem.

– Ja nie mam żadnych znajomych, moja droga – odparła, ale nie sprawiała wrażenia, jakby chciała zakończyć rozmowę.

– Przykro mi – tylko tyle przyszło mi do głowy.

– Przykro? Bogu dzięki, moja droga. Ludzie to szakale, powiem ci, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś.

Pani Kwietniowa była moim zdaniem trochę dziwna i coraz bardziej mnie onieśmielała, zwłaszcza że przysłam do niej w sprawie jednego z owych „szakali”. Wysilałam cały swój umysł i spryt, by bez większego uszczerbku na zdrowiu i honorze osiągnąć swój cel.

– No cóż, młoda jeszcze jesteś, więc pewnie masz na ten temat inne zdanie. – Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Myślę, że nie wszyscy ludzie są tacy sami, ale owszem, zdarzają się jednostki uprzykrzające życie bliźnim.

– Jednostki?! – prychnęła dentystka.

– Ja znam tylko jednego takiego, ale może faktycznie dlatego, że jestem jeszcze dość młoda. – Miałam nadzieję, że oto znalazłam sposób, by w końcu przejść do sedna.

– Drania?

– Drania to mało powiedziane. Buca i skurwysyna. Szuję – rzucałam epitetami zasłyszczanymi od Macieja Wojtaszka, choć serce mi krwawiło, bo mówiłam o swoim wujku.

Dentystka znieruchomiała. Przełękłam się, że pewnie przesadziłam.

– Szuję i skurwysyna, mówisz? – powtórzyła z namysłem. – Czyżby to miałyby być ów nasz wspólny znajomy?

Refleks i zdolność kojarzenia starszki wprawiły mnie w chwilowy szok.

– Tak, proszę pani... – odparłam w końcu.

– Ale który? Bo ja znałam wyłącznie takich – zainteresowała się starszka. –

Że już o moich trzech świętej pamięci małżonkach, synu oraz zięciu nie wspomnę...

– Roger Talarczyk się nazywa – wyznałam.

– Nie, moja droga. Roger Talarczyk nie jest szują i skurwysynem. Roger Talarczyk jest najzwyczajniejszym kutasem, pospolitym bandytą, niedorozwiniętym umysłowo złodziejaszkiem. Określenie szuja i skurwysyn kojarzy się z mężczyzną, a on jest normalną gnidą żerującą na naiwnych ludziach. Zapamiętaj to sobie.

Emerytowana dentystka wypowiedziała powyższy monolog z takim zaangażowaniem, że aż się zarumieniła.

– Co pani zrobił, jeśli można spytać? – próbowałam wykorzystać okazję.

– Orznął mnie na kupę forsy. Oddałam mu w komis całe wyposażenie gabinetu dentystycznego, gdy przestałam być czynna zawodowo, i nigdy nie ujrzałam ani grosza. Było i się zmyło.

– To straszne – skomentowałam. – Sprzedał to wszystko i nie oddał pani pieniędzy?

– W rzeczy samej. Twierdził jednak, że sprzęt był przestarzały i nie znalazł nabywcy.

– Sprzętu też nie oddał?

– Nie. Podobno koszty magazynowania przerosły jego wartość, więc wziął go pod zastaw, dopóki mu nie zwrócę.

– Czego?

– No, tych kosztów. Ma-ga-zy-no-wa-nia – przesylabizowała, gdybym miała nadal nie zrozumieć. – A ciebie? Na ile orznął?

– Właściwie... nie da się tego przeliczyć na pieniądze. Roger Talarczyk to mój wujek – wyjaśniłam i tym razem ja spiekłam raka.

– Wobec tego łączę się w bólu, wejdz. – Staruszka nogą odepchnęła od furki psa. – Bez obawy, Pulpit cię nie ugryzie.

– Nie mogę niestety, już późno, mąż będzie się martwił – zaprotestowałam nieśmiało.

– Który?

– No, mój...

– Ja się nie pytam czyj, tylko który.

– Pierwszy – odparłam zdziwiona, ponieważ kobieta widocznie posiadanie kilku mężów uważała za normę.

– No to faktycznie, będzie. Zadzwoń i powiedz, że wrócisz później.

Nie widząc innego wyjścia, sięgnęłam do torebki po telefon. Aleks rzeczywiście zamartwiał się o mnie od dobrych dwóch godzin, o czym świadczyły nieodebrane połączenia. Idąc do pana Wojtaszka, wyciszyłam aparat i zapomniałam o tym na śmierć. Nie był specjalnie zadowolony, gdy

poinformowałam go, że wrócę za jakąś godzinę, ale przyjął to do wiadomości.

ROZDZIAŁ XVII

Dramat zazwyczaj rozgrywa się w ciszy

Moja nowa znajoma okazała się przy bliższym poznaniu kobietą niezwykle towarzyską albo raczej towarzystwa złąknioną. Mimo twardego stanowiska, że „człowiek człowiekowi wilkiem”, dostrzegając w owym wilczym stadzie jednostki godne uwagi i taką niestety okazałam się być ja. Z uwagi na machlojki Rogera nagle zostałam obdarzona przez panią Kwietniową zaufaniem, którym cieszyć mógł się u niej mało kto. Dentystka sięgnęła do frymuśnej secesyjnej witryny po flaszeczkę koniaku i niestety nie wchodziło w grę żadne oponowanie z mojej strony. Do tej pory, jeśli już mi się zdarzało pić alkohol, było to wyłącznie wytrawne czerwone wino w bardzo niewielkich ilościach, dlatego już po pierwszej lampce wypitej na prawie pustym żołądku poczułam się bardzo kiepsko. Ku wielkiemu rozczarowaniu dentystki, której się zdawało, że wreszcie znalazła godnego kompana do podzielenia się swoim ulubionym trunkiem.

– No nie, moja droga, nie rokuje to niestety najlepiej – stwierdziła zniesmaczona, gdy hamując z całych sił odruch wymiotny, spytałam o toaletę.

Zaprowadziła mnie jednak w upragnione miejsce, bo nogi też mi jakoś wymiękły.

– Wyjmij zęby, żebyś ich nie wyrzygała – doradziła.

– Szwo... szwoje mam, własne – odparłam, walcząc ze zbierającą się w ustach śliną, bo jej uwaga, pewnie oparta na własnych doświadczeniach, uraziła mnie do żywego.

Dobrze się stało, że mój organizm sam odrzucił pierwszą dawkę alkoholu, bo kolejnej bym pewnie nie przeżyła. Horror, jaki miał miejsce w toalecie dentystki, był najgorszą rzeczą, jaka mnie kiedykolwiek spotkała.

Gdy w końcu udało mi się opuścić ten przybytek, w salonie pani Kwietniowej siedział... Aleks. Był chyba nie mniej blady niż ja.

– Pozwoliłam sobie zadzwonić po twojego kochasia – oznajmiła. – Był u ciebie w komórce pod hasłem „pierwszy mąż”.

– Jak to? – spytał Aleks, którym słowa dentystki widocznie wstrząsnęły mocniej niż mój wygląd.

– No, może bez „pierwszy” – sprostowała kobieta. – Ale był, to zadzwoniłam.

– Bardzo dziękuję. – Czułam dla niej prawdziwą wdzięczność, bo ciągle jeszcze miałam wrażenie, że są to moje ostatnie chwile. – I przepraszam cię, Aleks – dodałam. – Tak jakoś... wyszło.

– Masz szczęście, że jutro sobota, bo chyba nie byłabyś zdolna iść do pracy – powiedział raczej z troską w głosie niż złością. – Chodź, idziemy do domu.

– Nie będziesz jej chyba robić z tego powodu wyrzutów – zastrzegła dentystka. – Widać, że nieboraczka pod kloszem chowana, nieobyta towarzysko, i to twoja wina. Mój drugi mąż był taki właśnie, chciał mnie krótko trzymać, ale źle w końcu na tym wyszedł.

– To znaczy? – zainteresował się Aleks.

– Umarł.

– Naturalną śmiercią? – wyrwało mu się, dość logicznie zresztą.

– Niekoniecznie. Ale sam się targnął – wyjaśniła domyślnie kobieta.

Aleks spojrział na mnie z uwagą, ale w kącikach jego ust czaił się uśmiech.

– Myślisz, że i mnie to grozi? – spytał.

– Tylko wtedy, gdy mnie będziesz krótko trzymał – odparłam.

Kobieta odprowadziła nas do furtki, przytrzymując za obrozę psa. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu na koniec wyznała, że poczuła do mnie ogromną sympatię, i wyraziła nadzieję na kolejne spotkanie.

– Zamierzasz podtrzymywać tę znajomość? – spytał Aleks już w samochodzie.

– Raczej nie – odparłam zachowawczo. – Bardzo dziwna kobieta, choć w gruncie rzeczy sympatyczna.

– Powiem ci, Sandra, w charakterze umiarkowanych wyrzutów, że od zmysłów przez cały wieczór odchodziłem. Wyszłaś rano do pracy i przepadałaś, nie odbierałaś telefonów, a jak już odebrałaś, dowiedziałem się, że wracasz za godzinę, ale słowem nie wspomniałaś o tym, gdzie jesteś. Później znów twoja komórka zamilkła. Minęła jedna godzina, minęła druga, a z tobą zero kontaktu. Ze trzy razy nagrałem ci się na pocztę i nadal nic. Jak sądzisz, co mogłem myśleć?

– Wybacz, kochany – przeprosiłam ze skrucą. – Ja... naprawdę, nie mam dla siebie żadnego wytłumaczenia. Bo bezmyślność mnie raczej nie usprawiedliwi, prawda?

– Nie chodzi mi o usprawiedliwienia, tylko żebyś mogła zrozumieć, co czuje człowiek postawiony w takiej sytuacji. Na szczęście twoja „koleżanka” miała na tyle przytomności umysłu, żeby do mnie zadzwonić. Równie dobrze mogła cię po prostu położyć spać, a ja bym się do rana zamartwił na śmierć...

– Jak dobrze, że impreza skończyła się jeszcze dziś, bo jutro też bym już nie żyła. – Ścisnęłam go mocno za rękę.

Po powrocie do domu miałam jeszcze tylko tyle siły, by się umyć. Aleks zrobił mi kolację i przyniósł do łóżka.

– Musisz coś zjeść, żeby całkiem dojść do siebie – uparł się, a ja, mimo iż każdy kęs dosłownie rósł mi w ustach, posłusznie spełniłam jego polecenie.

– Wiesz, chyba teraz rozumiem motywy ludzi, którzy topią swoje utrapienia

w alkoholu. Tego, czego się dowiedziałam o Rogerze, nie dało się przełknąć na trzeźwo – rzuciłam konkluzją. – Zwłaszcza różnych epitetów i bluzgów, przy których słowo „drań” brzmiało wręcz pieszczotliwie.

– To przykre, mam jednak nadzieję, że nie uznałaś popijania za skuteczny sposób na rozwiązywanie problemów? – Aleks uśmiechnął się do mnie bez gniewu, a ja po raz kolejny poczułam siłę jego miłości do mnie.

– Nie, raczej na ich piętrzenie. – Przytuliłam się do niego z wdzięcznością. – A ja sobie teraz uświadomiłam, że do dziś nie wiem, kto jest twoim ojcem chrzestnym.

– Kuzyn mojej mamy, nie miałaś okazji go poznać. Ja sam od dawna nie mam z nim żadnego kontaktu.

– Czemu?

– Bo ja wiem? To taka funkcja... raczej symboliczna, wydaje mi się. Niezobowiązująca do niczego. Może dawniej bywało inaczej, ale teraz już chyba nikt nie przywiązuje szczególnej wagi do takich rzeczy.

– Masz rację. Chyba że jedna ze stron jest tak absorbująca jak mój chrzestny dla mnie.

– I jeśli jedna ze stron pozwala się zaabsorbować drugiej w takim stopniu jak ty Rogerowi – zauważył Aleks przytomnie. – Śpij już, kochanie, jutro mi wszystko opowiesz.

Aleks otulił mnie kołdrą, zabrał tacę z resztkami mojej kolacji i wyszedł cicho z sypialni.

* * *

– A teraz mam jeszcze jedną wątpliwość – podsumowałam moją szczegółową relację z wczorajszych rozmów z Wojtaszkiem i Kwietniową.

– Tak? – Aleks uniósł wysoko brwi z udawanym zaciekawieniem.

– Tak i nie kpij sobie, proszę.

– Nie kpię, raczej się obawiam tego, co usłyszę. – Zmienił szybko ton i wyraz twarzy.

– Mam mówić czy nie?

– Mów, wolę być na bieżąco we wszystkim.

– Zastanawiam się, jak ciotka Edyta była w stanie wyrzucić na Rogerze aż taką presję, by posunął się do najzwyklejszych oszustw, bo niestety już nie mogę tego inaczej nazwać. A jeśli tak, jak tego dokonała? I czy można mieć aż takie parcie na forszę, by z zimną krwią ograbić z niej innych ludzi? Mało tego, radośnie ją wydawać, mając świadomość, że ciąży na niej ludzka krzywda? Bo to ona głównie z niej korzystała, strojąc się jak angielska królowa.

Aleks spoważniał teraz całkiem na serio. Zmarszczył brwi i przez chwilę patrzył bez słowa przed siebie.

– No właśnie... ja tego też nie rozumiem. Przede wszystkim nie wydaje mi się możliwe, że człowiek, który nie ma żadnych oszukańczych zapędów, da się komuś do takich działań nakłonić.

– I mnie coś takiego przyszło do głowy, ale może po prostu zgłupiał z miłości do niej? Sama już nie wiem, co o tym myśleć.

– Więc w ogóle o tym nie myśl. Dowiedziałaś się, czego się chciałaś dowiedzieć, i skończ już z tym, okej? To już moim zdaniem nieważne, bo co się stało, już się nie odstanie.

– Wiem. Ale ciekawa jestem po prostu...

– Sandra, zlituj się, proszę, jeśli już nie nade mną, to przynajmniej nad sobą i skończ z tym bezsensownym dochodzeniem.

– Skończę, obiecuję, ale najpierw jeszcze odwiedzę Lucjana.

– Po co? Co on ma z tym wszystkim wspólnego? – zdziwił się Aleks.

– Nic, ale jako najstarszy brat mamy i Rogera może wie coś więcej o pożyciu wujka i ciotki. Może... no nie wiem...

– Nie wiesz i niczego więcej się nie dowiesz – podsumował Aleks. – I zadaj sobie pytanie, po co chcesz wiedzieć więcej, a następnie sobie na nie odpowiedz.

– Po co? Bo ta sprawa w dalszym ciągu jest dla mnie bardzo niejasna, a dotyczy mojej najbliższej rodziny.

– Okej, a jeśli już się wyjaśni?

– To... mi ulży! – odparłam zdecydowanie.

– Tak jak ci ulżyło po wczorajszym – skomentował Aleks z ironią. – Ale dobrze, idź do tego Lucjana, przecież nie mogę cię odwozić od spotkania z dawno niewidzianym krewnym.

– I to jest właściwy wniosek. – Pocałowałam męża z czułością, na jaką zasługiwał.

* * *

Po obiedzie nakłoniłam Aleksa do częściowego towarzyszenia mi w tej wizycie. Częściowego, bo chodziło mi tylko o przywiezienie i zawiezenie. Wujek Lucjan nie mieszkał w naszym mieście, przeprowadził się do swojej żony jakieś trzydzieści kilometrów od rodzinnej miejscowości. Szczerze mówiąc, nie musiałam Aleksa zbyt długo na tę eskapadę namawiać, bo już on sam wolał mieć kontrolę nad moim powrotem do domu. Nie chciałam, by uczestniczył w mojej rozmowie z Lucjanem, miał więc spędzić godzinkę, spacerując po okolicy. Na to też zgodził się bez protestu.

Wujek Lucjan był bardzo zaskoczony na mój widok, zwłaszcza że nie uprzedziłam go o swojej wizycie. Nie chciałam dwa razy się tłumaczyć z powodu swoich nagłych odwiedzin i nie chciałam też, aby ciocia przygotowywała się z ich powodu jakoś szczególnie.

– Coś się stało? – spytał przełknięty, bo widywaliśmy się naprawdę nieczęsto i raczej nie bez konkretnego powodu.

Lucjan i jego żona, ciocia Basia, nie byli za bardzo towarzyscy. Oboje cisi i małowówni, rzadko kiedy dawali się zaprosić na spotkania w gronie rodziny. Dawniej, gdy żyła babcia, wpadali do nas tylko w czasie jej urodzin, żadne inne wspólne imprezy nie wchodziły w grę. Lucjan nie pił, nie palił, nie gustował w radosnym gwarze i głupich kawałach biesiadników, ciocia Basia podobnie. A gdy odwiedziło się ich, ciocia zastawiała stół „na bogato” i jedynym zdaniem, jakie od czasu do czasu powtarzała, było „częstujcie się, kochani”. Wizyty w domu Lucjana polegały więc głównie na objadaniu się i rzadkiej wymianie zdań na tematy ogólne, a to nie sprzyjało podtrzymywaniu kontaktów.

– Nie, nic się nie stało, wujku – odpowiedziałam. – Chodzi o to, że... – tu zawahałam się przez chwilę – chciałabym o czymś porozmawiać.

Wujek gestem zaprosił mnie do środka i zaprowadził do salonu.

– Gościa mamy, Basiu – oznajmił cioci, która oglądała w telewizji jakiś film.

– Ojej, Sandra! A ja nie mam cię czym poczęstować – zatroskała się ciocia, wyłączyła telewizor i podreptała do kuchni.

Wbrew temu, co powiedziała, po chwili postawiła na stole talerz z domowym ciastem.

– Zdaję sobie sprawę, wujku, że cię zaskoczę, ale przyjechałam do was, bo chciałabym zapytać o Rogera i Edytę.

Wujek i ciocia spojrzeli na siebie, potem znów na mnie.

– Mogę? – spytałam, bo z ich postawy nie wyczytałam niczego.

– Pytaj – odparł wujek.

– Nie będę was raczyła aktualnymi opowieściami o nich, powiem tylko krótko, że wyjechali i tak naprawdę nie wiem dokąd. Chodzi o to, że całkiem niedawno dowiedziałam się o różnych, że tak powiem, nieprzyjemnych sprawach dotyczących wujka.

Lucjan i Basia znów milcząco spojrzeli na siebie.

– Wygląda na to, że małżeństwo z Edytą nie bardzo mu posłużyło – powiedziałam, przewidując, że nasza rozmowa będzie w większości moim monologiem. – Babcia zawsze twierdziła, że ta kobieta ma na niego zły wpływ, ale nawet w najczarniejszych domysłach nie przyszłoby mi do głowy, że aż taki...

Zawiesiłam głos, licząc na jakiś komentarz, ale ani wujek, ani ciocia nie odezwali się ani słowem.

– Więc ja to widzę w ten sposób – podjęłam znowu. – Roger wziął sobie za żonę ślicznotkę, która jego zdaniem zasługiwała na odpowiednią oprawę. Obsypywał ją więc drogimi rzeczami, a gdy dochody z państwowej pracy przestały na to wystarczać, założył własną firmę. Niestety, nie miał głowy do interesu, więc mu się nie za bardzo wiodło. A gdy jeszcze do tego przyszła choroba ciotki,

chłopina się załamał i zaczął zdobywać pieniądze jak popadło, posuwając się do różnych przekrętów...

Znowu na chwilę umilkłam. Lucjan nadal milczał, ciocia też, ale zaczęła wyraźnie wiercić się na krześle.

– Chcę, żebyście wiedzieli, że nigdy nie uważałam Rogera za faceta bez skazy, ale chciałabym wierzyć, że nikt z naszej rodziny nie byłby zdolny sam z siebie do oszustw graniczących ze zwykłą kradzieżą.

Skończyłam swój wywód i tym razem postanowiłam poczekać do skutku na jakikolwiek odzew.

– No i tu się mylisz – odezwał się wujek znacznie szybciej, niż się spodziewałam. – Mój brat, niestety, zawsze był szują i taki już został. Pępek świata, jak to się mówi. Już od dziecka wszystko musiał mieć najlepsze, wszystkiego najwięcej i mimo iż mama obdzielała nas po równo, on zawsze znalazł sposób, żeby uszczknąć jeszcze z cudzego. Taki był. Niestety, nasza mama, a twoja świętej pamięci babcia nie dostrzegają jego wad. Roger był w jej oczach tym najsłabszym, najbiedniejszym dzieckiem, któremu czuła się w obowiązku we wszystkim pomagać. I wcale nie był aż tak chorowity, jak uważała, ot, umiał dobrze udawać, żeby się migać od roboty.

Tym razem ja na chwilę zamilkłam, zdumiona słowotokiem wujka, jakiego dotąd nie słyszałam.

– Czemu więc nie mówiliście mamie o tym? – spytałam w końcu. – Może zaczęłyby go w końcu oceniać bardziej obiektywnie...

– Czemu? – Lucjan zaśmiał się gorzko. – Bo nam się to zwyczajnie nie opłacało. Mama i tak wierzyła zawsze jemu, a nie nam, poza tym od skarżenia był w naszym domu Roger. Zanim ktoś by coś na niego powiedział, on był ze swoimi żalami pierwszy, a mama miała ciężką rękę...

– Chcesz powiedzieć, że Edyta nie musiała na niego jakoś specjalnie wpływać, bo jak to się mówi, „trafił swój na swego”?

– Właśnie że nie! – Nieoczekiwanie w rozmowę włączyła się ciocia Basia. – Jeśli w ich rodzinie ktokolwiek miał choć kawałek sumienia, to właśnie ona.

– Co ty mówisz, ciociu? – zdumiałam się ogromnie.

– Tak właśnie było! Roger nią kręcił, jak chciał, i bardzo mu pasowało, że wszystko zawsze było na nią.

– Przykro mi, ale nie wierzę – zaprotestowałam. – Po co Edyta miałaby się godzić na taką rolę? Czemu miałaby dobrowolnie godzić się na opinię czarnej owcy? Z miłości do Rogera?

– Nie, ze strachu – odpowiedział mi krótko wujek.

– Ze strachu? – powtórzyłam odruchowo.

– Tak – potwierdziła ciocia. – Niestety, nikt poza nami nie wiedział o tym, że Roger ją bił.

– Jak... to?

– Kilkanaście lat temu Edyta do nas przyjechała. Wyglądała tak, że trudno ją było poznać. Płacząc, opowiedziała nam, jak potraktował ją mąż i że to nie był tylko ten jeden raz. Została do rana, namawialiśmy ją, żeby to zgłosiła, gdzie trzeba, ale się nie zgodziła. Gdy się trochę uspokoiła, wróciła do domu.

– Czemu? – spytałam wstrząśnięta.

– Co by to dało? – dołączył się do rozmowy wujek. – Nawet jeśli się sprawą zajęła policja, w naszej rodzinie nikt by jej nie uwierzył, ba, stałaby się jeszcze większym wyrzutkiem. I co by wtenczas z sobą zrobiła? Bo wiesz chyba, że z własnym bratem Roger również skutecznie ją skłócił. Byłby tylko wstyd na całe miasto, a pomocy znikąd.

– A... Aneta? Miała już przecież własny dom, nie mogła zabrać matki do siebie? Poza tym ona chyba musiała wiedzieć, co się u nich w czterech ścianach działo.

– Aneta niestety poszła w tatusia – podsumował wujek. – I jak on jest zapatrzona wyłącznie w samą siebie. Ech, szkoda gadać!

– To dlatego tak niechętnie do nas przyjeżdżaliście? – spytałam, bo to by ich niechęć do rodzinnych spotkań dostatecznie tłumaczyło.

– A ty jak byś się czuła, gdyby uwaga twojej matki przez cały czas była skierowana na najmłodszego synusia, jemu byłyby podsuwane najlepsze kąski i wyłącznie jemu przesyłane czułe spojrzenia? Gdybyż on jeszcze był tego wart... Bo ja nie jestem zazdrosny. Ale ta jego obłuda... była dla mnie nie do zniesienia.

– I dla mnie – dodała ciocia. – Mnie najbardziej było Edyty żal, ale pomóc się jej nie dało w żaden sposób. Wolałam więc nie oglądać, jak on jej przy ludziach nadskakuje, w rączkę cmoka, na talerze nakłada. Bo bym... go chyba opluła!

– Ale moja mama chyba o niczym nie wiedziała, co? – spytałam z nadzieją.

– Nie wiem, nigdy z Benią na ten temat nie rozmawiałem – odparł wujek. – A jeśli się domyślała, na pewno wolała się do niczego nie mieszać.

No tak – pomyślałam. – To przecież w Rogerze płynęła nasza krew i gdyby przyszło co do czego, rodzinna solidarność nakazałaby wszystkim stanąć w jego obronie. Być może nawet i Lucjan musiałby stanąć po „właściwej” stronie, dlatego najzwyczajniej się ze sprawy wymiksował.

Podziękowałam wujostwu za rozmowę i tłumacząc się tym, że Aleks już pewnie na mnie czeka, pożegnałam się i wyszłam. Ciocia koniecznie chciała podjąć ciastem i jego, ale udało mi się skutecznie w jego imieniu wykręcić.

– I co? Domyślałam się, że ci ulżyło? – spytał Aleks, jak tylko wsiadłam do samochodu.

Było to raczej stwierdzenie ironiczne, bo na mojej twarzy malowało się z pewnością coś zupełnie przeciwnego.

– Może lepiej nie pytaj po prostu – zaproponowałam ponuro.

- Dobrze. Zapytam więc inaczej: co zamierzasz w dalszej kolejności?
- Na dziś mam już dosyć, ale jutro niedziela, bardzo dobry dzień na rodzinne wizyty. Zamierzam zaprosić do nas mojego brata.

ROZDZIAŁ XVIII

Mało dyskretny biurowy romansik

Właściwie sama nie wiem, czego się spodziewałam po spotkaniu z Romkiem. Chyba musiałam się po prostu z kimś swoją wiedzą o Edycie podzielić, a on się do tego nadawał najlepiej, w końcu od lat znał ich oboje. Zaprosiłam więc brata, bratową i bratanka, jak dawniej, na niedzielny obiad, upiekłam nawet sernik na deser. Przyszli we dwójkę, Bartek był już dużym chłopakiem i miał własne towarzystwo.

– Witaj, Sandro. – Bratowa cmoknęła mnie w policzek. – Błada jakaś jesteś – dodała z właściwą sobie bezpośredniością.

– Dalej się bawisz w detektywa? – spytał Romek i wręczył mi blachę z drugim sernikiem.

– A jak sądzisz? – zapytał go Aleks, co było jednocześnie odpowiedzią na jego pytanie.

– No to ja myślę, że obiad nie będzie dziś gwoździem programu. Mam rację?

– Nie masz – odparłam. – Gwoździem będzie obiad, a o reszcie przy deserze.

Stół nakryliśmy z Alekssem znacznie wcześniej, przyozdobiony pietruszką i plasterkiem marchewki makaron był już w talerzach, Aleks postawił na stole wazę z gorącym rosołem, a ja zrobiłam resztę.

– Widzę, że nie zapomniałaś maminego przepisu – stwierdził Romek z uznaniem po pierwszej łyżce.

– Praktykuję od czasu do czasu. Mniej więcej dwa razy do roku, widać tyle wystarczy, by nie wyjść z wprawy – odparłam ze śmiechem.

– A ja w każdą niedzielę – powiedziała bratowa z dumą.

– Wobec tego gratuluję – zwrócił się Aleks do Romka.

– I słusznie, bo to ja pilnuję, żeby tradycji stało się zadość.

– Myślisz, że gdybyś nie pilnował, to ja bym nie gotowała? – obruszyła się bratowa.

– Gotowałybyś. Chińszczyznę i pawie języki – droczył się z nią brat. – Bo takie masz zapędy i gusta.

– Jeśli od czasu do czasu zjesz coś innego niż rosół i pomidorowa albo schabowy lub smażony kurczak, wyjdzie ci tylko na dobre. Kuchnia chińska jest zdrowsza niż nasza.

– Co z tego, kiedy nie taka smaczna?

– No widzisz, Sandra? I co ja mam z takim... antysmakoszem zrobić? – Bratowa powołała mnie na swojego sprzymierzeńca. – Człowiek się stara,

wymyśla, przyrząda, a on tylko narzeka.

– Przepraszam cię bardzo, w niedziele nie narzekam – zaprotestował brat.

– Tylko w pozostałe dni tygodnia – dodała bratowa. – Rzecz w tym, że Roman zawsze by jadł coś innego niż my z Bartkiem, a ja nie będę gotowała dla każdego z osobna.

– To chyba całkiem rozsądny kompromis – wtrącił się Aleks. – Niedziela dla ciebie, dni powszednie dla rodziny. Zwłaszcza że ich jest dwoje, a ty jeden.

– A czy ja mówię, że nie? – zaśmiał się Romek. – Kobieta moja kłótliwa jest z natury i po prostu audytorium sobie znalazła. Prawda, Ulka? Odkręć teraz wszystko, bo siostra i szwagier mogą dojść do wniosku, że u nas w rodzinie panuje niezgoda.

Bratowa spojrzała na nas zdziwiona.

– Chyba nie pomyśleliście w ten sposób? – spytała z przejęciem.

– Ależ skąd – odpowiedzieliśmy niemal jednocześnie i od tej pory każdy skupił się na swoim talerzu.

Po drugim daniu nie zaprotestowałam, gdy Urszula zabrała się za krojenie swojego sernika. Była dość wyczulona na temat swojej kuchni, więc nie chciałam prowokować kolejnej dyskusji na tematy kulinarne.

– A teraz gadaj, co cię gryzie – zażądał Roman. – Miało być przy deserze, kobyłka u płota.

Opowiedziałam pokrótce wszystko, czego dowiedziałam się o Rogerze, by skupić się nieco bardziej na jego małżonce. Słuchali w skupieniu, nie przerywając i nie komentując, nawet Romek nie wtrącał swoich życiowych mądrości.

– Zawsze przypuszczałem, że nasza Edyta wcale nie ma się tak dobrze, jak się wam wydawało – powiedział, gdy skończyłam mówić.

– Naprawdę? – zdumiałam się, bo nigdy mi o tym nie wspominał.

– Owszem. Może widziałem i słyszałem więcej niż wy wszyscy, a może tylko nie byłem do niej aż tak uprzedzony, żeby mi to przysłoniło trzeźwość rozumowania.

– No ale... jakie miałeś podejrzenia? Ja niczego nie zauważyłam.

– Przecież to zawsze Roger przyjeżdżał do nas w sprawie wydumanych należności, to on naciągał babcię na kasę, on się użalał i robił z siebie wieczną ofiarę. Zawsze sam, bez małżonki. Ona nigdy słowem nie wspomniała, że jej czegoś w życiu brakuje.

– Też bym nie wspominała, wołałabym męża wysłać – skomentowałam.

– Zważ jednak, siostro, że Rogera znaleźliśmy znacznie wcześniej niż jego żonę, i o ile sobie przypominasz, on zawsze był taki.

– Ja nie, byłam za mała, żeby go pamiętać jako kawalera.

– No dobrze, ale głucha nie byłaś, gdy rodzice o nim rozmawiali? Albo gdy mama nam o nim opowiadała?

– Babcia miała na jego temat inne zdanie i to babci wierzyłam – szepnęłam zmieszana.

– No właśnie. Ale babcia była Rodzusiem totalnie zaślepiona, więc udzieliło się i tobie.

– Nieprawda! Ja nim zaślepiona nie byłam! – zaprotestowałam. – Uważałam po prostu, że z uwagi na swoje niedomagania zdrowotne został wychowany jak klasyczny maminsynek i że nie był w pełni winny swojego paskudnego charakteru. Było mi go nawet żal...

– To właśnie moja cnót pełna siostra. Naiwna jak dziec-ko we mgle. – Mówiąc to, Roman spojrzął znacząco na Aleksa. – Ty, szwagier, wiesz coś na ten temat, prawda?

– Nie nadawaj mi tu, proszę, na moją żonę, bo to, co w twoich oczach jest jej wadą, dla mnie jest może zaletą. – Aleks walecznie ujął się za mną.

– Sorry – zreflektował się Romek. – W końcu mleko się już rozlało, ja jej na nowo nie wychowam, a skoro tobie pasuje taka, jaka jest, pozostaje mi się tylko cieszyć.

– Dajcież spokój – weszłam pomiędzy nich. – Nie o mnie tu chodzi, tylko o Edytę.

– No więc powtórzę jeszcze raz: to, czego się dziś od ciebie dowiedziałem, wcale mnie nie dziwi – powiedział Roman. – Nie miałem nigdy konkretnych dowodów, że to Edyta jest w tym układzie ofiarą, ale jak to mówią śledczy, były poszlaki.

– A konkretniej?

– Mówiłem ci przecież. Sam Roger jest jedną wielką poszlaką, a poza tym tak zahukana kobieta jak ona nie mogła mieć na niego żadnego wpływu. Ani w jedną, ani w drugą stronę. Po co zresztą, skoro on sam miał wystarczające predyspozycje do łajdactwa?

– Uważasz, że Edyta była zahukana?

– A nie? Słyszałaś, żeby poza przytakiwaniem Rogerowi cośkolwiek od siebie mówiła?

– Babcia uważała, że to zwyczajny spryt i przebiegłość z jej strony.

– Raczej wątpię, znając baby. Moim zdaniem nie ma żadnej takiej na świecie, której dałoby się zamknąć usta z innego powodu niż ze strachu. A jeśli Edyta była taka wredna, jak się uważało, nie ma siły, żeby sobie od czasu do czasu nie pofolgowała jakimś babskim, pełnym pretensji do świata słowotokiem.

Sposób rozumowania Romana, aczkolwiek dość prymitywny, nie był pozbawiony pewnej logiki. Teraz dopiero przyszło mi do głowy, że gdyby Edyta w istocie była taka cwana, sama by się starała wkraść w łaski babci. Ja w każdym razie tak bym na jej miejscu zrobiła. Dla cwanych kobiet nie ma rzeczy niemożliwych, więc przy odrobinie samozaparciu mogła nawet stać się jej ulubioną

synową, ale ona nigdy o to nie zabiegała...

– Co o tym sądzisz, Ula? – spytałam bratową, licząc na jej obiektywne spojrzenie na sprawę.

– Ja tam nie wiem, ale jedno ci mogę powiedzieć: mnie Romek nie jest w stanie sobie podporządkować, a już na pewno nie w taki sposób, w jaki do tego dąży.

– Ja do tego dążę? – oburzył się Roman. – Ciekawe jak twoim zdaniem?

– Nakłanianiem, szantażem, braniem na litość. I chyba rzeczywiście musiałbyś mnie zacząć bić, żebym robiła wszystko pod twoje dyktando. Ale i to nie jest pewne, bo nie umiem sobie wyobrazić, jak mogłabym się z czymś takim biernie godzić.

– Gdybym zaczął wówczas, gdy mnie jeszcze kochałaś, pojęłabyś w końcu, na czym ten mechanizm polega – zaśmiał się Romek.

– A ty mnie jeszcze kochasz? – spytała bratowa podejrzanie słodko.

– Oczywiście. My mężczyźni jesteśmy stali w uczuciach – oznajmił dumnie.

– Fajnie. Wobec tego to ja zacznę bić ciebie. Może nie rozumiem na własnej skórze, na czym polega takie ciche przyzwolenie na przemoc, ale zawsze to jakaś lekcja pogładowa będzie. Zacznę zaraz po powrocie do domu.

– No, pięknie. Spójrz, Sandra, co narobiłaś. – Roman zrobił przerażoną minę i resztę wieczoru spędziliśmy, już żartując i rozmawiając na tak zwane tematy neutralne.

* * *

Niestety, po ich wyjściu temat ciotki wrócił do mnie jak bumerang. Zaczęłam przypominać sobie pewne fakty i analizować je pod zupełnie innym kątem. Jedno z moich pierwszych wspomnień związanych z ciotką – kiedy chciała pomóc przy zagrabianiu siana podczas gwałtownej burzy, do tej pory skupiało się wyłącznie na jej eleganckiej bieliźnie, gdy przebierała się naprędce przed wyjściem na łąkę. Miałam wówczas świadomość, że Edyta nie zyskała tą swoją pomocą niczyjej aprobaty, choć naprawdę bardzo się starała. Pamiętam również postawę Rogera, milczącego, biernie przyglądającego się wysiłkom narzeczonej. Gdy po powrocie z łąki poszła się przebrać, a babcia pod jej nieobecność rozwodziła się nad jej nieudolnością, ani słowem nie stanął w jej obronie.

Potem przed oczami pojawiły mi się sceny, gdy chrzestny upomniął się o spłatę z naszego domu, przypomniły mi się rozmowy rodziców, którzy nigdy nie wspomnieli w tym kontekście o Edycie. Przypomniało mi się również, że tylko babcia obwiniła ją w całości o zaistniałą sytuację. Kolejny obrazek stanowiła nasza wspólna wizyta u Edyty, gdy babunia, apelując do honoru synowej, próbowała odwieść ją od tych absurdalnych roszczeń. I zabawki, których ciotka nie pozwoliła mi zabrać... I korepetycje u Anety z sernikiem mojej mamy, którego nie

było mi dane spróbować... Niektóre z tych sytuacji nie przemawiały na korzyść ciotki, ale nowy kierunek mojego rozumowania kazał mi spojrzeć na nią z zupełnie innej strony.

– Sandrunia, może już dosyć na dzisiaj... – W pewnym momencie poczułam mocny uścisk dłoni, co wyprowadziło mnie z chwilowego letargu.

Aleks pochylał się nade mną z niepokojem, usiłując dotrzeć do mojej świadomości. Rozejrzałam się dookoła i spostrzegłam, że salon został po obiedzie perfekcyjnie posprzątany. Trochę mnie to zaniepokoiło, bo uświadomiłam sobie, że od wyjścia mojego brata z żoną straciłam kontakt z rzeczywistością. Po prostu zamysliłam się tak głęboko, że nie widziałam niczego, co się wokół mnie działo. Zrobiło mi się zwyczajnie wstyd. Zdałam sobie sprawę, że angażując się w rzeczy, które wcale nie musiały mnie obchodzić, okradałam z prywatnego życia mojego męża i siebie. To był problem, z którym borykałam się od zawsze: przejmowałam się losem innych bardziej niż swoim. Mój ukochany, dobry, wspierający mąż nigdy nie robił mi z tego tytułu żadnych wyrzutów, więc od czasu do czasu musiałam czynić je sobie sama.

– Dobrze, kochanie – zgodziłam się pokornie. – Idę spać.

* * *

Początek nowego tygodnia w pracy, jak bywało zazwyczaj po każdym większym natłoku zadań, był, można powiedzieć, całkiem lajtowy. To znaczy można było wypić spokojnie więcej niż jedną kawę, zjeść lunch bez ryzyka udławienia się czy uciąć sobie z kolegami pogawędkę. Korzystając z takiego stanu rzeczy, już z samego rana odwiedził mnie Olaf. Przysiadł na kraju mojego biurka i wpatrzył się we mnie niepewnie.

– Co jest, szefie? – spytałam, by go trochę ośmielić.

– No właśnie nie wiem, czy mogę cię zapytać... – podjął i urwał.

– Zapytaj, a ja ci powiem, czy możesz.

– Czy facet, o którym ci opowiedziałem... To znaczy... pomogłem ci czy wręcz przeciwnie?

– Chodzi ci o mojego wujka? – Z pewnym trudem zrozumiałam, o co mu chodzi. – Owszem, pomogłeś. Rozmawiałam z ludźmi, których mi poleciłeś, i niestety, nie mam już wątpliwości. Twój i mój Roger to jedna i ta sama osoba. A raczej jedna i ta sama kanalia.

– Przykro mi – zasepił się Olaf.

– Niepotrzebnie. Wypada się raczej cieszyć, że pomogłeś mi zaoszczędzić kupę czasu, bo tak czy inaczej, sama bym do tego doszła.

– Skoro mówisz, że wypada, to się cieszę. – Olaf uśmiechnął się skąpo. – Co zamierzasz dalej?

– No właśnie sama nie wiem. Wiesz, jak to się mówi, im dalej w las, tym

więcej drzew, a mnie się nie bardzo pali, by wyjść z tego lasu. Tak sobie mówię, że jeszcze tylko zobaczę, co się czai za następnym krzakiem, i będzie dosyć, a tam... jeszcze ciekawszy widok i kolejny krzak. Że tak metaforycznie się wyrażę...

– Rozumiem. – Olaf skinął głową w zadumie. – Ja bym robił tak samo.

I tu nie miałam wątpliwości, bowiem mój szef był zdecydowanie bardziej ciekawską osobą niż ja. Musiałam mieć dobry powód, by tak uparcie czegoś dociekać, dla niego zaś sama ciekawość była wystarczającym powodem.

– Cieszę się zatem, że nie jestem osamotniona.

– No a... twój mąż? Nie wspiera cię?

– Wspiera, ale bez entuzjazmu. Raczej studzi mój zapał i ja się mu wcale nie dziwię.

– Bo?

– Bo właściwie nie istnieje żaden dobry powód, dla którego miałabym nadal zajmować się tą sprawą. Ż a d e n!

– No przecież mówiłaś, że martwisz się zniknięciem wujostwa? I tym, że mogło im się stać coś złego.

– Owszem, ale z tą wiedzą, którą mam dziś, powinnam dać sobie spokój. Tak uważa Aleks i... ja też tak uważam. Ale nie potrafię!

– Rób więc to, co ci sumienie dyktuje – podsumował Olaf, czym zupełnie nieświadomie pomógł mi na jakiś czas uspokoić wątpliwości i rozterki.

Po wyjściu szefa przyszła do mnie Magda z zapisaną kartką w jednej dłoni i kubkiem kawy w drugiej. Najwyraźniej zamierzała się przysiąść.

– Wiesz, gdybym nie wiedziała, że on jest gejem, zaczęłabym was podejrzewać o romans. – Puściła do mnie oko. – A może on jest bi, co?

– Owszem. Właśnie to odkrył i wspólnie przymierzamy się do trójkąta.

– Z... kim?

– No przecież nie z moim Aleksiem – odparłam z powagą. – Z Krzyśkiem, rzecz jasna.

– Jaja sobie robisz? – spytała niepewnie.

– A jak sądzisz? – odpowiedziałam pytaniem.

– No, w sumie... nie wyglądasz na taką.

– Jaką?

– Złaknioną podobnych wrażeń.

– To miłe, co mówisz – uśmiechnęłam się wdzięcznie. – A na jaką wyglądam?

– Chyba bardziej na zwykłą, pospolitą żonę.

Spojrzałam Magdzie prosto w oczy. Wyglądała na rozczarowaną. Dziewczyna nigdy nie sprawiała na mnie wrażenie błyskotliwej, ale ta cecha paradoksalnie sprawiała, że była w naszej firmie nieocenioną sekretarką. Służbistka, nie zastanawiając się nad wydawanymi jej poleceniami, wykonywała

swoje zadania do bólu skrupulatnie i terminowo.

– No cóż, a mnie ta pospolitość zupełnie odpowiada – podsumowałam, wręczając jej mój pusty kubek po kawie.

Magda w typowym dla siebie odruchu zabrała również swój i wyszła.

– A to ci dopiero – zaśmiałam się w głos, bo podejrzenie koleżanki wprowadziło mnie w naprawdę niezły humor.

Pewnie stało za nim więcej pań z naszego biura, bo ostatnio rzeczywiście dość sporo czasu spędzałam z Olafem sam na sam. Magda jak zwykle została tylko wytypowana do sprawdzenia, czy jest coś na rzeczy. Bez silenia się na podchody, wprost i bez owijania w bawełnę.

ROZDZIAŁ XIX

Nieplanowany urlop

– Wyobraź sobie, że zostałam dziś posądzona o romans z Olafem – krzyknęłam do Aleksa z przedpokoju, usiłując pozbyć się szpilek z opuchniętych od upału stóp, początek czerwca był bowiem w tym roku niezwykle upalny.

– Serio? – zdziwił się Aleks. – Przecież wszyscy u was wiedzą, że Olaf jest gejem.

– Skoro mam z nim romans, wyszło na to, że gustuje od czasu do czasu i w kobietach.

– I co?

– Przyznałam się... do wszystkiego. W efekcie wyszło na jaw, że... tkwię z Olafem i jego chłopakiem w trójkącie.

– Boże mój, naprawdę? – dał się słyszeć podekscytowany, damski głos.

– *Oh, bloody hell!* – przekląłam pod nosem z angielska, bo zupełnie się nie spodziewałam, że ktoś jeszcze może moje wynurzenia usłyszeć.

Dość niechętnie weszłam do salonu. Na sofie, obok Aleksa siedziała... pani Kwietniowa!

– Wyobraź sobie, moja droga, że twój mąż nie był zachwycony, gdy zadzwoniłam do niego i zapowiedziałam się z wizytą – pożałowała się.

– N i e b y ł e ś z a c h w y c o n y? – spytałam go z przesadnym wyrzutem w głosie. – Wstydz się!

Gdy odkryłam, że ów głos należy do mojej znajomej dentystki, wyraźnie wrócił mi dobry humor.

– Byłem, jasne, że byłem, ale może zbyt mizernie to okazałem – tłumaczył się Aleks w podobnym tonie.

– Naprawdę jesteś w trójkącie z gejami? – pani Kwietniowa ponowiła pytanie.

– Ależ skąd. To taka biurowa plotka. Ja tylko, jak to się mówi, odbiłam piłeczkę.

– No to chwała Bogu – odetchnęła dentystka z ulgą. – Wiesz, ja tam pruderyjna nie jestem, ale taki układ to już niejaka przesada. Teraz wszędzie ich pełno, jak nie Żydów, to pederastów, wszystko im się należy. Majątki, stanowiska, a jak nie dostaną, czego chcą, zrobią z ciebie rasistę i homofoba.

– Ja tam nie wiem – wymigałam się od potwierdzenia jej tezy. – Olaf jest jedynym gejem, jakiego znam, i jest całkiem w porządku.

– Nie mówię, że nie – złagodziała swój osąd dentystka. – Jestem do nich

uprzedzona osobiście, bo mój drugi mąż był gejem. Gejem i Żydem. I moim mężem.

– A to... jakoś nie kolidowało jedno z drugim? – zapytał Aleks.

– I z trzecim? – dorzuciłam rzeczowo.

– Nie, bo to następowało po kolei: urodził się jako Żyd, potem został moim mężem, a na końcu gejem. Przyłapałam go z takim jednym osobiście.

– I co? – zaciekawiał się Aleks. – Rozwiodła się pani z nim?

– Nie musiałam. Zastrzelił się, gdy mu oznajmiłam, że zamierzam upublicznić jego paskudny sekret. Był wysoką figurą w PZPR, nie mógł sobie na taki skandal pozwolić.

– Zaraz... a czy to nie pierwszy mąż się zabił? – przypomniało mi się, że chyba coś podobnego mówiła.

– Pierwszy się powiesił – sprostowała zniecierpliwiona. – Ale ja przychodzę do ciebie z czym innym, dajmy więc nieboszczykom spokój, dobrze?

– Dobrze. Napije się pani czegoś? – spytałam, widząc, że Aleks niczym jej nie ugościł.

– Irma mam na imię i tak do mnie mów, moja droga. Koniaku pewnie nie macie?

– Nie mamy – odparłam, całkiem zadowolona z takiego stanu rzeczy. – Mamy wino.

Kwietniowa skrzywiła się nieznacznie.

– Daj wobec tego lampkę, choć to, szczerze mówiąc, żaden trunek...

Nalałam jej, sobie i Aleksowi.

– A zatem co chciałaś mi powiedzieć, Irmo?

– No właśnie. Chodzi o... twojego chrzestnego. Nie mówiłam ci o tym, bo jak na mój gust nie miało związku ze sprawą, ale później pomyślałam, że skoro prowadzisz tak szczegółowe dochodzenie, może to dla ciebie ważne...

– Tak? – spytałam, już się bojąc, co takiego powie.

– No więc wybrałam się kiedyś do jego domu, żeby się rozmówić o tym, co jest mi winien. Przyjął mnie na klatce schodowej. Trochę mnie poniosło, słysząc mnie było w całym domu, więc wkrótce pokazała się i jego małżonka. Przysłuchiwała się naszej, powiedzmy sobie, rozmowie i w końcu sama się do niej przyłączyła.

Kwietniowa wychyliła duszkiem całą lampkę wina i spojrzała na mnie, jakby chciała się zorientować, czy jestem gotowa na to, co zaraz usłyszę. Czekałam w napięciu bez słowa.

– No i on wtedy zepchnął ją ze schodów. Tak jakoś wywinął łokciem, że gdyby ktoś mniej uważnie patrzył, mógłby pomyśleć, że sama spadła. Natychmiast pobiegł na dół, podniósł ją i oznajmił, że powinna bardziej na siebie uważać. Ale nie ze mną takie numery, moja droga, ja znam się na męskich zagrywkach jak mało

kto. Mój trzeci mąż był mistrzem w powodowaniu takich „przypadkowych” upadków.

– Biedna Edyta – wymknęło mi się bezwiednie.

– Żebyś wiedziała, moja droga, że biedna. Bo jeszcze jeden raz u nich byłam, ale niestety nie zastałam pana domu. Myślałam, że w takim razie uda mi się pogadać z jego żoną jak kobieta z kobietą, ale nie wpuściła mnie, bo... nie miała klucza! Wyobrażasz to sobie? Ten skurwiel zamknął ją w mieszkaniu!

Spojrzałam na Aleksa. Był wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał.

– Kiedy dałaś spokój tej sprawie? Bo chyba w końcu pogodziłaś się, że nigdy nie dostaniesz swoich pieniędzy? – spytałam.

– Zaraz potem – oznajmiła Irma i sama naląła sobie drugą lampkę wina. – Gra nie była warta świeczki i moich nerwów. Nie zbiedniałam za bardzo bez tej forsy.

Wiedziona impulsem poinformowałam ją, co powiedzieli mi na temat traktowania ciotki przez małżonka wujek Lucjan i jego żona. Irma wysłuchiwała w milczeniu, zaciskając swoje małe piąstki tak mocno, że niewiele brakowało, by krwiste tipsy przecięły jej nadgarstki i z pulsujących nerwowo żył wytrysnęła prawdziwa krew.

– Mam nadzieję, że i moja informacja ci się przyda – powiedziała cicho.

– Bardzo – odparłam. – Bardzo mi się przyda, dziękuję, że się do mnie z tym pofatygowałaś.

Irma była wyraźnie poruszona. W końcu osoba, którą dominacja mężczyzny nad kobietą mierzila nade wszystko, nie mogła pozostać na coś podobnego obojętną.

– My, kobiety, musimy trzymać się razem – dodała. – Męski świat to świat wojen, przemocy i dominacji. Bez urazy – dodała, spoglądając na Aleksa.

– Nic nie szkodzi – odparł łagodnie mój mąż. – Widać jestem wyjątkiem, który tylko potwierdza tę regułę.

Kwietniowa sama uporała się z resztą wina, mimo nie najlepszej opinii na temat tego trunku. Potem, bez najmniejszych symptomów jego działania, pożegnała się i nie przedłużając swojej wizyty, ruszyła do wyjścia. Odprowadziłam ją do windy i tym razem to ja wyraziłam nadzieję na kolejne spotkanie, ponieważ kobieta, moim zdaniem, zyskiwała przy bliższym poznaniu.

* * *

Kolejny dzień od samego rana przyniósł jeszcze większe niespodzianki. Nie tyle dzień, co mój mąż, którego tuż po przebudzeniu zastałam przed komputerem, kompletnie ubranego, po samotnie wypitej kawie.

– Rany, tylko mi nie mów, że dostałeś w nocy zlecenie od firmy – skomentowałam zniesmaczona.

– Nie. – Aleks odwrócił się w moją stronę razem z fotelem.
Wyglądał, jakby nie spał przez całą noc.

– Siadaj – poprosił.
Usiadłam, na wszelki wypadek pełna obaw.

– Zrobiłem małą korektę w naszych wakacyjnych planach – oznajmił.
– To... znaczy?
– Co roku wykupujemy w sierpniu jakieś last minute nad ciepłym morzem, teraz jednak będzie inaczej. Wyjeżdżamy za dwa tygodnie. Do Gdyni.

Mimo iż zrobił pauzę, czekając na moją odpowiedź, nie skorzystałam. Czekałam, co powie dalej.

– Mów, co chcesz, rób, co chcesz – użył mojego powiedzonka, które zwyczajowo stosowałam jako wstęp w sprawach kontrowersyjnych – ale sama jesteś sobie winna...

Milczałam i coraz bardziej niespokojna czekałam na ciąg dalszy.

– Znalazłem całkiem niezły pensjonat. Willa... Awangarda? Agrykola? Czy jakoś tak... – zawahał się.

– Bo?
– Bo... teraz i ja uważam, że trzeba się dowiedzieć, gdzie podział się twój wujek ze swoją nieszczęsną małżonką. Właściwie głównie o nią mi chodzi... Tak mnie wczoraj nakręciłyście, że jeśli nie zrobię czegokolwiek w tej sprawie, już nigdy spokojnie nie zasnę. Wymyśliłem więc, że jeśli spędzimy parę dni w stronach, w które ślad prowadzi, może uda się coś wyjaśnić.

– Chodzi ci o Anetę? Myślisz, że ona coś wie?
– Owszem, ale nie tylko.

– Nie prościej zadzwonić i zapytać? Mam gdzieś numer jej telefonu... – Przypomniało mi się, że kontakt do córki wujostwa dostałam od Stefańczyka.

– To nie może odbyć się tak... obcesowo. Powinno wyglądać na przypadek typu: byliśmy w okolicy, wpadliśmy, kopę lat i tak dalej. Poza tym skoro pojawił się w sprawie również wątek Bydgoszczy, to w sumie niedaleko, nie sądzisz?

– Sądzę – odparłam, dziwiąc się tylko jego entuzjazmowi w kwestii, która mnie, jak by nie było, dręczyła głównie w ostatnim czasie. – No ale co... chyba nie myślisz, że to Aneta im coś zrobiła?

– Nic nie myślę i to jest najgorsze. Sprawa jest tak bardzo tajemnicza, że trudno powziąć jakąkolwiek hipotezę. Miałem sen, wiesz?

– Jaki? – spytałam z dreszczem niepokoju, bo od zawsze wierzyłam w sny.

– Nie powiem, bo byś mnie wyśmiała. Najważniejsze, że to on pomógł mi podjąć tę decyzję. Ale ponieważ nasze małżeństwo jest demokratyczne, masz prawo weta. Mówię to niechętnie i równie niechętnie na nie przystanę.

– Okej, jedziemy do Gdyni – zdecydowałam. – Podaj mi jeszcze datę rezerwacji tej twojej willi Apokalipsa, będę musiała wyzebrać w pracy urlop w tym

terminie.

– Osiemnasty – dwudziesty ósmy czerwca. Ja też będę musiał...

– A zatem wszystko w rękach losu – spuentowałam, biorąc pod uwagę, że mój lub jego szef nie zgodzi się na zmianę dawno już zatwierdzonych planów urlopowych.

* * *

Tak się jednak złożyło, że nie było z tym większego problemu, dokładnie jakby coś naszym planom ewidentnie sprzyjało. Olaf, z grubsza wtajemniczony w moje sprawy, był nawet skłonny sam mnie do tego przedsięwzięcia namawiać. No cóż, na jego ciekawość zawsze można było liczyć, a ponieważ mój nagły urlop mógł pomóc w wyjaśnieniu sprawy, która od pewnego czasu trapiła i jego, był całym sercem za. Niestety, przy okazji znów podpadłam Magdzie, która uznała, że z całą pewnością coś nas jednak łączy, nawet jeśli nie jest to seks.

– No bo wiesz, nie tylko ja mam w tej firmie wrażenie, że szef traktuje cię o wiele lepiej niż pozostałych pracowników – skomentowała, gdy poszłam do sekretariatu po formularz urlopowy.

– Serio? Uważasz, że ciebie traktuje źle? – spytałam z przesadnym zdziwieniem.

– Może nie źle, ale gorzej – odparła z pretensją.

– To znaczy? – Tym razem nie zamierzałam zbyć jej byle żartem. – Mniej ci płaci? Każe więcej pracować? Premie obcina?

– Nnn... nie... Nie o to chodzi. – Koleżanka jakby straciła nieco na pewności siebie.

– Więc o co?

– Może ja też bym chciała pójść wcześniej na urlop?

– To idź.

– Obydwu naraz nas nie puści.

– Czemu niby? Przecież ty mnie nie zastąpisz, robimy zupełnie inną robotę. Idź, zapytaj, może weźmie za ciebie kogoś na zlecenie, skoro ci tak bardzo zależy – poradziłam jej głosem słodszy od miodu.

W ten sposób trafiłam w piętę achillesową naszej nieocenionej sekretarki, która mając świadomość swoich zawodowych niedostatków, pilnowała posady jak oka w głowie.

– Kogoś za mnie? Bez sensu – odparła, chyba raczej mimo woli.

– No więc o co ci chodzi? Z tym lepszym traktowaniem – spytałam kategorycznie i przypomniałam na wszelki wypadek.

– O to, że jesteście z sobą bliżej, niż się z szefem powinno. To... nieetyczne!

Chyba mnie na chwilę zatkało. Magda zawsze była mistrzynią absurdu, ale teraz dosłownie zapędziła mnie w kozi róg. Na usta cisnęły mi się różne riposty,

wybrałam najbardziej wysmakowaną, ale o dużej sile rażenia:

– Lubimy się po prostu, mamy do siebie zaufanie, dlatego Olaf czasem mi się zwierza.

– Tobie się zwierza? Z czego? – Magda aż pokraśniała z ekscytacji.

W tym momencie do sekretariatu wszedł wilk, o którym była mowa.

– Wypełniłaś? – spytał. – Daj, od razu podpiszę.

Podaliśmy mu wypełniony nerwowym pismem formularz urlopowy i z całą rozkoszą dolałam oliwy do ognia:

– Jakby co, to wiesz... dzwoń i esemesuj bez skrępowania.

– Jasne, że będę – ucieszył się Olaf.

Mimo iż moja propozycja była bardziej niż nieszczerza, widząc minę Magdy, uznałam, że było warto.

– Chyba nie jestem taka cnót pełna, jak twierdzi mój brat – podsumowałam, gdy wieczorem skończyłam relacjonować Aleksowi powyższe zajście. – Umiem być złośliwa jak cholera.

– Złośliwa? – Mój mąż wydał pogardliwie usta. – Co ty wiesz, małeńka, o złośliwości... Byłaś po prostu poirytowana, każdy byłby na twoim miejscu, ja sam jestem, choć zupełnie nie znam tej twojej... koleżaneczki.

– Przepraszam, nie powinnam cię nakręcać takimi bzdetami. – Poniewczasie doszłam do wniosku, że niepotrzebnie zawracam mu głowę błahymi babskimi potyczkami.

– No co ty, wcale mnie nie nakręcasz – zaprzeczył Aleks. – Rad jestem, że mówisz mi o wszystkim, co cię dotyka.

– A co u ciebie? Miałaś jakiś problem z urlopem? – zmieniłam temat na praktyczniejszy.

– Nie, ale...

– Ale? – Zdażyłam spojrzeć mu w oczy, zanim spuścił wzrok.

– Ale będę musiał wieczorami dyżurować przy komputerze. Nie dało się niestety inaczej, to zresztą tylko dwie godzinki, od ósmej do dziesiątej.

– No cóż – westchnęłam. – Trochę to będą pracowite pod różnymi względami wczasy, prawda?

– Być może, ale już wymyśliłem, że odbijemy to sobie we wrześniu. Wybierzemy się w jakieś sensowne miejsce, choćby tylko na tydzień, ale taki naprawdę leniwy i beztroski. Co ty na to?

– Kocham cię. – Objęłam go za szyję. – Wiesz o tym, prawda?

– Owszem, czasem przychodzi mi coś podobnego do głowy – zaśmiał się z zadowoleniem. – A tak w ogóle chyba pora zacząć robić listę rzeczy do zabrania, nieprawdaż?

– Prawdaż – odparłam i poszłam do siebie po kartki i długopisy.

* * *

Pogoda w dalszym ciągu sprzyjała letnim wypoczynkom. Jeśli wierzyć prognozom długoterminowym, była szansa, że oprócz zajmowania się sprawą wujostwa wrócimy z wczasów opaleni i zrelaksowani. Oczywiście w zależności od tego, w jakim stopniu będziemy potrafili zdystansować się od spraw, które były głównym powodem wyjazdu.

Pakowanie, ze względu na o wiele mniejszą przewidywalność temperatury, zajęło nam dużo więcej czasu niż w latach poprzednich. No, może nie tyle pakowanie, co sama logistyka, ale dzięki temu, że mieliśmy naprawdę spory samochód, mogliśmy wziąć z sobą wiele rzeczy ewentualnie niepotrzebnych. Dosłownie w przeddzień wyjazdu zadzwoniła Irma, która miała wielką chęć się z nami spotkać, niestety, byliśmy zmuszeni jej odmówić. Niestety, bo i mój Aleks niespodziewanie ją polubił. A gdy jej streściliśmy pokrótce, dokąd się wybieramy i dlaczego, entuzjazm kobiety stał się niemal równy naszemu. Musieliśmy w najdrobniejszych szczegółach zrelacjonować, jakie są nasze plany, bo inaczej by nie odpuściła.

Mając wreszcie spakowane absolutnie wszystko i jeszcze o wiele więcej, plus błogosławieństwo Army Kwietniowej, wybraliśmy się w drogę. Czeką nas dobre kilka godzin jazdy, na szczęście w klimatyzowanym aucie, bo skwar zapowiadał się od samego rana. Miałam taką przypadłość, że w czasie dłuższej jazdy samochodem po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów oczy zamykały mi się same i zamiast towarzyszyć mojemu niestrudzonemu kierowcy, bawić go rozmową i umilać monotonną jazdę, odpływałam w niebyt. Dlatego zawsze byłam przeciwna ruszaniu w dłuższą trasę nocą, mimo iż można było w ten sposób uniknąć korków i dojechać na miejsce w o wiele krótszym czasie – bałam się, że kiedy ja zasnę, zaśnie i on.

– Nie zapomniałaś wziąć z sobą adresu Anety, kochanie? – spytał Aleks, gdy się obudziłam jakieś pięćdziesiąt kilometrów przed Gdynią.

W panice rzuciłam się przeczesywać torebkę.

– Mam! – zawołałam z ulgą, znajdując cenną karteczkę w jednej z wewnętrznych przegródek.

– I chwała ci za to. – Aleks pogładził mnie po dłoni. – Szkoda byłoby wracać taki kawał...

– Nie rób sobie jaj, dobrze? Mogłeś mnie o to zapytać przed wyjściem z domu – strzeliłam focha. – Poza tym nawet gdybym jej nie wzięła, wystarczyłoby zadzwonić do Stefańczyka, nie sądzisz?

– Sądzę – roześmiał się Aleks. – To był taki niewinny żarcik.

No właśnie, żarcik. Mój mąż zwykł nabijać się ze mnie i moich samochodowych drzemek, co irytowało mnie niezmiernie, bo niestety nie byłam w stanie im zapobiec. A już najbardziej go bawiło, gdy wprowadzał mnie w błąd

odnośnie do aktualnego położenia; twierdził, że jesteśmy już na miejscu lub przeciwnie: że przed nami jeszcze kawał drogi, podczas gdy byliśmy już u celu. Dawniej, gdy nie miał w aucie GPS-a, musiałam wypatrywać tablic informacyjnych, by się dowiedzieć, gdzie w istocie jesteśmy, teraz wystarczył jedynie rzut oka na to sprytnie urządzenie. Dlatego chyba przestało go to bawić i wymyślił coś innego, najchętniej sugerując, że nie zabraliśmy z sobą czegoś bardzo ważnego. To była jego mała zemsta za to, że większą część trasy musi spędzić w pewnym sensie samotnie.

– Nie dąsaj się już, kochanie, nie mogłem sobie darować – powiedział ze skruchą.

– A jeśli jej nie zastaniemy? – Zmilczałam jego przeprosiny.

– Anety?

– No Anety, bo chyba nie willi, w której wykupiłeś pobyt...

– Zastaniemy. Twoja kuzynka jest kobietą interesu, dla architekta z własnym biurem projektowym połowa czerwca to pełnia sezonu.

– Skąd wiesz, że ma własne biuro?

– Bo jej profil psychologiczny sugeruje, że raczej nie pracuje dla kogoś innego za głupie pieniądze.

– Rany, mężu, sporządziłeś sobie jej profil psychologiczny? – ledwie ukryłam rozbawienie.

– Może... zbyt górnolotnie się wyraziłem, w każdym razie chodzi mi o to, że na podstawie twoich opowiadań wyrobiłem sobie o tej dziewczusze konkretną opinię.

– Kobiecie – poprawiłam go. – Będzie już miała co najmniej czterdziestkę.

– No dobra – zgodził się Aleks. – Kobiecie.

– A jeśli mimo to jej nie zastaniemy? – powtórzyłam swoje pytanie.

– Trudno. Skupimy się wtenczas na opalaniu i jedzeniu ryb.

– A ja nadal nie rozumiem, czemu nie pozwoliłeś mi uprzedzić Anety o naszym przyjeździe. Myślisz, że trzyma rodziców związanych w piwnicy, i chcesz ją przyłapać na gorącym uczynku?

– Może coś w tym rodzaju. – Aleks spojrział na mnie, ale w jego oczach nie było żartobliwego błysku.

– No co ty... Aneta może nie jest specjalnie uczuciowa, ale bez przesady, chyba daleko jej do sadystki.

– Chyba – podparł mój mąż, pozostawiając mnie praktycznie bez odpowiedzi. – Uważaj teraz, patrz na numery domów, jesteśmy prawie u celu.

Spojrzałam uważniej przez okno. W istocie, znajdowaliśmy się na ulicy, na której mieścić się miał nasz pensjonat.

– Po co? GPS prawdę ci powie.

– Wolę liczyć na ciebie. – Aleks ścisnął pojednawczo moją dłoń. – No? Dalej zła?

– Nie. Poirytowana, ale już mi przechodzi. – Delikatnie oddałam mu uścisk.

* * *

Willa, w której wykupił dla nas wczasy mój mąż, w istocie nazywała się Abrakadabra. Dość osobliwie jak na pensjonat wczasowy, aczkolwiek jeśli chodzi o nasz prawdziwy cel pobytu nad morzem, jej nazwa zdawała się być jak najbardziej trafna. Zdecydowanie potrzebne nam było skuteczne zakłęcie, pomocne w realizacji dość prowizorycznie zaplanowanego przedsięwzięcia.

– Piękny dom – pochwalił Aleks na wstępie. – Kto państwu projektował, jeśli można wiedzieć?

Właścicielka pensjonatu wyglądała na zaskoczoną pytaniem gościa, ale odpowiedziała uprzejmie:

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam, ale postaram się odnaleźć w dokumentach informację na ten temat.

Popatrzyłam na Aleksa znacząco, bo raczej nie spodziewałam się po nim, że tak obcesowo oraz na wstępie zabierze się do sprawy. Jego zmysł śledczy najwyraźniej nie umywał się do mojego.

– No co? – zapytał nieco później z wyrzutem, właściwie odczytawszy moje spojrzenie. – Po to przecież przyjechaliliśmy, dom wygląda jak spod igły, śmiało mog-ła go zaprojektować Aneta...

– A nawet jeśli? Poznasz co najwyżej jej numer telefonu i adres, a te informacje są już w naszym posiadaniu.

– Fakt – zgodził się po chwili zastanowienia Aleks. – Ale może... dojdą do tego jakieś miejscowe plotki?

– Jasne. Właścicielka pensjonatu już dziś podzieli się z nami podejrzeniem, że pani architekt więzi i maltretuje dwoje staruszków...

– Kochanie. – Aleks zakleszczył mnie w uścisku i po kilku nieudanych próbach wreszcie udało mu się spojrzeć mi w oczy. – Nie dąsaj się już, proszę! Ja wiem, że nie powinienem sobie z ciebie żartować, nie tym razem, gdy rzecz jest tak poważna. Ale nie umiałem sobie odmówić i stało się, co więc mogę zrobić, by cię przeprosić?

– Okej, wybaczam – oznajmiłam wielkodusznie, tym bardziej że jego niekłamana skrucza naprawdę mnie wzruszyła.

Aleks objął mnie jeszcze mocniej i żarliwie pocałował w usta.

– Dziękuję, moja ty... wielkoduszna – szepnął, a ja wcale się taką nie poczułam.

Rozpakowaliśmy swoje rzeczy i ponieważ pora nie była jeszcze zbyt późna, postanowiliśmy zwiedzić okolicę. Aleks sprawdził w swoim laptopie, jak daleko od miejsca naszego pobytu mieści się ulica, na której mieszka Aneta, i wyszło mu, że zbyt daleko, żebyśmy mogli się dzisiaj w te okolice zapuścić na piechotę.

Połąziliśmy więc trochę w promieniu kilometra od naszego pensjonatu, zlokalizowaliśmy kilka restauracji i sklepów. Wieczór był upojny, niemal gorący, a czyste, polskie rozgwieżdzone niebo nadało naszej przechadzce niezwyklej magii. Od ładnych kilku lat nie spędzaliśmy wakacji w kraju, więc teraz trochę jakby zawstydzeni, delectowaliśmy się rodzimym klimatem.

– Cudnie, prawda? – zapytał półgłosem Aleks.

– Cudnie, kochany. – Przytuliłam się do jego ramienia. – Szkoda tylko, że nie sprowadza nas tu wyłącznie potrzeba spędzenia romantycznych chwil...

ROZDZIAŁ XX

Kuzynka

Rano, przy sutym śniadaniu zaserwowanym przez panią Wandzię wprost do pokoju okazało się, że właścicielka pensjonatu wcale nie zapomniała o pytaniu Aleksa. Obok jego nakrycia położyła wizytówkę z zamiarami na architekta, który projektował, a raczej przebudowywał jej dom.

– Proszę – oznajmiła. – Nie wiem jednak, czy się panu przyda, bo z tego, co wiem, mieszkacie kawał drogi ode mnie. To by mogło być nieopłacalne, gdybyście chcieli skorzystać z tej samej firmy, ale to oczywiście... kwestia posiadanych środków.

– Och, dziękuję, że się pani fatygowała – odezwał się Aleks, oglądając wizytówkę. – Szczerze mówiąc, to był tylko taki impuls, spowodowany zauroczeniem architekturą pani willi... Może rzeczywiście niezbyt przemyślany...

– Żaden kłopot – odparła pani Wanda, szczerze zadowolona z pochwały.

– I co tam masz ciekawego? – spytałam, wyciągając rękę po wizytówkę, Aleks jednak nie kwapił się, by mi ją oddać, i wpatrywał się w nią jak sroka w kość, wydymając przy tym usta na różne sposoby.

Roześmiałam się, bo wyglądał jak dziecko literujące w myślach jakiś skomplikowany tekst.

– Proszę. – W końcu zdecydował się, by mi ją oddać.

Teraz w pełni zrozumiałam dziwne ruchy jego warg, architekt nazywał się bowiem... Kamal Ibn Tajmullah Yusuf al-Aswani.

– Kurczę, chyba się nie dziwię, że pani Wanda zapomniała jego nazwiska – stwierdziłam. – Tak czy inaczej, naszą Anetą to on nie jest.

– No, nie wiem... – zastanowił się Aleks. – Adresu nie ma, telefon jest, ale tylko stacjonarny, więc porównać się nie da...

– Zwariowałeś? – spytałam krótko.

– Nie – odparł i zabrał się do jedzenia.

Być może moja uwaga go w jakiś sposób dotknęła, bo do tematu wizytówki już nie wrócił, nie wyjaśnił też, co miał na myśli.

– Co dziś robimy? – spytałam po zakończonym posiłku. – Najpierw plaża czy śledzenie Anety?

– Myślę, że to drugie, póki jeszcze upał nie daje się zbytnio we znaki.

– Dobrze – ucieszyłam się, bo i ja byłam skłonna ku takiemu porządkowi dnia.

Ubrałam się możliwie wygodnie, czyli w bawełnianą koszulkę, krótkie

spodenki i tenisówki, bo wyglądało na to, że przed nami długi spacer. Aleks sprawdził jeszcze raz w komputerze trasę, którą powinniśmy iść, i tak właśnie mu wyszło. Mój zapobiegliwy mąż zabrał ze sobą podręczny plecak z butlą wody mineralnej i aparatem fotograficznym.

– Naprawdę chce ci się to taskać? – spytałam ze współczuciem. – Wodę kupimy po drodze, a aparat zmieści się do mojej torebki.

– A gdy zachce ci się pić w miejscu, gdzie nie będzie sklepu?

– Jakoś wytrzymam.

– Ale po co się męczyć, skoro można wziąć ze sobą?

– No, nie wiem... Wydaje mi się, że ty będziesz męczyć się bardziej z tym gorącym tobołem przyklejonym do pleców.

– Dam radę. Chodź już, nie marudź. – Mąż wziął mnie za rękę i nie puszczając jej, zamknął pokój na klucz.

Szliśmy sobie nieśpiesznie, rozglądając się po okolicy, żadne z nas dotąd w Gdyni nie bawiło, warto zatem było zapoznać się z krajobrazem, a cel naszej przechadzki sprawił, że głównie skupialiśmy się na architekturze. Coraz bardziej oddalając się od morza, zapuściliśmy się w głąb dużej willowej dzielnicy, gdzie królowały głównie nowoczesne „szeregowce”, kupowane zapewne z myślą o przekształceniu ich w pensjonaty. Zwyczajne mieszkalne domy można było rozpoznać po tym, że się od siebie różniły, aczkolwiek dziś, gdy panowała wszechobecna moda na budynki w stylu „polski dworek”, te różnice nie były zbyt duże.

– Raczej wątpię, żeby Aneta miała właśnie taki – skomentowałam, gdy mijaliśmy któryś już z kolei domek z trójkątnym zwieńczeniem, wspartym na dwóch lub czterech kolumnach.

– Czemu?

– Bo jako architektka powinna wymyślić dla siebie coś oryginalniejszego.

– O, tam masz coś oryginalniejszego. – Aleks wskazał na wylaniający się zza zakrętu dość interesujący obiekt.

– Ej, ale to jest właśnie na naszej ulicy! – wykrzyknęłam w podnieceniu, bo na tabliczce z numerem najbliższej willi dostrzegłam tę właśnie nazwę.

– Rzeczywiście. – Aleks podążył za moim wzrokiem. – I może rzeczywiście tamten dziwoląg okaże się być domem Anety?

Im bardziej zbliżaliśmy się do interesującego nas obiektu, tym bardziej byłam skłonna zgodzić się z określeniem Aleksa. Budynek był ogromny, choć nie tyle wysoki, co rozłożysty. Składał się z kilku klockowatych segmentów połączonych z sobą niższymi i węższymi bryłami, na nich zaś osadzone zostały oszklone tarasy, z których (z każdego z osobna) prowadziły wprost do ogrodu ażurowe schody.

– Ale numer – jęknęłam, stając naprzeciw furtki opatrzonej interesującym

nas numerem. – To faktycznie tu!

– No to sobie twoja kuzynka pofolgowała. Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego! – wyrwał się Aleks, po czym chrząknął zmieszany, bo w równie pysznym jak dom ogrodzie dostrzegliśmy ludzką sylwetkę.

– To ona? – spytał.

Cofnęłam się o krok, by ukryć się za rosnącą przy ogrodzeniu tują, i wyteńczyłam wzrok.

– Nie... to facet jakiś jest...

Osobnik zza ogrodzenia sam zaczął nam ułatwiać obserwację. Wstał z leżaka i zaczął się przechadzać, objawiając się w pełnej, że tak powiem, krasie, bo miał na sobie wyłącznie kąpielówki. I był jakiś taki... czarniawy. Zanim jednak porządnie mu się przyjrzałam, wskoczył do basenu. Tak! B a s e n u!

– Nieźle się twoja kuzynka miewa – podsumował Aleks, a mnie w tym momencie naszły pewne podejrzenia.

– Słuchaj, czy ty czasem nie pomyliłeś wizytówek? Bo mnie zaczyna wyglądać na to, że przyszliśmy pod dom tego... Kalifa Abdullacha Mahmuda czy jak mu tam...

– Przecież na jego wizytówce nie było adresu, tylko numer telefonu, nie pamiętasz? – Aleks obruszył się na moje posądzenie.

– Wobec tego sprawdź – zażądałam. – I schowaj się trochę.

– Nie mogę... Obie wizytówki zostały w pensjonacie...

– No to ładnie! Ja już dzisiaj po raz drugi takiej trasy nie zrobię! – zarzuciłam go pretensjami. – No, chyba że samochodem.

W trakcie naszej sprzeczki z basenu wyłonił się obserwowany przez nas facet, owinał ręcznik wokół bioder i ruszył w naszym kierunku. Widocznie w końcu nas dostrzegł. Albo usłyszał. Z bliska okazał się być niezwykle przystojnym młodym mężczyzną o egzotycznej urodzie.

– Dżen dobry, można widzieć, co panom chodzi? – spytał nie najlepszą polszczyzną.

– My do pani Anety – wypalił z głupia Aleks.

– Ne ma Anety – odparł nasz śniady rozmówca. – Pany może w interesie?

– Dokładnie – podjęłam z nadzieją, że być może udało nam się dobrze trafić.

– No to na wieczór zapraszam tak koło szódma. Aneta będzie już.

– Okej, przyjdziemy. Ale może ja się przedstawię. – Aleks podał mężczyźnie rękę przez otwór w ażurowym ogrodzeniu. – Aleksander Wasyl.

– Kamal Ibn Tajmullah Yusuf al-Aswani. Miły bardzo mi – odparł mężczyzna, pomachał nam na odchodne, po czym skierował się w stronę basenu.

– No to ja już cała głupia jestem – wyznałam, gdy oddaliliśmy się na bezpieczną odległość. – I po co ty mu się w ogóle przedstawiałeś?

– Bo chciałem, żeby on zrobił to samo. Nawet jeśli ma coś wspólnego

z Anetą i jej powtórzy, ona niczego nie skojarzy, bo przecież nie zna twojego obecnego nazwiska.

– Fakt. Ale my też nie znamy jej, więc to działa w dwie strony.

– No widzisz? – ucieszył się Aleks. – Może w takim razie chłopak, który z nami rozmawiał, to jej syn? A nazwisko i kolor skóry ma po ojcu?

– Co najwyżej przyrodni. Rodzony mówiłby lepiej po polsku i nie nazywałby matki Anetą – ze sceptycyzmem odniosłam się do jego sugestii.

– Wrócimy tu o dziewiętnastej, to wszystkiego się dowiemy – skwitował Aleks. – A teraz do pensjonatu na małeńki odpoczynek i na plażę, okej?

– Okej, ale na piechotę tu po raz drugi nie przyjdę – zastrzegłam.

* * *

Drugą połowę dnia zaczęliśmy od plażowania, takie było nasze najnowsze założenie: dzielić po połowie obowiązki i przyjemności. Na razie, póki głównym motorem działania była dla nas szlachetna chęć odnalezienia ciotki i wujka, a także zwykła ludzka ciekawość co do ich dalszych losów, nie byliśmy skłonni oddać się lenistwu w całości. Muszę jednak przyznać, że bezczynne leżenie na plaży było coraz bardziej kuszące... Jeszcze chwilę temu wydawało mi się, że nie będę mogła doczekać się wizyty umówionej z Kamalem-Ibn-Kimstam-Cośtam, jednak błogość, która mnie ogarnęła po kilkunastu minutach spędzonych na gorącym piasku, zdecydowanie zdominowała moją chęć działania.

– Też się tak czujesz? – zapytałam Aleksa, nie otwierając oczu.

– Nie jestem pewien, co masz na myśli, ale z pewnością też – odparł mój mąż.

– Aż się nie chce myśleć o niczym innym...

– No. Chyba że o obiedzie.

– A konkretniej: o dobrej rybce?

– Dokładnie...

Już nieraz miałam wrażenie, że dopóki człowiek nie pomyśli, a już nie daj Boże nie powie na głos niczego o jedzeniu, nieświadomy żołądek sprawia wrażenie, jakby spał. Ale gdy tylko zawiadujący nim organizm poruszy temat myślał, mową lub napatoczy się na jedzenie wzrokiem, nie odpuści. Będzie ssał, burczał i gulgotał, póki nie dostanie tego, o co mu chodzi. Tak było i tym razem: od czasu, gdy Aleks wspomniał o rybce, coraz trudniej było mi się skupić na sprawiedliwym wystawianiu na słońce poszczególnych części ciała. Początkowe ustalenia, że po dwadzieścia minut na każdy bok, przód oraz tył – z czasem wzięły w łeb, ponieważ wymarzona przez mój żołądek rybka skutecznie namieszała w moim poczuciu czasu. Widać mój Aleks zmagał się z podobnym problemem, bo zamiast o planowanej szesnastej za jego namową zebraliśmy się z plaży o całą godzinę wcześniej.

Najwyraźniej złąkniona fosforu i wszystkiego innego, co rybka w sobie zawiera, zamówiłam w najbliższej restauracji zupełną rybą oraz dorsza sauté z zestawem surówek. Mąż wziął dla siebie dokładnie to samo.

– Niezłe. Całkiem niezłe. Bardzo niezłe – komentował Aleks, który spośród nas dwojga był największym zwolennikiem zagranicznych uciech.

Osobiście też nie miałam nic przeciwko nim, ale gdyby spędzenie wakacji w kraju miało wiązać się z pewnymi niewygodami, tylko ja z nas dwojga byłabym w stanie zaakceptować je na rzecz wspierania rodzimego small businessu.

– Pyszne – odparłam ze śmiechem. – Czasy się trochę zmieniły, suchawa miruna z przydrożnej budki to już chyba przeszłość?

– Najwyraźniej coś nam umknęło – przyznał mi rację Aleks.

– A zatem chwała Rogerowi. – Uniosłam w górę szklankę z piwem.

– Chwała – zgodził się Aleks, spełniając toast wodą mineralną.

Wracaliśmy do pensjonatu nieśpiesznie, trzymając się za ręce jak młodzi kochankowie. Mimo pewnego sceptycyzmu co do przyśpieszenia terminu wczasów oraz wyboru ich miejsca byłam coraz bardziej zadowolona. Do tej pory byłam nad Bałtykiem dwukrotnie, w ramach obozu harcerskiego w czasach podstawówki. Odżyły moje wspomnienia z tamtych czasów: pierwsza fascynacja chłopakiem, obozowym przystojniakiem, do którego wzdychały wszystkie harcerczki, dyskoteki na majdanie, wstyd z pokazania się w stroju kąpielowym, ponieważ wówczas jeszcze sen z oczu spędzał mi nadmiar sadelka, cholerne kompleksy i to, że zawsze trzymałam się o krok od świetnie bawiących się rówieśników. Aż dziw bierze, jaką metamorfozę musiałam przejść, by stać się tą kobietą, którą dziś jestem – nie tylko fizycznie, ale psychicznie przede wszystkim, niemal od zera zbudować swoje poczucie wartości i znaleźć adekwatne do niego miejsce na ziemi. Z jednej wielkiej kupki nieszczęścia przeobrazić się w zadowoloną z siebie i życia osobę...

Bezwiednie ścisnęłam mocniej dłoń Aleksa, jakby w obawie, że chwila obecna może okazać się jedynie złudzeniem. Mąż, wyczuwając w moim zamysleniu jakąś melancholię, objął mnie mocno i pocałował.

– Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedział, sądząc pewnie, że rozmyślałam o wujostwie.

– Wiem – odparłam z uśmiechem, nie wyprowadzając go z błędu.

* * *

Na wizytę u domniemanej Anety (bo to nie było zbyt pewne) postanowiłam ubrać się bardziej oficjalnie, w sukienkę. Nie odmówiłam sobie nawet szpilek, ponieważ tym razem mieliśmy pojechać samochodem.

– Sądzisz, że ja też powinienem zrobić się na bóstwo? – spytał Aleks ze śmiechem, przyglądając się moim zabiegom.

– No pewnie, w końcu będę miała po raz pierwszy okazję przedstawić męża

dawno niewidzianej kuzynce. O ile oczywiście nie zaszła jakaś pomyłka.

– Co do mnie? – udał przestraszonego.

– Nie, co do Anety. To znaczy do tego, czy ona rzeczywiście tam mieszka, bo jest ryzyko, że naszemu Kalemu mogło się coś pomieszać. I nie żartuj sobie, bo mam coraz większą tremę!

– Przepraszam. – Aleks cmoknął mnie w szyję. – Ta czy ta?

Zamachał mi przed oczami białą koszulą w prążki i gładką niebieską.

– Niebieska – zdecydowałam. – Pośpiesz się.

– Przecież jedziemy samochodem...

– Samochodem też się można spóźnić – odpowiadałam coraz bardziej zniecierpliwiona, bo coraz bardziej zaczynałam się denerwować.

Moje zdenerwowanie osiągnęło apogeum w momencie, gdy Aleks naciskał dzwonek przy furtce dziwacznej klockowatej willi. Prawie natychmiast dał się słyszeć sygnał, że została otwarta i można wchodzić. Przy drzwiach powitał nas ten sam chłopak, tym razem jednak kompletnie ubrany.

– Zapraczam wejszcz. – Wskazał gestem na schody prowadzące na górę.

– Zastaliśmy Anetę? – upewniłam się.

– Czeka panów – potwierdził z uśmiechem.

Przestronny hol oraz schody pokryte były dwukolorowym polerowanym marmurem, ułożonym w skomplikowaną mozaikę. Stapałam po nich ostrożnie w obawie, by się nie pośliznąć, Aleks poruszał się równie ostrożnie.

– Proczę. – Mężczyzna otworzył przed nami masywne, rzeźbione drzwi.

Siedząca przy biurku kobieta wstała i odwróciła się w naszą stronę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, to była Aneta!

– Witam. – Podała rękę mnie i Aleksowi. – Co państwa do mnie sprowadza? Kamil, przynieś nam coś do picia!

– Co pany napiją? Woda, kawa? – spytał mężczyzna usłużnie.

– Może... woda – odpowiedział za nas oboje mój mąż i spojrzał na mnie niepewnie.

Aneta mnie nie poznała i to go widać zbiło z tropu.

– Aneta? – spytałam dla pewności. – Aneta Talarczyk?

– Owszem, Aneta, ale już nie Talarczyk. Z kim mam przyjemność? – spytała nieufnie.

– Sandra, twoja kuzynka, a to mój mąż Aleks – w jednym zdaniu przedstawiłam siebie i jego.

– Sandra... – Aneta ściągnęła brwi. – Mam tylko jedną kuzynkę Sandrę, więc w istocie to musisz być ty. Bardzo się zmieniłaś...

– Wiem, pracowałam nad tym. Witaj, kopę lat. – Ucisnęłam ją, bo tak chyba wypadało.

– Może wobec tego przejdziemy do prywatnej części domu, tu jest mój

gabinet – zaproponowała i poprowadziła nas do ogromnego salonu.

Tu również panował ogromny przepych. Usiedliśmy wszyscy na białych skórzanych fotelach, po czym młody mężczyzna, który jakimś cudem nas odnalazł, postawił przed nami kryształową karafkę z wodą i szklanki.

– Dziękuję. Usiądź sobie. – Aneta wskazała mu miejsce obok siebie na sofie.
– Co was sprowadza? Bo nie sądzę, że przyjechaliście do mnie, by zamówić projekt?

– Jesteśmy tu na wczasach – odparł Aleks, kurczowo trzymając się wymyślonej przez siebie wersji.

– No tak... Do ciebie wpadamy przy okazji – potwierdziłam niechętnie, bo to było zbyt grubymi nićmi szyte.

– To miłe. – Kuzynka uśmiechnęła się nieszczerze.

Choć może mi się wydawało, bo gdy jej się lepiej przyjrzałam, dostrzegłam w jej twarzy pewną nienaturalność, właściwą osobom nadużywającym botoksu i innych wypełniaczy, a to z pewnością utrudniało okazywanie emocji za pomocą mimiki.

– Co u was słychać? – spytała.

– No cóż... dużo by opowiadać, choć streścić można jednym zdaniem: mieszkamy ciągle w tym samym mieście, żyjemy, pracujemy, niestety, nie mamy dzieci.

– To dokładnie jak ja, z tym że miasto zmieniłam. I bardzo jestem z tego zadowolona. A wy? Nie macie dosyć tego zaścianka?

– Nie, zresztą to już nie to samo miejsce co kiedyś. Miłe, czyste, nowoczesne. Lubimy w nim mieszkać.

– Pewnie tak – potwierdziła Aneta. – Wszystko się zmienia, czemu więc tam miałyby zostać po staremu? Nie byłam w rodzinnych stronach, odkąd tu przyjechałam zaraz po studiach, więc nie wiem.

– Nie odwiedzałaś rodziców? – skorzystałam z okazji do skierowania rozmowy na temat wujostwa.

– Nie – odparła krótko. – Może ciasteczko? Kamil, przynieś coś na słodko!

Chłopak wstał z zamiarem spełnienia jej prośby.

– Właściwie ma na imię Kamal, ale Kamil brzmi bardziej... swojsko. – Uśmiechnęła się nieco szerzej niż poprzednio. – No właśnie, ale ze mnie gapa... nie przedstawiłam was, to mój mąż. Kamilu, moja kuzynka Sandra z małżonkiem...

– Aleksem – podpowiedziałam.

Podaliśmy sobie ręce.

– Mam pójszcz po te czastka? – spytał „Kamil”.

– Tak, proszę. I przynieś jakieś wino, słodkie najlepiej...

Zastanawiając się wcześniej, kim jest ten chłopak, różne rzeczy przychodziły

mi na myśl, ale nie ta, że mógł-by być mężem Anety. Różniło ich na oko najmniej dziesięć lat, a w rzeczywistości pewnie znacznie więcej. Chłopak mógł mieć góra dwadzieścia kilka lat, Aneta, choć na to nie wyglądała, czterdziestkę skończyła na pewno. Oczywiście takie związki się zdarzały, ale jakoś mi to nie pasowało do Anety. Kolidowało z jej... realizmem życiowym, że tak powiem.

– Kamil jest moim drugim mężem – wyjaśniła na widok naszych min. – Z pierwszym rozwiodłam się cztery lata temu.

– Aha. – Skinęłam głową, nie wiedząc, co więcej mogę powiedzieć.

Gdy mężczyzna na powrót usiadł obok niej, spojrzała na niego z czułością.

– I jesteśmy po prostu szczęśliwi – spuentowała. – Prawda, Kamilku?

– Prawda – odparł.

Trudno mi było nawiązać po raz drugi do rozmowy o rodzicach Anety, choć wysilałam intelekt ze wszystkich sił. Trudno, niech Aleks coś wymyśli, skoro nie chciał postawić sprawy wprost – pomyślałam i kopnęłam go dyskretnie. Zrozumiał mnie właściwie, bo natychmiast przystąpił do rzeczy.

– A wiesz, że twoi rodzice bawili u nas przez jakiś czas? – wypalił.

Aneta spojrzała na niego zdziwiona.

– Tak? Zamierzali się u was zakotwiczyć na stałe?

Wyglądało na to, że kuzynka co nieco wiedziała o ich problemach mieszkaniowych, była więc szansa, że wie i więcej.

– Mieli lecieć do Australii – włączyłam się w rozmowę. – Ale najprawdopodobniej nie dolecieli. Wiesz może, gdzie są?

Aneta zdziwiła się jeszcze bardziej, unosząc w górę kruczoczarne brwi o nienaturalnym kształcie.

– A co, martwisz się o nich? Powinnaś się raczej cieszyć, że masz ich już z głowy.

– Powiedz, gdzie są i czy u nich wszystko w porządku – poprosiłam, nie komentując jej ironii.

– Sandra, grajmy może w otwarte karty, co? – Ton głosu kuzynki wyraźnie się ochłodził. – Szukasz ich? Po to tu przyjechałaś?

– Tak, po to. Zniknęli tak nagle, że zaczęłam się obawiać, czy nic im się nie stało.

– Oczywiście, że nic im się nie stało. Co miało się stać?

– Gdzie wobec tego są?

Aneta naląła sobie wina i wychyliła na raz całą lampkę. Zrobiłam to samo.

– W bezpiecznym, miłym miejscu, w którym zostaną do końca swoich dni – odpowiedziała. – No, chyba że chcesz ich mieć u siebie z powrotem.

– No nie, niekoniecznie...

Kobieta roześmiała się w głos.

– A więc trzeba było tak od razu.

– Myślę, że skoro tu już jesteśmy, moglibyśmy ich odwiedzić – zasugerował Aleks. – Podaż nam adres?

– Nie ma sprawy.

Po chwili byliśmy w posiadaniu wizytówki prywatnego domu spokojnej starości, mającego swoją siedzibę w jakiejś nieznanym nam z nazwy miejscowości.

– To taka mała, cicha miejscina niedaleko Bydgoszczy – uściśliła Aneta, widząc, że jej nazwa nic nam nie mówi. – Rano tam zadzwonię i uprzedzę o waszym przyjeździe, dziś już za późno na odwiedzinę.

Wobec takiego obrotu spraw nie przedłużaliśmy naszej wizyty, nasz cel został osiągnięty. Kuzynka również nas nie zatrzymywała.

– A jednak Bydgoszcz – powiedziałam do Aleksa po wyjściu.

– Niezupełnie – uściślił. – Ale coś koło tego.

– Dziwne, że Aneta nie zostawiła ich u siebie, ma taki wielki dom... – zastanawiałam się na głos. – A jeśli już nie chciała, mogła im znaleźć coś bliżej, w Gdyni na pewno są takie domy...

– Na pewno. Ale może tamten jest przytulniejszy? W spokojniejszym miejscu?

– Może, jutro się o tym przekonamy – pocieszyłam siebie i jego.

ROZDZIAŁ XXI

W zasadzie wszystko w porządku...

Dom spokojnej starości „Nadzieja” mieścił się w piętrowej, niewielkiej willi. Nie mogło być w niej wielu pensjonariuszy, co dawało nadzieję na miłą, rodzinną atmosferę. Kobieta, która otwierała nam furtkę, musiała już wiedzieć o naszej wizycie, bo powitała nas niemal jak starych znajomych.

– Zapraszam w nasze skromne progi w imieniu moich ulubionych staruszków – oznajmiła.

Trudno mi było wyobrazić sobie Rogera jako „ulubionego staruszka”, była to więc z jej strony raczej zwykła uprzejmość. Sapiąc z powodu sporej tuszy, kobieta zaprowadziła nas na piętro i otworzyła drzwi do jednego z pokoi.

– Macie gości, kochani – zaanonsowała nas z uśmiechem.

Pokoik był niewielki, po obu jego stronach znajdowały się jednoosobowe tapczany, pomiędzy nimi pod oknem stał stolik i dwa krzesła. Na jednym z tapczanów siedziała ciotka, na drugim, naprzeciwko niej – wujek. W pokoju panował nieziemski zaduch, na ścianach widać było ślady sukcesywnie ścieranego grzyba. W pierwszym odruchu zamierałam otworzyć okno, ale było zabite gwoździami.

– Sandra! To ty... – Roger był wyraźnie wzruszony na mój widok. – Dzięki Bogu!

– Ja też się cieszę, że was widzę całych i zdrowych. – Uścisnęłam kolejno oboje. – Czemu się nie da otworzyć okna?

– Pozabijali, bo nie ma krat, boją się, żeby ktoś nie wyskoczył. Ale skoro nas znalazłaś, ten koszmar wreszcie się skończy. Widzisz, Edyta? Mówiłem ci, że Sandrunia nas tak nie zostawi!

Edyta swoim zwyczajem siedziała bez słowa. Jej twarz nie wyrażała niczego.

– To znaczy... nie jest wam tu dobrze? – zapytał Aleks.

– Dobrze? – obruszył się Roger. – To więzienie, a nie dom! Wyjść nam poza ogród nie wolno bez wyraźnej zgody Anety, bo to właśnie córka nas tak urządziła! Jedzenie podłe, łazienka jedna na piętro, wspólna dla wszystkich. Zero wygód, zero przyjemności. Stary telewizor w świetlicy, gry planszowe i karty, ale nie ma z kim grać, bo tylko sklerotyczni starcy i staruchy tu mieszkają... To co, Edyta, bierz się za pakowanie walizek – zarządził, ale ciotka siedziała nadal.

– Zaraz – przystopowałam jego zapędy. – Przyjechaliśmy tylko w odwiedziny, nie możemy was stąd zabrać, to sprawa Anety.

– Ależ oczywiście, że możecie. Chyba ja tu jeszcze mam coś do powiedzenia

– naindyczył się Roger. – Nie siedź tak, Edyta, zbieraj manatki!

Nagle ciotka jakby ożyła. Uniosła głowę, spojrzała na nas z Alekssem, a potem na swojego męża.

– Na razie nikt nas do siebie nie zapraszał – stwierdziła rzeczowo.

Roger jakby nieco się otrząsnął.

– Ale... to chyba oczywiste – powiedział. – Przecież nam chrześnica gościny nie odmówi do czasu, gdy jakoś staniemy na nogi...

– Już raz stanęliście, a ja wam w tym pomogłam – skomentowałam sucho. – Tuż przed wylotem do Australii.

– Taki był plan. Ale gdy zobaczyliśmy w telewizji naszą córkę i jej wielgaśny dom, uznaliśmy, że nie ma się co tułać po świecie.

– Zobaczyliście... Anetę w telewizji?

– Owszem – potwierdziła ciotka. – W wiadomościach, na dzień przed wylotem. Wypowiadała się na temat zabudowy dzielnicy, w której mieszka, demonstrując jako przykład nowych rozwiązań swój dom. Roger wtedy podjął decyzję, że to do niej pojedziemy. Wycofaliśmy bilety i zamiast do samolotu wsiedliśmy do pociągu.

– Jaki Roger? Jaki Roger? – Wujek ze złością pochylił się nad żoną. – Oboje podjęliśmy decyzję. O-bo-je!

– Nieprawda – po raz pierwszy w życiu usłyszałam sprzeciw Edyty wobec swojego męża. – To był twój pomysł, tylko twój.

Trudno było mi teraz ocenić, czy mina Rogera była wyrazem zdumienia, czy wściekłości.

– No dobrze, nie kłóćcie się – próbowałam załagodzić sytuację. – I co było dalej?

– Aneta udzieliła nam noclegu pierwszego dnia, a już nazajutrz przywiozła nas tutaj – kontynuowała ciotka.

– Zabrała nasze oszczędności i ulokowała na koncie, nie mamy do nich dostępu – włączył się Roger. – Że niby na wypadek choroby lub pogrzebu. Pogrzebu! Wyobrażasz sobie?! Nasze renty w całości idą na opłaty za pobyt tutaj, dostajemy jedynie jakieś marne kieszonkowe...

– Bezwzględna kobieta – wymsknęło się Aleksowi.

– Bezwzględna? To potwór! – prychnął Roger.

– Sam ją tak wychowałeś – skomentowała spokojnie ciotka. – Od dziecka ją uczyłeś, że człowiek powinien dbać wyłącznie o własne dobro, bo nie ma dla niego niczego ważniejszego niż on sam.

– Bo co? Nie jest tak?

– Jest. I właśnie nasza córka swoją postawą to potwierdza.

– Ale, do cholery, nie wobec własnych rodziców! – pienił się Roger.

– A nauczyłeś ją szacunku do rodziców?

– Ja? To ty jesteś jej matką, ty ją powinnaś tego nauczyć!

– Niestety, nie miałam okazji. – Edyta uśmiechnęła się gorzko. – Moje słowo nigdy się dla niej nie liczyło, a ponieważ zawsze miała twoje poparcie, wcale nie musiało się liczyć.

– A ty co tak pyskujesz nagle? We łbie ci się na stare lata przewracało? – Roger złapał Edytę za ramiona, uniósł w górę i potrząsnął nią kilka razy.

– Ejże! – przystopował go Aleks. – Tak się nie postępuje z kobietą!

– Moja kobieta, moja wola – sarknął Roger, ale nieco się uspokoił i usiadł. Podeszłam do Edyty, przycupnęłam obok i złapałam ją za rękę.

– I jak tam, ciociu? Naprawdę jest wam tu tak źle?

– Mnie nie jest gorzej niż gdzie indziej – odparła cicho, a z jej oczu poleciały łzy. – Mogę tu zostać, wszystko mi jedno. I zostanę, nie mam przecież innego wyjścia...

– A ty zdecyduj coś w końcu – odezwał się Roger, patrząc na mnie. – Niech nam Aneta odda nasze pieniądze, a przede wszystkim wypisz nas stąd. Choćby tylko mnie, skoro jej tu się tak bardzo podoba.

– Mówiłam ci już, wujku, że nie leży to w mojej mocy.

– W takim razie załatw to z Anetą – zażądał.

– Dobrze, porozmawiam z nią – obiecałam niechętnie.

Nie bardzo mi się chciało wierzyć, że przekonam kuzynkę, by zabrała rodziców do siebie, ale może chociaż znalazłaby im jakiś bardziej godny dom? Pożegnaliśmy się zatem pośpiesznie z zamiarem ponownego odwiedzenia Anety. Gdy podjechaliśmy pod jej dom, akurat wsiadała do samochodu. Pomachałam do niej, kuzynka wysiadła i podeszła do ogrodzenia.

– O co chodzi? Nie wpuścili was do staruszków? – spytała.

– Wpuścili. Ale... oni chyba nie mają się najlepiej.

Aneta otworzyła furtkę i gestem zaprosiła nas do środka.

– Trudno, najwyżej się spóźnię, ale to, co mam wam do powiedzenia, nie nadaje się poza cztery ściany.

Kuzynka nie zapraszała nas dalej, cała rozmowa odbyła się w holu.

– Powiem tak: nie twoja to rzecz – oznajmiła na wstępie. – Chcesz się nad nimi litować, to zabierz ich do siebie, bo ja nie zamierzam słuchać twoich morałów. Ani zmieniać decyzji.

– Ależ... mnie chodzi tylko o to, że warunki, w których mieszkają, są, delikatnie mówiąc, uwłaczające godności człowieka. Nie możesz ich ulokować gdzie indziej? Jeśli chodzi o pieniądze, brat twojej mamy zaofiarował się, że będzie opłacał ich pobyt.

– Nieprawdopodobne... Janusz Stefańczyk? – zdziwiła się Aneta. – Już im darował, że go wycyckali z połowy spadku po rodzicach?

– Widocznie darował...

– No cóż. Ja widać bardziej poszłam w ojca niż w matkę i nie jestem taka wielkoduszna.

– A cóż ty im możesz mieć za złe? Wychowali cię, wykształcili, umożliwili start w obecnym życiu.

– Tak, ułatwili mi start, ale nie w sposób, w jaki ci się wydaje. Pewnie nie wiesz, ale zaraz po studiach wróciłam do domu i tam zamierzałam zostać, miałam bardzo konkretne plany. Tatuś nawet wielkodusznie zapisał mi cały majątek. Cholernie zadłużony majątek! Gdy dowiedziałam się, jakie zobowiązania na mnie ciążyły, spakowałam się i wyjechałam do Gdańska, a dług rósł. Do dziś nie mogę pracować na własny rachunek, żeby mi komornik nie wszedł na konto. Wcześniej ojciec posprzedawał co cenniejsze ruchomości, auta, sprzęt elektroniczny, a nawet co wartościowsze meble, nie wiem, co zrobił z tą forszą, niewykluczone, że już wówczas zaczął zbierać na wyjazd za granicę. Ziemię po babci prędko zlicytowano, budynki, w których rozkręcił swoje szemrane interesy, też, ale domu z lokatorami nikt nie chciał kupić, więc mieszkali sobie w nim beztrudno, dokąd się dało. Wreszcie znalazł się ktoś, kto pewnie doszedł do wniosku, że są już wystarczająco starzy, by ta sytuacja nie trwała zbyt długo, i kupił dom, wydzielając im tyle miejsca, ile było uwzględnione w trakcie zapisu jako wieczyste użytkowanie. Ich sytuacja z dnia na dzień się pogorszyła, nowi właściciele mieli trójkę dzieci, dwa psy, zaczął się nieustający gwar, narastał konflikt. Aż w końcu wzięli nogi za pas i tak znaleźli się u ciebie. Ciąg dalszy znasz.

– Czemu jednak zmienili zdanie i nie polecili do Australii? O ile oczywiście w ogóle zamierzali tam polecieć...

– Zamierzali, ale po co urządzać się od nowa i żyć na własny rachunek, skoro można na cudzy? Zwalili mi się na głowę i tatko oznajmił, że zostają.

– I co? – spytałam, niemal wstrzymując oddech.

– I załatwiłam im inne lokum. Otworzyłam konto, zabezpieczyłam ich oszczędności, ale żadne z nich nie zostało do niego upoważnione. Ja oczywiście nie tknę ani grosza, ale nie zamierzam też do nich dokładać. Ludziom w ich wieku i z ich zdrowiem bardzo przyda się taka rezerwa...

Spojrzelśmy na siebie z Alekssem, z lekką wstrząśnięci nowymi informacjami.

– Teraz rozumiesz, kuzyneczko? – Aneta uśmiechnęła się cynicznie.

– Tak – przyznałam, bo innego wyjścia nie było.

– I nie będziesz się już wtrącała w nie swoje sprawy?

– Nie będę...

– Wobec tego, jeśli jeszcze tu zostajecie, zapraszam na kolację, może jest szansa, że spędzimy miło czas bez poruszania niewdzięcznych tematów. Najlepiej w środę o osiemnastej, a tymczasem wyjeżdżam w interesach. To jak? Jesteśmy umówieni?

– Jeśli do tej pory będziemy w Gdyni, wpadniemy na pewno – odparłam asekuracyjnie.

– Co teraz? – zapytał Aleks, gdy wsiedliśmy do auta. – Zwiewamy czy podejmujemy się doprowadzić sprawę do końca?

– To znaczy?

– Czy wrócimy do tego pożał się Boże domu „spokojnej” starości i powiemy wujostwu, jak się sprawy mają?

– No chyba sobie nie wyobrażasz, że będzie inaczej – skrytykowałam jego tchórzliwą postawę.

– Jakoś tego nie widzę – przyznał Aleks. – Będzie płacz i zgrzytanie zębów.

– Trudno. Zresztą jak chcesz, mogę załatwić to sama.

– Chętnie bym na to przystał, ale nie bardzo mi, jako facetowi, wypada...

– Spokojnie, ja chętnie załatwię to sama – postanowiłam. – Ty mnie tylko podwieziesz.

Ustaliliśmy, że wstrzymamy się z tym jakiś czas i przedtem porządnie naładujemy akumulatory, korzystając ze słońca. Miałam swój bardzo konkretny plan, którym na razie nie zamierzałam dzielić się z mężem.

* * *

Ostatnie wydarzenia związane z wujostwem ostudziły mój zapał na tyle, że chwilowo wcale nie paliłam się do ich sprawy. Oczywiście miałam świadomość, że to tylko chwilowy przestój, korzystałam więc z niego, ile się dało. Po kilku dniach plażowania, zdrowego odżywiania i stylu życia (wysypiania się, spacerów, przyjemnego relaksu) z zadowoleniem spoglądałam na siebie w lustrze. Opalone ciało, promienna cera i zdrowo lśniące włosy były wystarczającą oznaką, że robię dokładnie to, czego od dłuższego czasu domagał się mój organizm. Za moim Alekssem natomiast obce kobiety oglądały się na ulicy, sprawiając, że duma walczyła we mnie z zazdrością. Najwyraźniej pogoda chciała nam zrekompensować uboczne cele naszego przyjazdu do Gdyni. Tak, uboczne, choć jeszcze parę dni temu uważałam je za główny powód naszej wizyty tutaj.

W przeddzień umówionej kolacji z Anetą zdecydowałam się na wizytę u Edyty i Rogera. Aleks podwiózł mnie do nich i bez najmniejszych oporów odjechał, obiecując wcześniej, że jak tylko dam mu znać, natychmiast po mnie przyjedzie.

– No ileż można czekać – powitał mnie Roger pretensjami. – Zapomniałaś sobie o nas czy jak?

– Nie zapomniałam, wujku. Postanowiliśmy z mężem skorzystać z pobytu nad morzem i poleniuchować przez kilka dni.

– Jasne! A los nieszczęśliwych ludzi był ci natenczas obojętny – skomentował.

– Nie był. Uważam, że należał nam się taki odpoczynek po całym roku harówki.

Chyba go prowokowałam, ale tego już nie skomentował.

– Mów więc w takim razie, z czym przychodzisz – zażądał.

– Okej, ale najpierw chciałabym pogawędzić z ciocią sam na sam. Możesz wyjść do ogrodu? – zapytałam ją.

– Do ogrodu tak – odparła.

– A ja się nie zgadzam! – zaprotestował Roger.

– Na co się nie zgadzasz?

– Na żadne babskie ploty!

– Ale to nie ty masz się zgadzać, tylko ciocia. Idziesz, ciociu? – spytałam.

– Idę – odpowiedziała zdecydowanie.

Usiadłyśmy na ławce w pełnym słońcu. Teraz dopiero dostrzegłam nieudolnie zamaskowane pudrem siniaki na twarzy i ramionach Edyty.

– Chciałabym, ciociu, żebyś była ze mną zupełnie szczerą – od takich słów zaczęłam naszą rozmowę.

Edyta milczała.

– No dobrze. Wobec tego będę pytała wprost: czy on cię pobił po naszej wizycie?

– Tak – odpowiedziała, patrząc mi w oczy. – Nie podobało mu się to, co mówiłam.

– Wcześniej też się to zdarzało?

Ciocia na dłuższą chwilę zacisnęła usta.

– Mało było w moim życiu chwil, gdy się nie zdarzało – odpowiedziała cicho. – Pierwszy raz uderzył mnie jeszcze przed ślubem. Ale jak to zwykle bywa, potraktowałam to jak incydent i wybaczyłam. Przepraszał, kajał się, nie potrafiłam inaczej...

– A potem?

– Zdarzało się coraz częściej. Dopóki żyli moi rodzice i mogłam jeszcze mieć jakąś alternatywę, próbował się hamować. Potem przestał. Ale ja już nie miałam dokąd pójść, choć mogłabym. Aneta była usamodzielniona, nic mnie przy nim nie trzymało poza... podstawowymi środkami do życia.

– Jak to?

– Ty nie nasz pojęcia, Sandro, jak to jest. Przede wszystkim jest strach, że sobie nie poradzisz, że nie będziesz miała gdzie mieszkać, z czego żyć...

– Masz przecież emeryturę – zauważyłam.

– Co z tego? Nawet gdyby było mnie stać na wynajem najlichszego mieszkania, nie miałabym już pieniędzy albo na leki, albo na jedzenie. Taki miałam wybór, więc się nie zdecydowałam.

– No tak...

– Poza tym jest jeszcze coś takiego jak wstyd. Wielu ludzi miałoby satysfakcję z mojej nędzy, bo Roger ma wielu wrogów.

– Ale to on, nie ty!

– Co to dla nich za różnica. – Ciotka zaśmiała się gorzko. – Miałabym się każdemu z osobna tłumaczyć?

W gruncie rzeczy ją rozumiałam, choć całym jestestwem buntowałam się przeciw takiemu obrotowi sprawy. Przysunęłam się do niej i objęłam mocno jej kruchą, drżącą postać.

– Jak zatem widzisz teraz waszą wspólną przeszłość? – spytałam.

– Nijak. Mnie niewiele potrzeba, jestem do tego przyzwyczajona. Chciałabym jedynie spędzić swoje ostatnie dni w poczuciu, że nikomu nic nie jestem winna. Nawet jeśli kogoś skrzywdziłam wyłącznie przez zaniechanie...

– Ciociu. – Objęłam ją jeszcze mocniej. – Jaka szkoda, że nie wiedziałam tego wszystkiego wcześniej. Bo i ja mam cię za co przepraszać, głównie za niezasłużoną opinię na twój temat.

– A ja ci wcale nie mam tego za złe. Ani tobie, ani nikomu innemu – powiedziała Edyta. – Bo ja nigdy nie zrobiłam niczego, by tę opinię zmienić. Z wygody, z lenistwa, ze... strachu. Co to za różnica? Dziś mi już na niczym nie zależy, a Roger może mnie tłuc, ile zechce.

– Nie będzie. Już nigdy nie podniesie na ciebie ręki – obiecałam. – To ty mi odesłałaś biżuterię po mamie i moje czółenka, prawda?

– Prawda. Tę kolię dał mi Roger, a ja byłam przekonana, że zamówił ją specjalnie dla mnie, bo tak mi powiedział. On zawsze był hojny, lubił, żebym wyróżniała się na tle innych kobiet, więc to nie wzbudziło moich podejrzeń. Pantofle też zabrał, zamierzał je ofiarować Anecie. A ja naprawdę w końcu uwierzyłam, że wrzuciłam je do kosza na śmieci...

– On wie, że zwróciłaś mi te rzeczy?

– Nie. Aneta nadała paczkę, bo ją o to poprosiłam.

Patrzyłam teraz na ciotkę jak na całkiem obcą osobę, jakbym jej w ogóle do tej pory nie znała, i czułam z tego powodu spory dyskomfort. Bo jak mogłam nie dostrzec jej dramatu rozgrywającego się niemal na moich oczach? Edyta jakby czytała w moich myślach.

– Nie martw się, Sandro. Ja paradoksalnie dopiero teraz czuję się szczęśliwa, mam mieszkanie, wikt i opierunek całkiem niezależnie od Rogera. Zauważyłaś, że nie jestem już taka pokorna? – uśmiechnęła się.

– Zauważyłam. Mam nadzieję, że on cię już dziś za to nie ukarze.

– Niech karze, co mi tam. Teraz jedziemy dokładnie na tym samym wózku i to mi dodaje odwagi. Jestem w stanie znieść najgorszą nędzę, pod warunkiem że mój przyzwyczajony do wygod małżonek będzie ją dzielił ze mną. – Edyta spojrziała na mnie, ciągle się uśmiechając, a nawet puściła do mnie oko...

* * *

W dniu umówionej z Anetą kolacji źle się poczułam. Przede wszystkim straciłam apetyt, co było u mnie raczej rzadkie. Zazwyczaj jedzenia musiałam sobie odmawiać, zamiast się do niego zmuszać, a teraz było odwrotnie. Początkowo myślałam, że po prostu przejadły mi się ryby, którymi żywiłam się od ładnych kilku dni, dosłownie pod każdą postacią. Zmieniłam je więc na dewolaja, potem na placki ziemniaczane, a w końcu na pierogi z jagodami. Wszystko miało dla mnie smak przeżutej gumy. Doszłam do wniosku, że moja dolegliwość musi być w takim razie skutkiem podtopienia w morzu.

W niedzielę, nakłoniona przez Aleksa, próbowałam popływać, niestety, fala zbiła mnie z nóg i skończyło się na tym, że opłam się wody jak bąk. Na szczęście ów dramat rozegrał się przy samym brzegu pod troskliwym okiem męża, który znając moje możliwości, asystował mi z czujnością godną etatowego ratownika. Straszne to było uczucie, miałam tej wody z różnorakim szlamem i glonami po sam przetyk, odbijało mi się tym do południa następnego dnia. Doszliśmy więc w końcu z Alekssem do wniosku, że moja przypadłość może być wynikiem mechanizmu obronnego żołądka przed pochłonięciem przeze mnie jakiegoś paskudztwa lub – w gorszym przypadku – zatruciem jakąś bakterią znajdującą się w wodzie.

– Bardzo blada jesteś, kochanie – stwierdzał systematycznie Aleks, od czasu do czasu przyglądając mi się z niepokojem.

– Trudno – skwitowałam dowcipnie. – Jak się ktoś blady urodził, to mu i opalanie nie pomoże...

Tego rodzaju żarty nie pomagały jednak mojemu mężowi w odzyskaniu dobrego nastroju. Najpierw delikatnie zaczął mnie nakłaniać do rezygnacji z wizyty u Anety, później zaczął wspominać wręcz o powrocie do domu.

– No chyba oszalałeś! – oburzyłam się. – Przejechać taki szmat drogi, żeby zrezygnować z ustalonego celu przez głupią dolegliwość! Kupię sobie w aptece krople żołądkowe i będzie po sprawie. One zawsze mi pomagały.

Rano, jak tylko się obudziłam, mój mąż wręczył mi te krople. Spojrzałam na zegarek: dochodziła jedenasta.

– Ależ ze mnie śpioch – wyznałam ze skruchą. – Widać tego było mi trzeba, bo czuję się doskonale!

Wyskoczyłam z łóżka i poczułam gwałtowny zawrót głowy, o mało nie zwałam się na nie z powrotem. Na szczęście Aleks niczego nie zauważył, a ponieważ ogólnie naprawdę czułam się dość dobrze, już za moment nie było najmniejszego powodu, by mógł się do czegoś przyczepić. W trakcie porannej toalety stwierdziłam, że nawet odzyskałam kolory. Nic więc nie stało na przeszkodzie, by trzymać się ustalonego planu dnia: śniadanie, plaża, obiad, sjesta, kolacja u Anety.

Dzień był równie piękny jak poprzednie, wszystko dosłownie szło jak z przysłowiowego płatka. Z plaży, tradycyjnie zaliczając po drodze obiad, wróciliśmy po szesnastej. „Flaczki” z kurczaka, które wzięłam dla siebie, były doskonale, a co najważniejsze, nic mi po nich nie było. Podobnie zresztą jak po śniadaniu zaserwowanym przez panią Wandzię.

– Jak to dobrze, że wzięłam z sobą te dwie sukienki – chwaliłam sama siebie na głos, kręcąc się przed lustrem. – Tak będzie dobrze, prawda?

– Przepięknie. – Aleks cmoknął mnie w szyję. – Twoja kuzynka pęknie z zawiści!

– Na tym mi akurat nie zależy. – Spojrzałam na niego groźnie. – Wolałabym, żebyś to ty pękł. Z zazdrości...

– No jasne, że pęknę, jeśli tylko będę miał powód – odparł Aleks. – Myślisz, że ten hebanowy przyjaciel Anety mi go dostarczy?

– Nie sądzę. Wydaje mi się, że jego bardziej interesują inne walory niż te fizyczne...

– Złośliwa jesteś, moja miła – zamruczał mi do ucha Aleks.

– Przecież od zawsze ci powtarzam, że nie jestem taka „cnót pełna”, jak uważa mój brat.

– Jesteś, i taka maleńka uszczypliwość z pewnością tego nie zmieni – stwierdził z przekonaniem.

– Fajnie, że masz o mnie takie dobre zdanie. Ale teraz się trochę pośpieszmy, dochodzi osiemnasta, nieładnie będzie, gdy się spóźnimy.

ROZDZIAŁ XXII

Edyta

Moja kuzynka przeszła samą siebie. A może nie? Może to była w jej domu norma? Ja, nieprzyzwyczajona do takiego przepychu, w pierwszej chwili pomyślałam, że to, co widzą nasze oczy, jest jakimś grubymi nićmi szytym popisem wyłącznie na nasz użytek, ale oczywiście jako dziewczyna z prowincji mogłam się mylić. Odstawiłam więc pierwsze wrażenie na bok, pozostawiając je do ewentualnej weryfikacji na później...

Drzwi otworzył nam najprawdziwszy lokaj w lokajskim uniformie. Zaprowadził nas do sali jadalnej, w której siedział przy fortepianie mężczyzna odziany w smoking i plumkał rzewne melodie. Równocześnie z nami do jadalni weszła Aneta, uwieszona u ramienia swojego przystojniaka. Sukienka, z której jeszcze chwilę temu byłam tak zadowolona, w blasku kreacji Anety wyglądała jak tani ciuszek z second handu. A ona sama? Nie byłam pewna, czy nadal była taka piękna, za jaką kiedyś ją uważałam. Jako młoda dziewczyna nosiła gruby kruczy warkocz, miała finezyjnie wykrojone usta po ojcu i pięknie zarysowane brwi po matce. Do tego czarne niemal oczy ocienione długimi rzęsami i zdrową, brzoskwiniową cerę z delikatnym puszkciem nad górną wargą. Dziś, mimo iż w ogólnym zarysie wyglądała prawie tak samo, nie pozostała w niej ani krztyna dawnej, bezpretensjonalnej świeżości. I nie chodziło o to, że była co najmniej o dziesięć lat starsza, jej uroda była teraz jakaś taka... przesadzona. Twarz zbyt gładka, usta zbyt pełne, brwi zbyt wysoko uniesione i absolutnie nieskazitelna, idealna fryzura upodabniały ją trochę do lalki.

– Siadajcie, kochani – wskazała gestem na krzesła, a lokaj usłużnie nam je podsunął – na początek może mały aperitif?

Onieśmieleni skinęliśmy głowami. Alkohol, mieszankę różnego rodzaju orzeszków, chipsy oraz paluszki podał nam kelner w odpowiednim do swojej roli stroju.

– No i jak? Jak wam się podoba w Gdyni? – spytała Aneta z uśmiechem Mony Lisy.

Miałam wrażenie, że tak naprawdę pyta o to, jakie wrażenie robi na nas to, co widzimy.

– Bardzo nam się podoba. Najważniejsze, że pogoda dopisuje – odparłam. – Dzięki temu nie mamy powodu żałować, że nie wybraliśmy się w cieplejszy klimat.

– O? Gdzie więc zazwyczaj spędzacie wakacje?

- Chorwacja, Egipt, Turcja... Jak wszyscy – zaśmiał się Aleks.
- A ja uwielbiam odpoczywać w Dubaju. Piękny kraj, mnóstwo atrakcji turystycznych, o gości dbają tam w naprawdę szczególny sposób. Mam też do niego dość osobisty sentyment, cztery lata temu przywiozłam sobie stamtąd męża.
- Spojrzała na Kamala z czułością.
- Pan również jest architektem, tak? – spytał Aleks.
- Nie, ja nie jestem – odpowiedział. – Ja jestem... kukacz.
- Słucham? – Aleks spojrzał na niego zdezorientowany.
- Kucharz – roześmiała się Aneta. – Kamil tylko firmuje swoim nazwiskiem moje interesy. I mówi się k u c h a r z, Kamilku. Tyle razy cię tego uczyłam.
- Kuchacz – powtórzył. – Teraz dobdzie?
- No, prawie. I trafił, jak się to mówi, do mojego serca przez żołądek – dodała, patrząc na mnie.
- Miłość niejedno ma imię – podsumował filozoficznie Aleks. – Ja bym nie miał szans na taki sposób, bo moja Sandra się wiecznie odchudza i prawie nic nie jada.
- No właśnie, już wcześniej miałam to powiedzieć, że wyglądasz o wiele korzystniej, niż gdy cię widziałam po raz ostatni.
- Dziękuję. Masz piękny dom – powiedziałam, skoro nadeszła pora na komplementy. – Muszę przyznać, że robi wrażenie.
- Aneta była bardzo zadowolona z pochwały, na pewno czekała na takie słowa.
- Zawsze chciałam mieć właśnie taki. Można powiedzieć, że to projekt mojego życia, wszystko jest w nim urządzone z największą dbałością o każdy detal.
- Moja dzona świetny architektura jest – przyłączył się do zachwyków Kamal. – Prawda?
- O tak, a z pewnością nietuzinkowy – przyznałam.
- Po kolacji złożonej z kilku egzotycznych dań przeszliśmy do salonu. Tam pani domu z pomocą kelnera zaserwowała przekąski i alkohole. Jedynym spośród nich, który znałam, był koniak, który niestety źle mi się kojarzył. Aleks jako kierowca miał z głowy wszystkie inne wymówki, ja – nie. Nie chcąc być niegrzeczną, „skusiłam” się więc na lampkę koniaku. Delektowałam się nim bardzo wolno, zakąszając od czasu do czasu tym lub owym. Rozmawialiśmy na tematy neutralne, nie wracając do sprawy wujostwa, jak chciała Aneta. Było nawet całkiem sympatycznie, mimo iż co jakiś czas musieliśmy uczestniczyć w prezentacji kolejnych elementów przepychu, w jakim żyła moja kuzynka.
- A może trochę popływamy? – zaproponowała w którymś momencie. – Wieczór jest bardzo ciepły, woda w basenie podgrzewana.
- Niestety, nie jestem na taką ewentualność przygotowana – odparłam po

chwili, gdy minęło mi zaskoczenie.

– Żaden problem. Dam ci swój strój kąpielowy, a dla Aleksa na pewno Kamil coś znajdzie.

Aleks na widok rosnącego na mojej twarzy przerażenia postanowił mnie ratować.

– No to ja może powiem coś, czego, mam nadzieję, Sandra nie weźmie mi za złe: moja żona niestety nie umie pływać, choć niechętnie się do tego przyznaje.

– Czkoda – skomentował zawiedziony Kamal. – Ja bym popływała.

– Popływaj sobie wobec tego – zachęciła go Aneta. – No cóż, rzeczywiście szkoda, bo pływanie to świetna sprawa.

– Wiem, ale skoro nie nabyłam tej umiejętności wcześniej, jakoś mi się teraz nie chce nadrabiać.

Pływać trochę umiałam, basen nie stanowił dla mnie takiego wyzwania jak morskie fale, nie zamierzałam jednak prostować tego, co powiedział Aleks, zwłaszcza że kompletnie nie miałam na to ochoty.

– Mogę cię o coś zapytać? – zwrócił się do Anety mój mąż po wyjściu Kamala.

– Jasne – zgodziła się bez wahania.

– Nie masz obaw, że... No wiesz, że Kamil w którymś momencie wykorzysta ten fakt, że to on jest formalnym właścicielem całego twojego majątku?

– Najmniejszych. – Kuzynka roześmiała się beztrąsko. – Wszystko jest opracowane w taki sposób, że nie ma na to szans. Poza tym... on nawet o tym nie wie. Wie, że figuruje na wizytówce mojego biura, i tyle.

– Jak to?

– Ano tak. Jak się chce, to się da – spuenteowała. – Zresztą mówiłam wam, że do tej pory nie mogłam dzięki wielkoduszności tatusia zarabiać na własny rachunek i zanim poznałam Kamila, musiałam radzić sobie na różne sposoby, na przykład angażując w sprawę mojego pierwszego męża. I co? Był rozwód, jego nie ma, a to, co moje, zostało dla mnie. Jak się chce, wszystko się da – powtórzyła z uśmiechem.

– Teraz sytuacja się zmieniła?

– Owszem, bank zaspokoił swoją wiarygodność dzięki sprzedaży domu i już będę mogła wszystko wyprostować.

Aleks na szczęście nie dopytywał o szczegóły, bo już włączyłam swoją czujność, by w razie konieczności kopnąć go dyskretnie. Za to ja miałam wielką chęć skorzystać z okazji i nawiązać do tematu Rogera, powstrzymałam się jednak, nie chcąc psuć atmosfery.

* * *

Miłe złego początku – jak mawiała moja babcia, bo w myśl jej porzekadła po

upojnie spędzonym wieczorze jeszcze przed świtem wróciły moje żołądkowe perturbacje. Na szczęście już w pensjonacie, nie zmieniło to jednak faktu, że pół nocy przekłęczałam obok klozetu.

– Cholerny koniaczek – jęczałam do Aleksa w chwilach przerwy. – Tak to jest, jak się nie potrafi odmawiać.

– Biedne ty moje maleństwo – małżonek użalał się nade mną. – Może po prostu powinnaś była pozostać przy jednym?

– Kiedy mi wczoraj nawet całkiem fajnie podchodził! Zresztą trzy lampki to znowu nie tak dużo...

– Widocznie za dużo – podsumował z troską.

Mój kochany robił, co mógł, by mnie przywrócić do życia: biegał do apteki, parzył ziółka, poił i karmił sucharkami oraz ryżową kaszką. Niestety, jak tylko czułam się głodna i próbowałam zjeść cokolwiek, natychmiast biegłam do łazienki. Skapitulowałam więc całkowicie i postanowiłam wyłącznie leżeć, czekając, aż mi samo przejdzie. Niestety, gdy moja irytacja ustąpiła zmęczeniu na tyle, że wreszcie mogłabym zasnąć, zadzwoniła komórka Aleksa.

– To do ciebie. – Podał mi aparat.

– Jak to do mnie? – zdziwiłam się, bo w takim razie połączenie powinno przyjść na mój telefon.

Spojrzałam na ekran i zrozumiałam. To była Irma, a ona dysponowała tylko numerem Aleksa, który wyszukała sobie w mojej komórce, gdy popadłam w podobną niemoc u niej w domu. Ten fakt natychmiast skojarzył mi się z koniaczkiem, a to z kolei sprawiło, że znów poczułam się fatalnie. Tym bardziej że ona od pierwszych słów zasypała mnie pretensjami.

– Już myślałam, żeście pomarli – to było zamiast dzień dobry. – Naprawdę aż tyle wysiłku kosztowało cię, moja droga, by poinformować koleżankę, coście tam zdziałali?

– Przepraszam – odparłam ze skruchą, bo Irma była zainteresowana sprawą ciotki prawie w takim samym stopniu jak my, więc może i taka informacja by jej się należała...

– Wiesz, akurat fatalnie się czuję. Od kilku dni mam straszne problemy trawienne – tłumaczyłam się jej.

– Rzygasz? – spytała Irma jak zwykle prosto z mostu.

– Owszem, właściwie wcale nie przestaję – przesadziłam ociupinkę, by raczej na tym skupić teraz jej uwagę. – Chyba będę musiała znaleźć tu jakiegoś lekarza.

– Ja też raz kiedyś miałam podobnie. Nie pomagało dosłownie nic: kropelki, ziółka, węgiel ani żadna dieta.

– Tak? – zainteresowałam się. – I co?

– Nic. Przeszło mi dokładnie po dziewięciu miesiącach.

– W moim przypadku to na pewno nie wchodzi w grę. Badałam się pod tym kątem bardzo szczegółowo.

– O czym ty mówisz? – Aleks podniósł głowę znad gazety.

– O salmonelli – odparłam, nie chcąc go wtajemniczać w naszą rozmowę.

– Nic nie szkodzi – zachichotała Irma. – Taką... salmonellę może złapać znieczulaczka nawet całkiem odporny na nią organizm. Znam niejednego podobny przypadek, w tym mój własny.

– Kiedy ty się badałaś na salmonellę? – spytał Aleks ze zdziwieniem.

– W dzieciństwie.

– W dzieciństwie?!

– Idź ty lepiej do apteki po test ciążowy – poradziła mi Irma. – A do lekarza idź wtedy, gdy wynik się okaże negatywny.

– Sandra! – Aleks spojrzał na mnie zdeglustowany. – Jeśli wyszło ci z tych badań, że nie miałaś salmonelli do tej pory, wcale nie oznacza, że nie masz jej teraz! Irma może mieć rację.

– Ja też tak sądzę – powiedziała Irma, bo i ona usłyszała podniesiony głos Aleksa.

– Bardzo bym chciała, ale wiem, że to niemożliwe – odpowiedziałam do słuchawki.

– Co ty byś chciała mieć?! Salmonellę? – nie wytrzymał mój mąż i zabrał ode mnie telefon.

– Słuchaj, Irma, nie mieszaj mojej żonie w głowie, okej?! Bo jak coś się jej stanie, nie puszcę ci tego płazem! – wrzasnął i przerwał połączenie.

Jeszcze nigdy nie widziałam go tak poirytowanego.

– Oszalałeś? Dlaczego na nią krzyczysz? – spytałam przelękniona.

– Dlaczego? Dlatego że kocham cię nad życie i nie pozwolę, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

– Jaką... krzywdę?

– Ja wiem, do jakich metod kobiety posuwają się dziś, żeby zyskać smukłą sylwetkę. Słyszałem o celowym hodowaniu w sobie tasiemca, o salmonelli jeszcze co prawda nie, ale widać i na to już ktoś genialny wpadł! – wysapał w nerwach.

Nie wytrzymałam. Nie miałam siły, by roześmiać się na cały głos, dlatego chichotałam jak przysłowiowa pensjonarka. Ciekło mi przy tym z oczu i z nosa.

– Dawaj ten telefon – załkałam. – Muszę zadzwonić do Irmy i ją przeprosić. No co tak patrzysz? Gdybyś nie wtrącał się co drugie słowo do naszej rozmowy, nie wyszłoby tak idiotycznie...

– To znaczy... Nie chcesz mieć salmonelli? – spytał zmieszany.

– A kto by chciał? I może trochę więcej wiary w mój rozsądek, okej?

Aleks podał mi swoją komórkę. Wyglądał teraz jak siedem nieszczęść, chyba nie bardzo wiedział, jak powinien się teraz zachować i co powiedzieć.

– No to... pogadajcie sobie – bąknął pod nosem. – Ja w takim razie... może... skoczę do sklepu po gorzką czekoladę, podobno też nieźle działa na takie przypadłości jak twoja.

Po chwili Irma rechotała razem ze mną. Kiedy przestałyśmy się śmiać, opowiedziałam jej, co udało nam się ustalić w sprawie ciotki i wujka.

– Co w związku z tym zamierzasz? – zapytała rzeczowo.

– Nie mam pojęcia...

Podalam jej nazwę miejscowości, w której się znaleźli, oraz nazwę domu opieki, by mogła go sobie „wygugłać” w Internecie.

– Najchętniej zabrałabym Edytę ze sobą – wyznałam – ale nie mam pomysłu, co dalej. Uważam, że nie powinna mieszkać razem z Rogerem. Może faktycznie Stefańczyk załatwiłby dla niej jakiś przyzwoity dom opieki w naszej okolicy? Jak sądzisz?

– A do tego czasu małżonek będzie ćwiczył na niej sztuki walki? – spytała z przekąsem.

– No nie, to nie wchodzi w grę, oczywiście. Może gdyby udało mi się przekonać Aleksa, zabrałibyśmy ją już teraz, pobyłaby u nas do czasu znalezienia innego miejsca.

– To byłoby jakieś rozwiązanie – zastanowiła się Irma. – Ale najpierw pogadaj z tą... jej córką. Może jednak zmieni zdanie?

– Już gadałam, mówiłam ci przecież.

– Tak, ale tym razem porozmawiaj z nią wyłącznie o matce. Bo ja się wcale nie dziwię, że na wspomnienie o tatusiu nóż jej się w kieszeni otwiera.

– A wiesz, że chyba masz rację? Może Aneta nie ma do matki aż takiego żalu, przeciwnie, znając swojego ojca, powinna nawet czuć dla niej litość...

– O tym właśnie mówię – przytaknęła Irma. – I obiecaj mi coś, bardzo cię proszę...

– No dobra, o co chodzi?

– Jak najszybciej kup sobie ten test!

– Kupię – obiecałam bez entuzjazmu.

– I jak go sobie zrobisz, natychmiast zadzwoń do mnie. Dobrze?

– Dobrze – westchnęłam, bo nie miałam na to najmniejszej ochoty.

Łatwo obiecać, trudniej zrobić. I nie chodziło o to, że Irma na nowo wzbudziła we mnie nadzieję, bo absolutnie na nic w tej kwestii nie liczyłam. Żeby wejść w posiadanie takiego testu, musiałabym pójść do apteki, sama, bo nie chciałam po raz kolejny robić tego Aleksowi. To jednak było niewykonalne, bo mój mąż z pewnością zaoferowałby, że mnie w tym wyręczy, a w najlepszym wypadku poszedłby razem ze mną. Myślę, że nawet gdybym całkiem dobrze się czuła, trudno byłoby mi się wybrać na jakiegokolwiek zakupy bez niego. Jedyne miejsce, gdzie nie uparłby się mi towarzyszyć, była willa Anety. W pobliżu była

nawet apteka, ale niezręcznie mi było nachodzić ją po raz kolejny dzień po dniu. Fakt, mogłabym, jak się to mówi, upiec w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu, miałam jednak niejakie opory.

Gdy wrócił Aleks z czekoladą i stwierdził, że wyglądam już o wiele lepiej, postanowiłam jednak działać.

– Bo dobrze się czuję – odpowiedziałam, co było niemal zgodne z prawdą. – I mam do ciebie prośbę.

– Tak?

– Podrzuć mi na godzinę do Anety?

– A jednak... – bąknął pod nosem.

– Co?

– Rozmowa z Irmą. Bo to chyba ona ci ten pomysł podrzuciła?

– A nawet jeśli? Ty się przede wszystkim ciesz, że się na ciebie nie obraziła.

– Cieszę się. Nie jestem jednak pewien, czy powinnaś tam jechać. A jeśli znów się gorzej poczujesz?

– To będę u swoich, a poza tym od czego są telefony? Zadzwoń po ciebie.

– No nie wiem...

– Ale ja wiem. – Przytuliłam się do niego. – Tylko na godzinkę...

– Teraz?

– Teraz. Aneta jest w pracy, więc musi być w domu – rzuciłam skrótem myślowym.

– Nie wolisz zadzwonić i się upewnić?

– Nie. Wezmę ją twoim sposobem, z zaskoczenia – roześmiałam się.

* * *

Aleks podwiózł mnie pod dom Anety i odjechał, ale wcześniej wymógł na mnie przysięgę, że gdyby cokolwiek mi się działo, natychmiast zadzwonię. Gdy oddalił się wystarczająco, ruszyłam w stronę apteki. Przynajmniej jedną rzecz załatwię, gdyby Anety miało rzeczywiście nie być – pomyślałam z pewną ulgą.

Kupiłam test i nieśpiesznie wróciłam pod dom kuzynki. Była niezmiernie zaskoczona moją wizytą, ale dość radośnie zaprosiła mnie do środka.

– Chyba rzeczywiście ci się u mnie podoba – powiedziała z uśmiechem.

– Bardzo – odparłam. – Ale ja właściwie... mam sprawę.

Nagle przyszło mi do głowy, że aby zbyt obcesowo nie przechodzić do sedna, zacznę od zupełnie czegoś innego.

– Może zostaniemy w ogrodzie? – zaproponowała Aneta. – Od świtu tkwię przy komputerze, chętnie zaczerpnę świeżego powietrza.

– Ja również, bo jakoś nieszczególnie się czuję – przystałam na jej propozycję.

Kuzynka skinęła na pływającego się w basenie Kamala i poleciła mu

przynieść wodę i sok. Widać kelner wynajęty został wyłącznie na wczorajszą imprezę.

– No, chyba że chcesz kawy?

– Nie, dzięki, woda wystarczy.

Aneta przyjrzała mi się uważnie.

– Mam nadzieję, że nie zaszkodziło ci nic, co wczoraj u mnie zjadłaś lub wypiałaś?

– Nie, no jasne, że nie – odparłam wbrew swojemu przekonaniu. – Mam pewne podejrzenia co do mojego samopoczucia i niestety musiałam wciągnąć cię w pewien fortel.

– To znaczy? – spytała zaciekawiona.

– Właściwie tak naprawdę to miałam interes do apteki, ale nie chciałam, żeby mąż tam ze mną poszedł. Powiedziałam mu więc, że wybieram się do ciebie na babskie pogaduchy, a gdy odjechał, kupiłam, co trzeba.

– Chyba się domyślam, w czym rzecz. – Kuzynka skinęła głową ze zrozumieniem. – Chciałoby ci się w tym wieku angażować w macierzyństwo? Jakby co, oczywiście.

– Bardzo by mi się chciało, Aleksowi też, dlatego nie chciałam go wtajemniczać, gdyby się miało okazać, że to fałszywy alarm.

– Hm... Ja nigdy nie pragnęłam potomstwa, ale bywają kobiety, dla których podobno jest to główny życiowy cel. Na co więc czekasz? Leć do łazienki, chcę ci pogratulować!

– Wybacz, ale wolę zrobić to po powrocie do pensjonatu, bo tak czy inaczej, na pewno się rozkleję. Nie zajmę ci dużo czasu, Aleks przyjedzie po mnie za godzinę.

– Nie ma sprawy, już powiedziałam, że chętnie zrobię sobie przerwę.

– Bycie matką z pewnością nie jest łatwe, ale myślę, że radość, jaką daje dziecko, wszystko rekompensuje... Jaka była dla ciebie twoja mama? – spytałam, bo wydawało mi się, że będzie to dość sensowne nawiązanie do interesującego mnie tematu.

– Nijaka – odparła Aneta. – Nigdy nie miała własnego zdania, bliżej byłam z ojcem.

– Była bardzo piękną kobietą. W pewnym sensie jest nią do dziś.

– Fakt. Tego jednego nie można jej odmówić. Nalać ci wody czy soku?

– Wody. Bo wiesz, w czasie, gdy twoi rodzice pomieszkiwali u nas, doszłam do wniosku, że ona nie jest z moim chrzestnym szczęśliwa.

– Ja nie wiem, czy ona kiedykolwiek była szczęśliwa. Ale cóż, miała, co chciała.

– Czyli?

– To ojciec zawsze rządził w domu, a ponieważ ona mu na to pozwalała,

w końcu zupełnie ją sobie podporządkował. Sam robił, co chciał, hulał, używał życia ile wlezie, a gdy mu poszło coś nie tak, wyżywał się na matce.

– Boże, to straszne – szepnęłam ze zgrozą. – Czy on... pił?

– Chlał, powiedziałabym. Ale nie tylko. Wszystko zaczęło się od czasu, gdy zaczął grać w pokera. Dopóki nie grał na pieniądze, dało się wytrzymać, ale gdy w końcu zaczął, a to pociągnęło za sobą spore przegrane, urządził w domu prawdziwy sajon. Mówiąc w skrócie, zaczął jeszcze więcej pić i bić. Za błyskawicznie pogarszające się warunki bytowe winił matkę, że rozrzutna, niegospodarna i takie tam. Nie przyjmował do wiadomości, że postne jedzenie, które z dnia na dzień zaczęło gościć na naszym stole, może być konsekwencją jego wyczynów. Nie kojarzył związku. A matka na uszach stawała, by mieć co postawić na stół, gdy wracał w podłym humorze.

Wówczas przypomniało mi się ciasto, którym obdarowywała mnie mama przed korepetycjami u Anety, i zaczęło mi się rozjaśniać w głowie.

– A te zabawki, które mi dałaś, a ciotka zabroniła ich zabrać? – spytałam naturalną kolejną rzeczy.

– I dobrze, że zabroniła, ojciec sprzedał je zaraz potem w komisie. Gdybyś je wówczas wzięła, z pewnością odbiłoby się na niej.

– Twoje... zabawki?

– Tak. I mój rower, i mój magnetofon... Nie ruszał tylko futer ani biżuterii matki, bo dzięki nim wszystko nadal wyglądało tak, jakbyśmy się pławili w bogactwie. Już wolał sprzedać coś ze swojej garderoby...

– A ty co na to? Nie próbowałaś na niego wpłynąć?

– No cóż, matka była dorosłą, sprawną umysłowo kobietą. Gdyby chciała, sama potrafiłaby się obronić. Ale ona się zachowywała... jak kukła. Na szczęście to ojciec wpoił mi pewne życiowe zasady, dzięki którym jestem dziś tu, gdzie jestem. Jemu to wszystko zawdzięczam.

– Żartujesz?

– Wcale. Szkoła życia, jaką na koniec mi zafundował, tylko mi w tym pomogła, dziś liczę tylko na samą siebie, a takie rzeczy jak miłość czy przyjaźń traktuję wyłącznie w kategoriach rozrywkowych – roześmiała się.

– To chyba bardzo wygodne stanowisko, bo nie narażasz się na żadne życiowe rozczarowania...

– Dokładnie. Twardo stąпам po ziemi, jak się to mówi.

– Wiesz, pamiętam taki moment, gdy twoja mama zachorowała – poruszyłam jeszcze jedną sprawę. – Myślę, że to twojego ojca jakoś otrzeźwiło, nigdy wcześniej nie widziałam go tak zrozpaczonego. Na głowie wręcz stawał, żeby zdobyć pieniądze na jej operację...

Byłam bardzo zadowolona, że Aneta już na wstępie nie przerwała tego tematu, i wykorzystywałam sytuację, ile się dało. Teraz jednak kuzynka spojrziała

na mnie tak, że zaczęłam się spodziewać nagłego końca rozmowy.

– Nie wiem nic na temat żadnej operacji. O czym ty mówisz? – spytała.

– Może nie wiesz, bo od dawna mieszkałaś już tutaj – przyznałam bez szczególnego zdziwienia. – Stan cioci był na tyle dramatyczny, że postanowiłam jej pomóc. Sprzedałam dom i oddałam twojemu ojcu to, co mu się należało w ramach spłaty. Akurat wystarczyło na pokrycie kosztów leczenia.

– Ha, ha! – zaśmiała się Aneta. – A to dobre! No cóż, jak to się mówi, głupich nie sieją. Bez urazy, kuzynko, ale dałaś mu się wpuścić w niezłe maliny!

– To znaczy? – spytałam, modląc się w duchu, żeby to nie była prawda.

– On potrzebował tych pieniędzy na spłacenie „honorowego” karcianego długu. Wiem, bo i mnie wtedy próbował naciągnąć na grubszą kasę, na tę samą bajeczkę, oczywiście. Ale gdy mu powiedziałam, żeby przywiózł matkę do mnie, a ja zajmę się wszystkim tutaj, łącznie ze sfinansowaniem leczenia, nagle umilkł. Ja zawsze umiałam się dowiedzieć, co u nich w trawie piszczy, mimo iż nie utrzymywaliśmy kontaktów, mam swoje sposoby...

– A więc sprzedałam własny, rodzinny dom, żeby spłacić szemrane długi chrzestnego? – spytałam, ciągle jeszcze nie wierząc w to, co słyszę.

– Dokładnie. Chociaż powinien był z tych pieniędzy spłacić te mniej „honorowe”, wielu oszukanych przez niego ludzi by na tym zyskało, nie sądzisz?

– Czemu więc tego nie zrobił?

– Egzekucja była, że tak powiem, mniej skuteczna. – Aneta roześmiała się znowu.

Mimo iż miałam już serdecznie dosyć tych rewelacji, chciałam wykorzystać rozmowność Anety i zapytać jeszcze o parę spraw, ale kątem oka dostrzegłam, że pod bramę jej posesji zajeżdża Aleks.

– Jest i mój szofer – zażartowałam z trudem. – Na mnie pora.

– Wpadnij jeszcze, jeśli zechcesz – zachęciła mnie Aneta. – I w ogóle, przy każdej okazji w przyszłości.

– Niewykluczone, że skorzystam. Ale powiedz mi, proszę – postanowiłam zaryzykować ostatnie pytanie – co dziś czujesz do swoich rodziców?

– Co? – Aneta zastanowiła się przez chwilę. – Do ojca wyłącznie obrzydzenie, a matką gardzę.

Po tym, co usłyszałam, trudno było mi do końca utrzymać na twarzy serdeczny uśmiech. Wystarczyło mi go jednak na tyle, by pożegnać się z kuzynką, nie dając po sobie poznać, jak bardzo mną jej ostatnia wypowiedź wstrząsnęła.

ROZDZIAŁ XXIII

Najtrudniejszy test w moim życiu

– Jak się czujesz? – to było pierwsze pytanie mojego męża zaraz po pełnym niepokoju spojrzeniu mi w twarz.

– Prawie dobrze.

– To znaczy?

– To znaczy fizycznie nic mi nie dolega – uspokoiliam go połowicznie.

– Rozumiem wobec tego, że nie udało ci się nakłonić Anety do polepszenia losu swoim rodzicom? Bo po to chciałaś się z nią zobaczyć?

– I tak, i nie – westchnęłam. – Chciałam pogadać głównie o Edycie, ale po tym, co usłyszałam, nawet nie odważyłam się wspomnieć, by coś dla niej zrobiła.

– Kochanie ty moje, mnie też jest żal twojej ciotki, w końcu to dla niej chciałem tu przyjechać, ale powiem ci tak: najważniejsze, że oboje żyją, nic im się nie stało, wiemy, gdzie są, mają gdzie mieszkać i co jeść. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, więcej po prostu się nie da. Możemy z czystymi sumieniami wracać do domu.

– Za trzy dni. – Uświadomiłam sobie, że nasz urlop już się kończy.

– Za trzy dni – powtórzył Aleks z uśmiechem. – Mam nadzieję, że i ty doszłaś do podobnych wniosków? I że nie chodzi ci po głowie, by ich na powrót zainstalować u nas? – zastrzegł, spoglądając na mnie z powagą.

Byliśmy już na miejscu, więc wykorzystałam okazję i szybko wysiadłam z auta, nie udzielając mu odpowiedzi.

– Idziemy na obiad? – spytałam, by oddalić tamten temat.

– Teraz, od razu?

– Czemu nie? Pora jest w sam raz moim zdaniem.

– Wygląda na to, że moja mała jest już zdrowa, skoro jej wrócił apetyt – roześmiał się Aleks.

Rzeczywiście, nagle poczułam się tak głodna, że mogłabym pożreć przysłowiowego konia z kopytami, nadałam więc naszemu spacerowi do knajpki całkiem niespacerowe tempo. Zamówiłam dla siebie porcję naleśników z serem, a gdy już się z nimi uporałam, poprosiłam o jeszcze jedną.

– Nie wiem, czy to rozsądne – zaniepokoił się Aleks. – Po tak długim poście może to być zbyt duże obciążenie dla twojego żołądka...

Owszem, i ja zdawałam sobie z tego sprawę, ale nie byłam w stanie się pohamować. Na wszelki wypadek jednak zjadłam tylko połowę drugiej porcji.

– To co? Wrócimy teraz na chwilę do siebie, a potem plaża? – zapytał mąż,

któremu już chyba przeszły obawy co do mojej kondycji.

– Może. Ale nie jestem pewna, czy nie wolałabym dziś zostać i poleniuchować.

– Zrobimy, jak zechcesz. – Aleks pochylił się w moją stronę i pocałował mnie w policzek.

– Nie miziaj się tak publicznie, bo jeszcze ktoś zadzwoni na policję – roześmiałam się.

– A niech dzwoni, jeśli posadzą nas w jednej celi, to ja nie mam nic przeciwko – dowcipkował, najwyraźniej zadowolony z faktu, że wszystkie nasze problemy odeszły w niebyt.

Ale nie odeszły, niestety, bo jeśli chodzi o Edytę, nie zamierzałam odpuścić. Jeszcze nie wiedziałam, co zrobię, a w szczególności jak, musiałam więc sprężyć się i coś wymyślić, bo czas uciekał nieubłaganie.

Po powrocie do pensjonatu ogarnęła mnie tak przemożna senność, że zrzuciłam tylko buty i tak jak stałam, padłam na łóżko.

– A teraz chwila na regenerację ciała i duszy – oznajmiłam i natychmiast zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, powoli zbliżał się wieczór. Aleks siedział w fotelu i oglądał telewizję. Nie zauważył, że już nie śpię, korzystając zatem z chwili, że jest skupiony na jakimś filmie, postanowiłam przez chwilę porozmyślać o dręczącym mnie problemie. Mój mąż niestety nie znał szczegółów mojej dzisiejszej rozmowy z Anetą, a ja nie miałam ani ochoty, ani siły, by mu ją w całości powtórzyć. Zresztą Aleks przecież wiedział, jak w ogólnym zarysie wyglądało życie ciotki, a mimo to nawet nie chciał słyszeć o dalszym angażowaniu się w tę sprawę. Chwilowo kompletnie nie miałam pomysłu, jak to zrobię, ale byłam zdecydowana zabrać ją z sobą. Postanowiłam zadzwonić do Irmy, z nadzieją, że podsunie mi jakiś pomysł. Sięgnęłam po torebkę, by wyjąć z niej telefon.

– Już nie śpisz? – Aleks odwrócił się w moją stronę.

– Nie śpię, czuję się świetnie, jestem wypoczęta i zrelaksowana – odpowiedziałam hurtem na wszystkie pytania, które mógłby mi teraz zadać. – I zamierzam zadzwonić do Irmy. Pójdę do łazienki, żeby ci nie przeszkadzać.

– Raczej żebyś to ja nie przeszkadzał tobie – zaśmiał się Aleks. – Masz rację, bo mógłbym znowu coś źle zrozumieć. Facet niestety nigdy nie nadaża z myśleniem za kobietami.

– I tu się z tobą zgadzam. – Wskoczyłam z łóżka.

Szukając w torebce komórki, natknęłam się na test ciążowy, o którym zdążyłam już zapomnieć. Ale skoro już był w moim posiadaniu, zabrałam go dyskretnie z sobą. Miałam przecież powiedzieć Irmie, co mi wyszło... Zanim więc wystukałam jej numer, który przezornie zdążyłam zapisać w swoim telefonie,

zrobiłam dokładnie to, o czym poinstruowała mnie ulotka dołączona do testu. Byłam przekonana, że z góry znam wynik, ale gdy dostrzegłam na nim dwie wyraźne kreski, z impetem usiadłam na powrót na muszli.

– Niemożliwe – szepnęłam do siebie i po raz drugi porządnie przeczytałam instrukcję.

Wynikało z niej jasno, że jestem w ciąży! Poczułam, że robi mi się gorąco. Bardzo chciałam uwierzyć wynikowi testu, ale wszystko, czego swego czasu dowiedziałam się od lekarzy, kazało mi być sceptyczną. Musiałam koniecznie kupić jeszcze jeden test, a jeszcze lepiej dwa... Spojrzałam na komórkę, była dziewiętnasta trzydzieści. Apteka, do której Aleks biegał dla mnie po kropelki, czynna była do dwudziestej. Uprzątnęłam szybko ślady mojej działalności i wyskoczyłam z łazienki.

– Co się stało? – spytał przestraszony Aleks. – Znowu jest ci niedobrze?

– Przeciwnie, bardzo mi dobrze, ale mam obawy, że zaraz dostanę okres. Lecę po podpaski do apteki – wyjaśniłam w pośpiechu.

– Pójdę z tobą. – Aleks sięgnął po pilota, by wyłączyć telewizor.

– Mowy nie ma. Obejrzyj sobie do końca, co tam oglądasz, dam sobie radę sama. To niedaleko, poza tym po drodze pogawędzę sobie z Irmą.

– Jesteś pewna?

– No chyba nie sądzisz, że zgubię się po drodze? – spytałam poirytowana.

– Nie sądzę – odparł Aleks. – Idź, ale wróć, zanim zacznę się martwić.

Na wszelki wypadek kupiłam trzy testy, a potem usiadłam na ławce, by w spokoju zadzwonić do Army. Moja nowa koleżanka bardzo się ucieszyła, słysząc mój głos.

– Nie wiem dosłownie, o co najpierw pytać – powiedziała, wyraźnie podniecona.

– Sama ci powiem – oszczędziłam jej dylematu. – Ani jedna, ani druga sprawa nie została rozstrzygnięta.

– Jak to? Nie zrobiłaś sobie testu? – oburzyła się.

– Zrobiłam.

– I co?

– I chyba był popsuty, dlatego mam w torebce trzy kolejne.

– Każda tak mówi w pierwszym odruchu. Czyli wyszła ci ciąża, dobrze rozumiem?

– Dobrze, aczkolwiek to nic pewnego. Będę starała się uwierzyć, gdy się to jeszcze trzykrotnie potwierdzi.

– No to sikaj, na co czekasz? – ponagliła mnie Irma.

– Na razie nie mogę, bo jestem w miejscu publicznym, ale jak tylko będę coś wiedziała, wyślę ci SMS-a, żeby Aleks nie podsłuchał.

– To znaczy... nie powiesz mu o ciąży?

– Tymczasem nie mam mu o czym mówić, zresztą cokolwiek się okaże, ty dowiesz się pierwsza.

– Czyli że w końcu jednak mu powiesz, tak?

– Nie, będę liczyła na to, że nie zauważy – odparłam bez sensu na bezsensowne pytanie.

Irma zrozumiała mój żarcik i zachichotała w słuchawkę.

– No dobra, a teraz mów, co u twojej ciotki.

– Niewesoło. A najgorsze jest to, że Aleks nawet słyszeć nie chce o zabraniu jej z sobą.

– W sumie to ja mu się nie dziwię, na co komu stara baba na karku, obca w dodatku? Zwłaszcza że niedługo przybędzie wam jeszcze jeden uciążliwy lokator...

– Nie mów hop – przystopowałam ją nieco. – Poza tym to byłoby chwilowe, jeśli jej brat obiecał, że zajmie się jej sprawą, to się zajmie. To solidny facet, ma rozległe znajomości, na pewno znalazłby dla niej jakieś sensowne miejsce i pokrył wszelkie koszty. Może nawet nie w domu opieki? Może wynająłby dla niej jakieś małe mieszkanie? Stać go na to.

– Nie fantazuj – ostudziła mój zapal Irma. – Myśl realnie.

– Najbardziej realnym rozwiązaniem jest to, o którym już ci mówiłam. Tylko że Aleks się nie zgodzi.

– To się uprzyj. To naprawdę skutkuje, uwierz doświadczonej mężatce – poradziła. – Albo rycz, to też jest jakieś wyjście.

– Nie chcę uciekać się do takich środków – odparłam zniesmaczona. – To byłoby nie fair.

– No to ja cię uświadomię: każdy chłop, choćby nie wiem jaki miłusi, jest w gruncie rzeczy wrogiem kobiet. Tak ma, gdyby nawet nie chciał, natura ich tak ukształtowała. Dlatego jeśli zachodzi potrzeba wyboru, czy stanąć po stronie kobiety, czy faceta, liczy się wyłącznie solidarność jajników.

– No co ty! – zaproponowałam, bo nawet przez myśl mi nie przeszło, by uwierzyć w ten jej feministyczny bełkot. Aleks był dla mnie wystarczającym zaprzeczeniem podobnych tez.

– Nie chodzi mi o to, że mężczyźni są z gruntu źli, bo nie wszyscy i nie zawsze. Rzecz w tym, że jeśli już upolują sobie jakąś zdobycz, zaraz zaczynają ją izolować od reszty stada. Wiadomo, inny osobnik jego płci może być zrozumiałym zagrożeniem, ale dlaczego taka na przykład przyjaciółka, bratowa, szwagierka czy teściowa, a nawet ciotka to wróg najgorszy z najgorszych? Bo zawsze istnieje groźba, że zawiążą sojusz przeciwko nim, będą się wspierać, dzielić doświadczeniami, opowiadać sobie nawzajem o ich wadach, nawykach, o życiu intymnym i porównywać anatomiczne szczegóły. A tego panicznie boi się każdy chłop.

– Może i jest coś w tym, co mówisz – dostrzegłam w jej wywodzie cień logiki – ale mój mąż z pewnością nie z takiego powodu ma opory przed zabraniami do nas ciotki.

– Jeśli nie z tego, to z innego: obawia się, że cała twoja uwaga, która należy się wyłącznie jemu, zostanie teraz podzielona na dwoje.

– A może na troje? – spytałam zaczepnie.

– Tym gorzej. O uwagę potomstwa bywają zazdrośni jeszcze bardziej – odparowała. – Dlatego mówię ci, rycz bez żadnych oporów, szantażuj emocjonalnie, a przede wszystkim stawiaj na swoim. Gdyby twoja ciotka miała we łbie tyle oleju, co ja, na pewno by tak nie skończyła.

– Na pewno – przyznałam z uśmiechem, bo gadanina Irmy w końcu zaczęła mnie bawić. – Przemyślę wszystko, co mi powiedziałaś, ale teraz muszę już kończyć, bo jeszcze trochę i Aleks zacznie mnie szukać.

Uświadomiłam sobie nagle, że tkwię już na tej ławce na tyle długo, że to wcale nie było takie nierealne.

– W porządku. Leć i pamiętaj, jak tylko przyjdiesz, uderzaj w płacz! – napomniała mnie Irma.

– Rozważę taką ewentualność – obiecałam, krzyżując palce, i ruszyłam w stronę pensjonatu.

Akurat skończył się film Aleksa i na ekranie telewizora leciały napisy, dzięki czemu na szczęście stracił nieco poczucie czasu.

– Kupiłaś sobie te podpaski? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam i pobiegłam z torebką do łazienki.

Drżącymi rękami rozrywałam opakowania testów, nie mogąc doczekać się zobaczenia wyniku. Żeby było szybciej, nasikałam na wszystkie naraz. I... wszystkie potwierdziły to, co pokazał pierwszy! Trudno mi opisać, co poczułam. Najpierw totalną pustkę, jakby mój umysł, nie potrafiąc przyjąć do siebie tej informacji, na chwilę przestał działać. Dopiero potem odczułam wielkie szczęście i jeszcze większe wzruszenie. Łzy ciurkiem ciekły mi po policzkach, z krtani wydobywał się cichy początkowo szloch, który stopniowo przeradzał się w głośne łkanie.

– Sandra! – Aleks widocznie coś usłyszał i zaczął dobijać się do drzwi łazienki. – Sandra, co ci jest, kochanie? Otwórz, proszę!

Był coraz bardziej przestraszony, więc spełniłam jego prośbę bez zbytniego ociągania.

– Boże mój, kochanie, co ci się stało? – Złapał mnie w ramiona i mocno przytulił.

– Nic... nic takiego... – wychlipałam.

– Błagam cię, mów, o co chodzi, bo zwariuję!

– Chyba... chyba jestem w ciąży – oznajmiłam, jak mi się zdawało, dość

delikatnie.

– Chyba jesteś w ciąży? – zdumiał się Aleks. – Wnios-kujesz z tego, że miałaś dostać okres i już od godziny ci się spóźnia?

Jego sarkazm nie był miły. W sumie się nie dziwiłam, bo temat nie należał do tych, które można było traktować w naszym małżeństwie w kategorii luźnych spekulacji.

– Nie – zaprzeczyłam i wyciągnęłam w jego stronę dłoń z wszystkimi czterema testami.

Mój mąż zaniemówił.

– Co to oznacza? – spytał po chwili.

– No... że jestem w ciąży...

– Że c h y b a jesteś w ciąży? Bo tak powiedziałaś.

– Że na pewno jestem. Tak tylko powiedziałam, żeby... cię przygotować...

Aleks złapał mnie za przegub ręki, w której trzymałam testy, i ostrożnie wyprowadził mnie z łazienki.

– Pokaż – poprosił.

Przyglądał im się przez dłuższą chwilę z nieodgadniętym wyrazem twarzy i już zaczynałam się niepokoić. Ale gdy odłożył je na stolik, złapał mnie na ręce i zaczął wywijać tak nieprawdopodobne młynki, że na nowo poczułam mdłości. Dość szybko się zorientował w niewłaściwości tego gestu, posadził mnie na łóżku, ukląkł i zaczął mnie przeproszać.

– Wybacz – szeptał. – Wybacz, to było silniejsze ode mnie. Od dziś jednak już zawsze będę nosił cię na rękach, kochana moja, tylko już bez wywijasów. – Będziemy mieli dziecko! To... nieprawdopodobne! Boże, jak mam w to uwierzyć?

– Oboje musimy w to uwierzyć, mnie też nie jest łatwo – pocieszyłam go. – Zaraz po powrocie do domu pójdę do lekarza, żeby to potwierdzić. Ja wiem, że te testy dają niemal stuprocentową pewność, ale chcę mieć to na piśmie, w karcie ciąży...

– Wobec tego wracajmy już dziś – zapalił się mój mąż. – Spakujemy się raz-dwa i w drogę, co ty na to?

– Bez przesady – roześmiałam się. – Mamy zostać tu jeszcze dwa dni i zostaniemy. Myślę, że tutejszy klimat nieźle służy przyszłym mamom.

I to był argument nie do podważenia. Choć tak naprawdę i ja miałam ochotę na wcześniejszy powrót do domu, jednak wiadomość o ciąży nie sprawiła, że przestałam myśleć o ciotce. Przeciwnie, teraz byłam jeszcze bardziej skłonna coś dla niej zrobić, by się odwdziżyć opatrności za jej cudowny dar.

Leżeliśmy z Alekssem w łóżku bardzo długo, zanim udało nam się zasnąć. Nie myślałam o niczym, trwając w błogim zadowoleniu, mój mąż natomiast robił bardzo konkretne plany, począwszy od zakupu wózka i łóżeczka poprzez urządzenie dziecięcego pokoju aż po budowę domu.

– Najpierw syn, potem drzewo, a na końcu dom? – roześmiałam się z tych jego fantazji. – A jeśli urodzi się nam córka?

– Wówczas zamiast dębu posadzę lipę, też jest długowieczna, a zamiast domu wybuduję willę. Nie sądzisz, że to świetna alternatywa?

– Świetna. Kiedy zamierzasz zacząć?

– Jak się uprę, jeszcze przed zimą wszystko będzie gotowe. Dzidzius od pierwszych chwil będzie mieszkał na swoim.

– Ha, ha – roześmiałam się. – Brzmi ładnie, owszem, a nawet zbyt ładnie...

– Nieprawda! – obruszył się Aleks. – Ja już wszystko zaplanowałem, z najdrobniejszymi detalami!

– Teraz? W ciągu kwadransa?

– No nie, aż taki szybki nie jestem. W ciągu dwóch.

– Mogę poznać jakieś konkrety?

– Jasne. W miesiąc załatwię kredyt na budowę domu, w tym czasie znajdziemy jakąś ładną działeczkę, na którą być może już teraz będzie nas stać. Projekt domu to małe piwo, a gdyby w grę wchodził taki, jaki dawniej nam się marzył, z drewnianych bali, jego budowa to drugie małe piwo. Drzewo się posadzi, jak tylko będziemy mieli gdzie.

– O rany!!! – krzyknęłam zniechęta, strasząc niechcący Aleksa, ale właśnie mi się przypomniało, że miałam powiadomić Irmę o wyniku testów.

– Nie musi być z bali, jeśli tak bardzo nie chcesz – dodał szybko.

– Chcę z bali, ale muszę napisać do Irmy o ciąży – wyjaśniłam.

– Teraz? Po nocy? – zdziwił się Aleks.

– Teraz – oznajmiłam, a mąż uczynnie podał mi komórkę.

„Zostanę matką, Aleks dowiedział się pierwszy, sorry” – napisałam. Po chwili przyszła odpowiedź: „A nie mówiłam? Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”.

* * *

Rano postanowiłam bezzwłocznie wziąć byka za rogi.

– Posłuchaj, Aleks, jako kobieta w ciąży mam prawo do jednego życzenia – oznajmiłam przy śniadaniu.

– Nie słyszałem o takim prawie, w każdym razie nie dla ciężarnych, ale mów.

Mój mąż był w świetnym humorze i zamierzałam to wykorzystać, choć nie bardzo wiedziałam, jak to powiedzieć.

– Na pewno już wiesz – postanowiłam wyręczyć się jego domyślnością.

– Chodzi ci pewnie o moją zgodę na zabranie stąd wujostwa, mam rację? – spytał, poważniejąc.

– Połowicznie. Nie zamierzam sobie zaprzętać głowy Rogerem, ale ciotce

bardzo bym chciała pomóc. Niechby chociaż u schyłku życia mogła zaznać, jeśli już nie szczęścia, to przynajmniej spokoju. Poza tym czuję się winna wobec niej, za całą moją rodzinę. Wyobrażam sobie, jak bardzo samotna i nieszczęśliwa musiała się czuć w tym wrogo do siebie nastawionym towarzystwie. Znikąd pomocy, zrozumienia, a nawet krztyny współczucia.

Aleks milczał, grzebiąc bez sensu widelcem w talerzu.

– Spójrz, kochanie, jak to się wszystko dziwnie ułożyło – tłumaczyłam pośpiesznie. – W zasadzie można tylko potwierdzić tezę, że dobro zawsze do człowieka wraca. Pomogliśmy wujostwu, ile się dało, całkiem bezinteresownie, niczego w zamian nie oczekując. Przyjechaliśmy tutaj, by się przekonać o celowości naszej pomocy, upewnić się, czy wszystko u nich dobrze, i to był przecież twój pomysł! Ale nie jest dobrze, nie u Edyty w każdym razie. Uważam, że nieprzypadkowo zaszłam w ciążę właśnie teraz.

– Sandra... Owszem, pomysł był mój, ale nie przewidywałam ponownego brania sobie na głowę tak kłopotliwych lokatorów. Nawet jeśli tylko jednego z nich. I ja swój cel osiągnęłam: wiem, że są cali i bezpieczni.

– Nie są. To znaczy Roger owszem, ale jego żona nadal jest jego ofiarą. Spójrz, co on z nią zrobił, odizolował od wszystkich, skłócił z całą rodziną, poróżnił z córką, osaczył... Ale Edyta jest mu potrzebna, bo jeszcze tylko ona jest w stanie dać mu poczucie siły i władzy. Bardzo bym chciała coś dla niej zrobić, a przynajmniej uwolnić ją od tego drania...

Aleks spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Wiem, kochanie, że ty byś każdemu nieba przychyliła. Pojęcia nie mam, jak można by ten problem raz na zawsze rozwiązać, ale wiem jedno: na początek zabierzemy twoją ciotkę do siebie. Nawet gdyby miała wytłuc kolejną zastawę.

– Naprawdę?!

– Naprawdę.

– To cudownie! – ucieszyłam się. – I powiem ci, że to nie Edyta wsadziła naczynia do pralki...

– Skąd wiesz? Pytałaś ją o to?

– Nie, ale jestem przekonana, że mój chrzestny koniecznie chciał poznać zasady działania zmywarki, to do niego bardzo podobne. I to nie ona zwinęła z knajpy sztucce, o to też nie pytałam, ale rękę bym sobie dała uciąć. Nie ona również ukradła biżuterię mamy, sama jak kto głupi zostawiłam na chwilę chrzestnemu klucz od domu, ale dopiero niedawno pokojarzyłam fakty. O czółenkach powiedziała mi ciotka. I to ona się postarała, by wszystkie te rzeczy wróciły do właścicieli. Nie jest z nią tak źle, jak by się mogło wydawać, to tylko jej małżonek miał dobrą wymówkę, zwałając swoje postęпки na Edytę i wszystko tłumacząc jej demencją. Nie martw się, kochanie, będzie lepiej, niż ci się wydaje, to cicha i skromna kobieta. Poza tym to tylko chwilowe, a jak się uda ulokować ją

gdzieś w pobliżu, może... nasze dziecko będzie miało jeszcze jedną babcie?

– Tak sądzisz? – uśmiechnął się w końcu Aleks. – Może rzeczywiście nie będzie najgorzej. Obyś miała rację, zresztą, tak czy inaczej, damy radę, nie ma przecież sytuacji bez wyjścia...

Wytarłam serwetą usta i rzuciłam się na mojego ukochanego z pocałunkami. Opędzał się ode mnie, udając, że mu przeszkadzam w jedzeniu, ale widać było po nim, jak bardzo jest z siebie zadowolony.

* * *

Jeszcze tego samego dnia zadzwoniłam do Anety i poinformowałam ją o naszej decyzji. Była zdziwiona, ale nie protestowała.

– Mnie jest w zasadzie wszystko jedno – powiedziała. – Problem tylko w formalnościach, muszę podjechać do tego domu i złożyć odpowiednie oświadczenia, a oni nie będą zadowoleni i mogą utrudniać. Jak by nie było, odpadnie im prawie cała emerytura matki. No i będę ci musiała przelać na konto połowę tego, co uzbierali. A właściwie co ojciec, delikatnie rzecz ujmując, uzbierał.

Już miałam powiedzieć, żeby zostawiła całą sumę Rogerowi na otarcie łez, ale na szczęście w porę ugryzłam się w język. Bo niby czemu ciotka nie miałyby sobie poużywać za tę kasę na stare lata?

– Dużo tego jest? – spytałam.

– Siedemdziesiąt kilka tysięcy.

Dech mi zaparło... Nie spodziewałam się, że aż tyle. Myślałam, że co najwyżej trochę więcej niż to, co dostali ode mnie.

– Czyli dla matki będzie trzydzieści z okładem – dodała.

– Dobrze, jakoś to później pozałatwiamy na odległość, ale bardzo cię proszę, zrób, co trzeba, bo już jutro wyjeżdżamy...

– Okej. Powiedz mi tylko, co ci strzeliło do głowy? Naprawdę chcesz sobie brać na barki taki kłopot?

– Naprawdę, i raczej nie przewiduję kłopotów, znasz przecież swoją matkę, kłopoty to specjalność jej małżonka.

– Jak sobie chcesz. Co prawda kompletnie nie potrafię cię zrozumieć, ale twoja wola.

– Jestem w ciąży – powiedziałam, mimo iż o to nie zapytała.

– Gratuluję wobec tego, ale tym bardziej ci się dziwię.

– A ciocia będzie dobrą babcia, jestem o tym przekonana.

– No widzisz, i teraz już rozumiem. Tak było trzeba od razu – zaśmiała się Aneta.

Moja kuzynka widocznie tylko tak potrafiła sobie wyjaśnić mój gest wobec jej matki. Pomyślała pewnie, że chcę z niej zrobić darmową opiekunkę do dziecka.

Nie wyprowadzałam jej z błędu, wolałam to niż podejrzenie, że czytam na pieniądze Edyty.

ROZDZIAŁ XXIV

„Nadzieja” matką naiwnych

Aneta oddzwoniła po kilku godzinach z informacją, że wszystko jest załatwione. Jeszcze niezupełnie formalnie i do końca, ale ciotkę można będzie zabrać. Kuzynka uprzedziła mnie, że minie trochę czasu, zanim ciotka znów będzie mogła pobierać emeryturę, i poprosiła o podanie mailem mojego numeru konta, by móc na nie przelać również połowę „oszczędności” Rogera. Zrobiłam, o co prosiła, bo nie byłam pewna, czy Edyta posiada konto bankowe. Zamierzałam, gdy tylko okaże się to możliwe, oddać jej wszystkie środki do dyspozycji.

– Mówiłaś cioci, że jutro po nią przyjeżdżamy? – spytałam.

– Sama jej to powiesz – odparła.

– Może jednak lepiej było ją uprzedzić?

– Nie miałam ochoty użerać się z ojcem. On się tak łatwo nie pogodzi z wyjazdem matki, a jeszcze bardziej z tym, że będzie musiał tam zostać. Myślę, że ty jakoś sobie z tym poradzisz.

– Poradzę sobie – powiedziałam, choć aż mnie ciarki przeleciały, gdy pomyślałam o tym, co mnie czeka.

– Bez obawy, damy radę – pocieszył mnie Aleks, który przysłuchiwał się mojej rozmowie z kuzynką.

– Wiem, nie ma innej możliwości – potwierdziłam.

Pod wieczór zaczęliśmy się pakować, by jutro jak najwcześniej pojechać po ciotkę. To znaczy nie później niż o dziewiątej rano, bo nie zamierzałam budzić się przed ósmą, ostatnio potrzebowałam nieco więcej snu.

Pod dom o zwodniczej nazwie „Nadzieja” podjechaliśmy w nieszczerze optymistycznych nastrojach. Znajac Rogera, nie było szans, że uda nam się załatwić sprawę pokojowo. Mało tego, mógł przecież skutecznie odwieść Edytę od wyjazdu, a nawet, co dopiero teraz przyszło mi do głowy, ona sama mogła tego nie chcieć.

Zaczęliśmy od wizyty w administracji. Tam się okazało, że mimo zapewnień Anety nikt się nie kwapił do wyrażenia zgody na zabranie Edyty.

– Ja nie wiem, proszę państwa, co to za koncert życzeń nagle – powiedziała oschle tak miła do tej pory tęga opiekunka wujostwa. – Tak się nie robi. Córka państwa Talarczyków ich u nas umieściła, ba, wyprosiła, żeby znaleźć dla nich miejsce, a teraz nagle zjawiacie się państwo i wszystko staje na głowie...

– Córka państwa Talarczyków wyraziła na to zgodę – powiedziałam, bo uważałam, że to załatwia całą sprawę.

– Wyraziła, wyraziła... – burczała pod nosem kobieta. – I co z tego, że wyraziła? To nam wszystko dezorganizuje!

– Co państwu dezorganizuje? – spytał Aleks.

– Długoterminowe plany finansowe.

– Czyli?

– Czyli harmonogram wpływów i wydatków. Tak trudno to zrozumieć? Ale co ja tu będę... Pani dyrektor wam wszystko wyjaśni.

Kobieta zaprowadziła nas do gabinetu dyrektorki i zarazem właścicielki domu, a ta wcale nie okazała się bardziej wyrozumiała.

– Proszę siadać! – zażądała.

Aleks podsunął mi krzesło, sam zaś stanął za moimi plecami jak jakiś ochroniarz.

– Powiem tylko tyle, że poczyniliśmy pewne wydatki na poczet pobytu u nas państwa Talarczyków o charakterze, że tak powiem... przyszłościowym. Awansem wyasygnowaliśmy na ich potrzeby kwotę, która jeszcze nam się nie zwróciła i nieprędko się zwróci. Zabierając panią Edytę, narażacie swojego wuja na znaczne uszczuplenie środków, bo to z jego pieniędzy będziemy musieli potrącić wyasygnowane kwoty.

– Ile? – spytał rzeczowo Aleks.

– Około pięciu tysięcy złotych. Jeszcze tego nie zsumowałam.

– Dobrze, pokryjemy te należności – oznajmił Aleks. – Proszę policzyć dokładnie, a my tymczasem pójdziemy po panią Talarczyk.

– Oszalałeś? – skrytykowałam go po wyjściu od „pani dyrektor”, mój mąż bowiem popadł nagle w drugą skrajność. – Nawet nie spytałeś, na co oni mogli wydać tyle pieniędzy w tak krótkim czasie.

– Zapytam, jak przyjdzie do płacenia – odparł Aleks.

Ciotkę i wujka zastaliśmy dokładnie w takiej samej sytuacji jak poprzednio: siedzących naprzeciw siebie na swoich tapczanach. Na nasz widok Roger poderwał się na nogi żwawo jak młodzieniaszek.

– Jakie wieści? – zapytał.

– Skąd? – odpowiedziałam pytaniem.

– No, na nasz temat. Aneta tu była, ale do nas nie zaszła i nie wiem, co kombinuje.

Zignorowałam jego pytanie.

– Ciociu... – zwróciłam się do Edyty, ale gdy na nią spojrzałam, kolejne słowa zamarły mi na ustach.

Spora część jej twarzy była sinofioletowa, prawe oko opuchnięte tak bardzo, że między nabrzmiętymi powiekami nie było nawet szparki. Aleks powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem i chyba odebrało mu głos.

– Coś ty jej zrobił... – syknęłam przez zęby.

– Ja? – zdumiał się pokazowo wujek. – Oczywiście, że nic. Sama sobie zrobiła, przecież toto nawet dwóch kroków nie umie przejść, żeby o coś nie zawadziło.

– O co zawadziłaś, ciociu? – spytałam, zachowując pozory spokoju.

– O Rogera, jak zwykle...

– Waż słowa, kobieto – warknął Roger. – Doskonale wiesz, że sama sobie jesteś winna! I znowu się prosisz o kłopoty, jak zawsze zresztą.

– Ty już może zamilcz – poprosił Aleks tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Co z twoimi zębami, ciociu? – zaniepokoiłam się, bo mówiła z trudem, świszcząc nieprzyjemnie.

– Nic takiego, to była tylko proteza. Sklei się i będzie po kłopocie.

– Owszem, będzie po kłopocie, bo... – urwałam, gdyż moją uwagę przykuł jakiś dziwny rwetes za oknem.

Pod bramę „Nadziei” podjechał mały sportowy kabriolet i omal jej nie staranował, a w każdym razie omal nie rozjechał zażywej opiekunki broniącej jak lwica wjazdu na posesję. Nic jej to jednak nie dało, bo po chwili auto z piskiem opon zaparkowało tuż przy samych schodach. Ktokolwiek nim przyjechał, opiekunka nie zdążyła powstrzymać go przed wejściem do środka, o czym świadczyły teraz krzyki i wrzaski.

– Może ja zobaczę, co się dzieje – zaproponował Aleks.

– Zostań, nas to nie dotyczy – powiedziałam, nie wiedząc, jak bardzo się mylę.

Zanim jednak sprawa się wyjaśniła, zdążyłam poinformować ciotkę o naszych zamiarach i zaproponować swoją pomoc w pakowaniu. Edyta patrzyła na mnie tym swoim jednym okiem i nic jakby do niej nie docierało.

– Chcesz tu zostać, ciociu? Z nim? Czy pojechać z nami? – zapytał rzeczowo Aleks.

Kobieta milczała, siedząc ze spuszczoną głową.

– Ciociu! – Delikatnie trąciłam ją w ramię. – Wszystko jest załatwione, wystarczy tylko się spakować, wsiąść z nami do samochodu i zacząć inne, nowe życie!

– Ja nie wiem, czy mogę... czy powinnam tak zrobić – powiedziała cicho.

– Bo?

– Tyle lat... tyle lat razem... ja... nie czułabym się chyba w porządku.

– No widzisz? – wtrącił Roger z satysfakcją. – Niełatwo jest rozbić stare dobre małżeństwo. Edyta się stąd nie ruszy, wybij to sobie z głowy. W każdym razie nie beze mnie.

W tym momencie ucichły podniesione głosy dochodzące z zewnątrz i do pokoju wujostwa wtargnęła... Irma!

– Skąd się tu wzięłaś? – spytałam w najwyższym zdumieniu.

– Głupie pytanie, moja droga. Skąd, to ty świetnie wiesz, powinnaś raczej spytać dlaczego.

– Dlaczego? – wyręczył mnie Aleks, a Roger nagle jakby spotulniał. Usiadł grzecznie na swoim tapczanie z rękami ułożonymi na kolanach.

– Nie mogłam siedzieć beczynn timer i czekać, czy się zdecydujecie na zabranie tej nieszczęśnicy, więc postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i jestem. Pakuj się, koleżanko – zwróciła się do Edyty. – Gdzie masz walizkę?

– Ale ja...

– Żadne takie, moja droga! – zgromiła ją Irma. – Nie widzisz, jaka zorganizowana akcja się tu odbywa z twojego powodu? Nie myśl sobie, że poświęcono ci tyle czasu i uwagi, żeby teraz słuchać twojego durnego krygowania. Dawaj tę walizkę!

Edyta posłusznie podreptała w stronę szafy i wywlokła z niej jeszcze niezupełnie rozpakowany bagaż.

– Co tu masz? – Irma zajrzała do środka. Jej wzrok zatrzymał się na leżącym na wierzchu futrze z karakułów.

– Nie jest najgorzej, ale garderobę pewnie trzeba będzie uzupełnić. No, dalej, do roboty!

Ciocia posłusznie zaczęła układać w walizce swoje rzeczy, a gdy skończyła, Aleks pomógł jej ją zamknąć.

– Gotowa? – spytała Irma.

– Tak – odparła ciągle jeszcze oszołomiona Edyta.

W tym momencie Roger zebrał się na odwagę i zagroził ciotce drogę do wyjścia.

– Po moim trupie! – krzyknął heroicznie.

– Według życzenia. – Irma odłożyła na stolik torebkę, zamachnęła się i z całej siły wyrznęła go w gębę.

Roger zatoczył się i wylądował z powrotem na tapczanie.

– Tak jak myślałam, od pierwszego strzału mi nie wyszło. – Irma spojrzała krytycznie na swoją drobną piąstkę. – Wstawaj, muszę skończyć, co zaczęłam!

Roger jednak ani myślał. Siedział i jęczał, trzymając się oburącz za twarz.

– Mniej więcej tak to smakuje – stwierdziła Irma z satysfakcją. – Aleks, nie stój tak, chłopcze, bierz sakwojaż ciotuchny i wychodzimy!

Mąż bez ociągania wypełnił rozkaz, ale przy biurze dyrektorki się zatrzymał.

– Byłbym zapomniiał. Mamy tu jeszcze coś do uregulowania...

– Co? – spytała Irma.

– Trzeba im zwrócić pieniądze za jakieś nieprzewidziane wydatki.

– Zanieś lepiej ten bagaż do mojego auta i posadź w nim również tę panią. – Wskazała ręką na Edytę. – My z Sandrą to załatwimy.

– Niedoczekanie ich, psia mać, prędzej skały będą srały, niż ja na to pozwolę

– sarknęła Irma, gdy Aleks zszedł z jej pola widzenia.

Spojrzałam na nią zdziwiona, choć znając już jej awanturniczy charakter, mogłam się podobnej reakcji spodziewać.

– Znalazłam sobie w Internecie trochę ciekawostek na temat tej placówki – wyjaśniła półgłosem. – Żaden z niej dom spokojnej starości, to zwykła speluna nastawiona na odzieranie staruszków z forsy. Wloką się za nimi nawet jakieś sprawy sądowe, ale dopóki żaden wyrok nie zapadł, mogą legalnie działać. To znaczy kraść.

– Boże mój – szepnęłam. – Tylko nie mów o tym Edycie, bo jeszcze gotowa się uprzeć, by zabrać stąd również Rogera...

– Nie ma sprawy – odparła i bez pukania wtargnęła do gabinetu dyrektorki, pociągając mnie za sobą.

– Ja w sprawie tych należności... – zaczęłam, ale Irma wepchnęła się przede mnie.

– Podobno coś tu jest do zapłacenia, a ja się pytam, za co konkretnie!

– Z panią nie zamierzam rozmawiać – powiedziała dyrektorka.

– Dobra. Sandra, zapytaj ją o to samo.

– Musieliśmy dla państwa Talarczyków zakupić pościel, bieliznę pościelową, bieliznę osobistą, środki higieny osobistej – wyliczyła, nie czekając, aż powtórzę pytanie Irmy.

– Za pięć tysięcy? – zdumiałam się.

– Pięć tysięcy? – powtórzyła jak echo Irma. – Z czego była ta pościel, z pierza rajskich ptaków?

– Z rajskich? – teraz ja powtórzyłam, raczej odruchowo.

– Co to jest, moje drogie, przesłuchanie? – obruszyła się dyrektorka. – Jeśli ja mówię, że takie koszty ponieśliśmy, to chyba wiem to najlepiej!

– Rachunki poproszę. – Irma wyciągnęła rękę w jej stronę. – Na każdy złamany grosz!

– Nie jest pani upoważniona, żeby o to prosić.

– Wobec tego ja poproszę – poparłam koleżankę.

– Pani też nie jest.

– Nie jest więc również upoważniona do płacenia. Żegnam!

Nie mając innego wyjścia, pociągnięta gwałtownie przez Irnę, razem z nią zrobiłam w tył zwrot i obie opuściłyśmy gabinet „pani dyrektor”. Zeszłyśmy na dół. Aleks siedział razem z ciotką w naszym samochodzie.

– Mówiłam, że do mojego! – krzyknęła ciągle jeszcze nakręcona Irma.

– Czemu? – spytałam. – U nas jest więcej miejsca, będzie wygodniej.

– Ale u mnie będzie ciekawiej – odparowała. – Zamierzam nad nią popracować, zacznę już w czasie jazdy.

– To znaczy?

– Zabieram ją do siebie. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi o waszej decyzji, postanowiłam, że przechowam Edytę, jak długo trzeba będzie. I tak się przywiązałam do tej myśli, że zdania nie zmienię.

– Przecież...

– Nie ma przecież. Znasz mnie chyba na tyle, że wiesz, iż nie odpuszczę. Jesteście młodzi, cieszcie się sobą, a później jeszcze tym, co tam sobie urodzisz. Będziemy was z Edytą odwiedzać, żebyś mogła na bieżąco podziwiać efekty moich wychowawczych działań. I vice versa, mam nadzieję.

Podeszłam do samochodu i otworzyłam drzwi od strony pasażera.

– Ciociu, nie wiem, co ty na to, ale moja koleżanka zaprasza cię do swojego auta. Uznała, że z nią ci będzie weselej niż z nami.

Ciotka wysiadła bez protestu i ociągania się.

– Ale oczywiście sama możesz zdecydować o sobie – dodałam.

– Nad tym też się popracuje. – Irma puściła do mnie oko i skinęła na Edytę.

– Chodź, moja droga, kilka pełnych emocji godzin przed tobą.

– Jedź ostrożnie, proszę – napomniałam zaniepokojona jej ostatnimi słowami.

– Ja tylko w taki sposób jeżdżę – odparła Irma i gdy już obie ulokowały się w jej kabriolecticie, ruszyła z piskiem opon.

Epilog

Cały ten rok od początku do końca był pełen nieoczekiwanych wydarzeń i zupełnie nieprzewidywalnych sytuacji. Nasze jednostajne do tej pory życie kompletnie wywróciło się do góry nogami i właściwie można by powiedzieć, że dopiero teraz zaczęło się naprawdę. Do tej pory dzień był podobny do dnia, weekend do weekendu, urlop do urlopu. I tak apiać od stycznia do stycznia. Doszłam do wniosku, że poczucie bezpieczeństwa, które tak bardzo sobie ceniłam i o które tak niestrudzenie zabiegam, było niczym innym, jak tylko niechęcią do jakichkolwiek zmian. Ale gdy te nastąpiły, na bardzo dużą skalę nawet, ono zupełnie nie straciło na sile. Przede wszystkim dlatego, że miałam obok siebie męża, na którego zawsze mogłam liczyć, kochającego, troskliwego, odpowiedzialnego. Gdy przyszła na świat nasza córeczka Zosia, tak jak obiecał, mieszkaliśmy już w swoim własnym domu, nadal w tym samym mieście, ale w o wiele sympatyczniejszym miejscu, przy lesie. W dużym, niezagospodarowanym jeszcze ogrodzie od jesieni rosła lipa i praktycznie niewiele poza nią. Co prawda mój mąż już od wczesnej wiosny kombinował, co i gdzie posadzić, jednak w pierwszym rzędzie zajął się robieniem huśtawki.

Nasz dom był na tyle duży i funkcjonalny, że teraz częściej i na dłużej gościliśmy rodziców Aleksa, bezgranicznie zakochanych w swojej jedynej wnuczce. Innymi, niemal stałymi gośćmi stały się Edyta z Irną. Panie przypadły sobie do gustu tak bardzo, że nie było już mowy o szukaniu dla ciotki innego mieszkania. Dwie śmieszne staruszki-papuzki, nierozstające się nawet na moment. Gdy kilka dni po powrocie z Gdyni Irma przyprowadziła do nas Edytę, ciotka miała wstawione nowe piękne zęby i włosy ufarbowane na mahoń. Irma rzeczywiście się uwijała, żeby dowartościować swoją nową przyjaciółkę, nie jestem tylko pewna, czy dość specyficzny gust Irmy wyszedł jej na dobre. Ciotka, tak niegdyś elegancka i wytworna, nagle zaczęła upodabniać się do Irmy.

– Jakoś tak... inaczej wyglądasz – powiedziałam, gdy ujrzałam ją w takim wydaniu po raz pierwszy.

– Świetnie, prawda? – ucieszyła się Irma.

– O...owszem, tylko że trochę jak ty. A co z ćwiczeniem umiejętności wyrażania własnego zdania?

– Przecież ja jej do niczego nie zmuszam! – oburzyła się Irma.

– To prawda – roześmiała się Edyta. – Ja sama, z własnej woli wzoruję się na Irmie. Chciałabym być taka jak ona.

– Niedoczekanie! Ja jestem jedna, jedyna i niepowtarzalna – odparowała tamta.

– Ale ja nie powiedziałam, że chciałabym być i d e n t y c z n a. Z pewnością nie zamierzam przejąć większości twoich wkurzających cech charakteru!

– O? A jakichże to?

– Opryskliwości, nieprzyzwoitego wyrażania się, nadmiernego pociągu do wysokokowych napojów – wyliczała ciotka.

– Dobrze, że o tym wspominasz – ucieszyła się Irma. – Daj no, Sandro, jakiego koniaczku...

– Mnie też daj – zawtórowała jej ciotka.

– No i widzisz, jak sama sobie zaprzeczasz, moja droga? I nie wciskaj kitu naszej wspólnej koleżance, że taka niby przyzwoita jesteś.

– Bo jestem.

– Taak? A kto wczoraj powiedział do faceta na stacji benzynowej „ty bucu”?

– Bo był bucem i mu się należało – nadąsała się ciotka. – Wyobraź sobie, Sandro, cap tak się ustawił, że zablokował nam wyjazd i wybrał się do okienka z fast foodami. Proszę go więc grzecznie, żeby się trochę usunął, a on mi na to, że wyglądamy na takie, które mają czas. Musiałam przejechać dwoma kołami po trawniku, żeby chama ominąć...

– Prowadzisz samochód, ciociu? – zdziwiłam się.

– No przecież mam prawo jazdy, nie pamiętasz?

– Faktycznie. – Przypomniałam sobie, że przez krótki czas poruszała się mercedesem po swoim ojcu, zanim go pewnie Roger nie sprzedał.

Przyjaciółki w dalszym ciągu sprzeczały się w żartobliwym tonie, a ja poszłam do barku po koniak dla nich. Sama miałam doskonałą wymówkę: wciąż karmiłam Zosię piersią. Tyle co o niej pomyślałam, wszedł do salonu Aleks z małą na rękach. Akurat była to pora, gdy budziła się z poobiedniego snu. Mój mąż, wiedząc, że mam gości, wystroił naszą małą piękność w sukieneczkę.

– Chodź do nas na ploteczki, skarbie. – Wyciągnęłam ręce po Zosię. – Mamy tu takie małe babskie balety...

Ledwie posadziłam sobie córkę na kolanach, odebrała mi ją Irma i usadowiła na sofie pomiędzy sobą i ciotką.

– Siadaj przy nas, Sandra – rozkazała, po czym z dumą spojrzała na Aleksa.

– No i co, młody człowieku? Widziałeś może kiedyś więcej pięknych kobiet naraz w jednym pomieszczeniu?

– Muszę z całą odpowiedzialnością przyznać, że nigdy – zaśmiał się Aleks.

– Wobec tego prosimy o pamiątkowe zdjęcie!

Mój mąż skwapliwie spełnił jej prośbę, a ja pomyślałam, że ta fotografia, oprawiona i postawiona na kominku, będzie mi do końca życia przypominała

minione, najcudowniejsze jak do tej pory wakacje.

